

COLIN WILSON

PASOŻYTY UMYŚŁU

**(PRZEKŁAD: BEATA MODERSKA I TADEUSZ
ZYSK)**

Augustowi Derleth - pomysłodawcy

MUSZE, nim umrą, znaleźć JAKIŚ sposób wypowiedzenia tego co we mnie jest najistotniejsze, czego nigdy dotąd nie powiedziałem - a co nie jest ani miłością, ani nienawiścią, ani litością ani pogardą, ale prawdziwym tchnieniem życia, nieokiełznanym i pochodzącym gdzieś z głębi, a wnoszącym w ludzkie życie bezkresną przestrzeń i przeraźliwą, beznamietną siłę będącą czymś ponadludzkim.

Bertrand Russell list do Constance Malleson, cytowany w:

My Philosophical Development, s. 263

Nota wstępna

Faktem oczywistym i nie wymagającym żadnych uzasadnień jest, że III wolumin Cambridge History of the Nuclear Age poświęcamy w całości nowemu wydaniu dokumentu, znanego pod nazwą Pasożyty umysłu autorstwa prof. Gilberta Austina.

Pasożyty umysłu to oczywiście dokument będący kompilacją wielu materiałów: pism, nagrań czy stenogramów rozmów z prof. Austinem. Wydanie pierwsze, obejmujące ledwie połowę obecnie prezentowanego materiału, ukazało się krótko po tym, jak prof. Austin zniknął w 2007 roku, ale jeszcze przed odnalezieniem przez kapitana Ramsaya "Pallas". W skład wydania wchodziły głównie notatki czynione na prośbę pułkownika Spencera i nagrania skatalogowane pod numerem 12xm w Bibliotece Uniwersytetu Londyńskiego. Wydanie późniejsze, które ukazało się w 2012 roku, zawierało stenogram rozmowy przeprowadzonej przez Leslie Purvison 14 stycznia 2004 roku. Pomiędzy tymi materiałami umieszczono inny artykuł, wybrany spośród dwóch napisanych przez prof. Austina dla Historical Review, oraz jego przedmowy do Refleksji Historycznych autorstwa Karela Weissmana.

Wydanie niniejsze zachowuje w całości stary tekst i jest poszerzone dodatkowo o materiały zupełnie nowe, pochodzące z tak zwanych Martinus File, będących przez wiele lat w posiadaniu Sylvii Austin i znajdujących się, obecnie w Światowym Archiwum Historycznym. Wydawca wyjaśnia za pomocą odnośników, z jakich źródeł pochodzą odpowiednie partie materiału, a także korzysta z dotąd nie opublikowanych Notatek Autobiograficznych, napisanych przez prof. Austina w 2001 roku.

Żadne wydanie Pasożytów umysłu nie stanowi wersji ostatecznej. Staraliśmy się tak zredagować materiał, aby zachować ciągłość narracji. W kilku miejscach, gdzie, jak sądziliśmy, było to szczególnie uzasadnione omawianą treścią, włączono materiały z prac filozoficznych prof. Austina oraz jeden krótki rozdział ze wstępu do Homage to Edmund Husserl, wydanym przez Austina i Reicha. Opowieść, która się z tego wyłoni, zdaje się potwierdzać, według opinii wydawców, poglądy przedstawione przez nich w New Light on the Pallas My stery. Należy jednak podkreślić z naciskiem, że nie to było ich celem. Usiłowali oni objąć całość związanych z tą sprawą materiałów wierząc, że zasadność tego ujęcia zostanie w pełni potwierdzona, gdy Northwestern University zakończy pracę nad edycją Complete Papers of Gilbert Austin.

H.S. W.P.

St. Henry's College, Combridge, 2014 rok.

*Niniejszy tekst jest zapisem nagrania, którego
dr Austin dokonał na parę miesięcy przed zniknięciem.
Został on opublikowany przez H.F. Spencera.*

Historia o tak wielkim zasięgu jak ta nie zaczyna się w jakimś konkretnym punkcie; nie potrafię też zadośćuczynić prośbie pułkownika Spencera, aby “zacząć wszystko od początku i następnie dojść aż do końca”, jako że historia ta ma w zwyczaju tworzyć meandry. Być może najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli opowiem po prostu historię mojej bitwy z pasożytami umysłu, a całą resztę pozostawię historykom.

Tak więc, moja opowieść rozpoczyna się 20 grudnia 1994 roku. Wówczas to wróciłem do domu z zebrania Middlesex Archaeological Society, na którym wygłosiłem wykład o starożytnych cywilizacjach zamieszkujących obszary Azji Mniejszej. Był to niezwykle stymulujący i ożywczy wieczór; trudno o większą satysfakcję niż ta, która płynie z głoszenia spraw bliskich sercu przed uważnymi słuchaczami. Powinienem do tego jeszcze dodać, że do kolacji po wykładzie podano znakomite czerwone wino rocznik 1980 - by stało się całkiem jasne, że kiedy wkładałem klucz w drzwi mego mieszkania w Covent Garden, byłem w radosnym i pełnym optymizmu nastroju.

Gdy wchodziłem, zadzwonił videotelefon, ale ucichł, nim zdołałem do niego dobiec. Rzuciłem okiem na odtwarzacz, pokazywał numer abonenta z Hampstead; był to numer Karela Weissmana. Była za piętnaście dwunasta i chciało mi się spać, postanowiłem więc oddzwonić rano. Rozbierając się, czułem się jednak jakoś nieswojo. Byliśmy przyjaciółmi od dawna i wiedziałem, że często dzwonił do mnie późną nocą prosząc, bym mu coś tam sprawdził w British Museum (gdzie spędzałem większą część czasu przed południem). Tym razem jednak coś trudnego do uchwycenia nie dawało mi spokoju; już w szlafroku podszedłem do videotelefonu i nacisnąłem jego numer. Długo nie było odpowiedzi. Już zamierzałem odłożyć słuchawkę, gdy na ekranie pojawiła się twarz jego sekretarza.

- Słyszał pan już? - zapytał.

- O czym?

- Doktor Weissman nie żyje.

Wiadomość ta tak mną wstrząsnęła, że musiałem usiąść. W końcu zdecydowałem się zapytać:

- Skąd mogłem o tym wiedzieć?

- Wieczne gazety zamieściły wiadomość.

Odpowiedziałem mu, że dopiero co wróciłem do domu.

- Ach tak - odparł. - Próbowałem się do Pana dodzwonić przez cały wieczór. Czy mógłby Pan zaraz tu przyjechać?

- Ale dlaczego? W czym mógłbym pomóc? Czy pani Weissman czuje się dobrze?

- Jest w szoku.

- Jaką miał śmierć?

Baumgart udzielił mi odpowiedzi nie zmieniając wyrazu twarzy:

- Popełnił samobójstwo.

Pamiętam, że dłuższy czas gapiłem się na niego, nie wypowiadając żadnego słowa i dopiero później krzyknąłem:

- O czym, do diabła, pan mówi? To jest niemożliwe.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Proszę, niech Pan przyjedzie jak najszybciej.

Zaczął się rozłączać, więc wrzasnąłem:

- Czy chce pan, bym oszalał? Co się stało?

- Otruł się. Nic więcej nie potrafię Panu powiedzieć. Ale w liście, jaki zostawił, prosi, abyśmy się jak najszybciej z panem skontaktowali. Tak więc proszę przyjechać. Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni.

Zamówiłem aerotaxi, a następnie w stanie jakiegoś odrętwienia zacząłem się ubierać, powtarzając w kółko, że to niemożliwe. Znałem Karela Weissmana od trzydziestu lat, od czasu kiedy wspólnie studiowaliśmy w Uppsali. Był to pod każdym względem człowiek niezwykle: wybitnie inteligentny, wrażliwy, cierpliwy, a nade wszystko posiadający ogromną wewnętrzną energię. *Nie, to było niemożliwe.* Tacy ludzie jak on nigdy nie popełniają samobójstw. Oczywiście wiedziałem, że przez ostatnie pół wieku liczba samobójstw wzrosła pięćdziesięciokrotnie i że czasami samobójstwa dokonują osoby, o których sądzimy, że nigdy by tego nie uczynili. Ale wiadomość, że Karel Weissman popełnił samobójstwo znaczyła dla mnie tyle, co twierdzenie, że dwa plus dwa równa się pięć. Nic nie zapowiadało, by targnął się na swoje życie. Pod każdym względem był jedną z najmniej neurotycznych i jednocześnie najbardziej zintegrowanych osób, jakie poznałem.

Zastanawiałem się, czy to nie było morderstwo. Czy przypadkiem nie był to zamach którejś z grup terrorystycznych Central Asiatic Powers? Słyszałem już o sprawach nawet dziwniejszych. Wiedza o terrorze politycznym stała się w drugiej połowie lat osiemdziesiątych solidną nauką, a śmierć Hammelmanna i Fullera nauczyły nas, że nawet naukowcy, otoczeni specjalną opieką, nie mogą się czuć w pełni bezpieczni. Ale Karel był przecież psychologiem i, o ile wiem, nie miał żadnych powiązań z projektami realizowanymi na zamówienia rządowe. Głównym źródłem jego dochodów było potężne towarzystwo przemysłowe, które płaciło mu za opracowywanie metod

leczenia nerwic dynamicznych oraz, ogólnie rzecz biorąc, za zwiększanie efektywności funkcjonowania zawodowego pracowników.

Baumgart czekał już na mnie, kiedy taksówka lądowała na dachu. Gdy tylko zostaliśmy sami, zapytałem:

- Czy to nie mogło być morderstwo?

Odparł: - Nie można tego wykluczyć, ale nie ma też podstaw, aby tak sądzić. O trzeciej po południu i profesor udał się do swego pokoju, by pisać; powiedział, że nie chce, aby mu przeszkadzano. Okno w jego pokoju było zamknięte, a ja sam siedziałem w holu przy biurku przez następne dwie godziny. O piątej jego żona przyniosła herbatę i... znalazła go martwego. Zostawił własnoręcznie napisany list, a truciznę popił wodą z toalety.

Pół godziny później byłem już przekonany, że mój przyjaciel rzeczywiście popełnił samobójstwo. Jediną możliwością przeczącą tej hipotezie mogło być założenie, że to Baumgart go zabił - w to jednak nie wierzyłem. Baumgart był po szwajcarsku opanowany i beznamiętny, ale czułem, że był głęboko wstrząśnięty, wręcz na granicy nerwowego załamania. Żaden człowiek nie byłby w stanie tak dobrze odegrać tego, co on przeżywał. Poza tym był jeszcze ten, własnoręcznie napisany przez Karela, list. Od czasu jak Pomercy wynalazł Elektroniczne Urządzenie Porównawcze, fałszerstwa dokumentów stały się najrzadszym z przestępstw.

O drugiej nad ranem opuściłem ten pełen smutku dom, nie rozmawiając z nikim oprócz Baumgarta. Nie widziałem mego zmarłego przyjaciela; zresztą nie chciałem tego wiedząc, że twarz człowieka umierającego po zażyciu cyjanku wygląda strasznie. Tabletki, których użył, pochodziły od neurotycznego pacjenta i mogły być zabrane przez Karela jedynie tego samego dnia, rano.

List sam w sobie był dziwny. Nie zawierał ani słowa żalu z powodu podjęcia próby samobójstwa. Mimo iż pismo było chwiejne, to jednak słownictwo jakiego używał, było bardzo precyzyjne. Rozdysponował swój majątek, określił, co przekazuje synowi, a co żonie. Prosił o to, aby jak najszybciej zawiadomić o jego śmierci mnie, jako osobę sprawującą pieczę nad jego pracami naukowymi. Podał sumę pieniędzy, jaka miała zostać mi wypłacona oraz kolejną sumę, która miałaby być w razie potrzeby użyta po to, aby je opublikować. Widziałem fotokopię listu - oryginał miała policja - i byłem absolutnie przekonany, że to był jego list. Elektroniczna analiza potwierdziła to przekonanie następnego dnia.

Tak, list był w najwyższym stopniu dziwny. Długi na trzy strony, pisany z rzucającym się w oczy spokojem. Dlaczego jednak nalegał, aby natychmiast skontaktować się ze mną? Czyżby pozostawione prace zawierały jakiś klucz? Taką możliwość rozpatrywał już Baumgart, który spędził cały wieczór, dokładnie je przeglądając. Nie znalazł w nich jednak nic, co mogłoby wyjaśnić uporczywe żądanie Karela, aby się spieszyć. Duża część materiału dotyczyła Anglo-

Indian Computers Corporation, jego pracodawcy. Dokumenty te, oczywiście, miały być udostępnione innym pracownikom badawczym firmy. Pozostały materiał stanowiły rozmaite prace dotyczące psychologii egzystencjalnej, transakcjonizmu Masłowa - jak i inne rozprawy; prace ukończone przez niego oraz książka, omawiająca zastosowanie środków psychodelicznych.

W ostatniej z wymienionych prac znalazłem, jak mi się wydało, klucz, którego tak poszukiwałem. Gdy Karel i ja studiowaliśmy w Uppsali, spędziliśmy dużo czasu na dyskusjach dotyczących takich problemów, jak: znaczenie śmierci, granice ludzkiej świadomości i tym podobnych. Pisałem wówczas pracę dotyczącą Egipskiej Księgi Zmarłych, której dosłowny tytuł brzmi Ru nu pert em hru i oznacza: Księga podążania naprzód za dnia. Uwaga moja skupiała się przede wszystkim na symbolice owej "ciemnej nocy duszy", na niebezpieczeństwach, które napotyka pozbawiony ciała duch w swej długiej jak noc podróży do Amentet. Karel nalegał, bym dodatkowo przestudiował jeszcze Tybetańską Księgę Umarłych - stanowiącą zupełnie inne zagadnienie - i porównał obydwie. Tymczasem, co wie każdy, kto się z tymi dziełami zetknął, Tybetańska Księga jest dokumentem buddyjskim, a zawarty w niej system religijny nie wykazuje żadnych podobieństw do religii Starożytnego Egiptu. Wydawało mi się, że takie porównanie będzie tylko stratą czasu, rodzajem bezsensownej, pedantycznej wprawki. Karelowi udało się jednak w końcu rozbudzić we mnie pewne zainteresowanie samą Tybetańską Księgą Umarłych i w konsekwencji spędziliśmy wiele długich wieczorów, dyskutując na ten temat. Środki psychodeliczne były w owym czasie prawie nieosiągalne, gdyż książka Aldousa Huxley'a, poświęcona meskalinie, wprowadziła na nie wśród nałogowców swoistą modę. Odkryliśmy jednak pewien artykuł, autorstwa René Daumala, opisujący jak podobne eksperymenty wykonywał on za pomocą eteru. Daumal nasącał chustkę do nosa eterem i przykładał ją następnie do nosa. Kiedy tracił świadomość, upadająca ręka powodowała szybkie ocknięcie się. Daumal próbował opisać swe doznania wywołane eterem i opis ten wywarł na nas bardzo silne wrażenie. Jego zasadniczy wniosek był zbieżny z opisami pozostawionymi przez wielu mistyków. Mimo że autor był "nieprzytomny" na skutek działania eteru, miał poczucie, że to co przeżywał, było daleko bardziej realne, niż codzienne doświadczenie świata. Obydwaj, Karel i ja - bez względu na różnice w zapatrywaniach na wiele innych kwestii - zgadzaliśmy się co do jednego: codzienne życie ma w sobie element nierealności. Doskonale wówczas rozumieliśmy słowa Chuang Tzu, który pewnego razu śnił, że jest motylem i doznawał świata tak jak motyl, a gdy się obudził nie był pewien, czy to Chuang Tzu śniło się, że jest motylem, czy to motyl śnił, że jest Chuang Tzu.

Chyba przez miesiąc, mniej więcej, Karel Weissman i ja próbowaliśmy "eksperymentować ze świadomością". Podczas ferii świątecznych przeprowadzaliśmy doświadczenie polegające na

tym, aby nie spać przez trzy dni, pijąc tylko czarną kawę i paląc cygara. Rezultatem, oczywiście, była niezwykle intensywność percepcji intelektualnej. Pamiętam, że powiedziałem wówczas:

- Gdybym mógł tak żyć przez cały czas, to poezja stałaby się bezwartościowa, potrafię bowiem widzieć głębiej niż jakikolwiek poeta.

Próbowaliśmy także eteru i czterochlorku węgla. Jeśli o mnie chodzi, te doznania były znacznie mniej interesujące. Oczywiście, doświadczałem niezwykle intensywnego wglądu - jaki czasami osiągamy w momencie zasypiania - ale były to przeżycia krótkotrwałe i ulotne. Użycie eteru powodowało wielodniowy ból głowy, tak więc po dwóch eksperymentach, postanowiłem dać sobie z tym spokój. Karel utrzymywał, że jego własne doznania były, poza pewnymi różnicami, zbieżne z doznaniem Daumala. Wydaje mi się, że pamiętam, jak sformułował teorię uporządkowania szeregu kropek, którą uznał za nadzwyczaj istotną. Ale i on w końcu stwierdził, że fizyczne efekty uboczne są zbyt silne i zaprzestał eksperymentowania. Później, kiedy został psychologiem eksperymentalnym, mógł otrzymywać na zamówienie meskalinę i lizergid. Wielokrotnie namawiał mnie, bym spróbował. W tym czasie jednak miałem inne zainteresowania i odmówiłem. Chciałbym obecnie opowiedzieć coś więcej o tych "innych zainteresowaniach".

Ten przydługi wtręt był konieczny, by wyjaśnić, dlaczego byłem przekonany, że pojąłem ostatnią próbę mego przyjaciela. Jestem archeologiem, nie psychologiem. Ale byłem jego starym przyjacielem i kiedyś razem z nim interesowałem się problemami ludzkiej świadomości. Zapewne, podczas ostatnich chwil swojego życia, powrócił do naszych długich nocnych rozmów w Uppsali. Czy myślał o beczkach piwa, które wypijaliśmy w maleńkiej restauracyjce nad rzeką, czy może o butelkach wódki, które pijaliśmy w moim pokoju do drugiej nad ranem? Coś w tym wszystkim niepokoiło mnie: jakiś ulotny, niepojęty lęk; coś, co przywodziło mi na myśl uczucie, które zmusiło mnie, bym zadzwonił o północy do domu Karela w Hampstead. Ale tym razem nie mogłem zrobić nic, by je - rozładować, tak więc jedyne co mi zostało - to spróbować o tym zapomnieć.

W czasie pogrzebu mojego przyjaciela przebywałem na Hybrydach - zostałem tam wezwany, by zbadać znakomicie zachowane neolityczne szczątki w Harris - a gdy wróciłem, spostrzegłem na półpiętrze przed swoim mieszkaniem kilka skrzyń z posegregowanymi materiałami Weissmana. Głowę miałem pełną myśli o człowieku neolitycznym, więc gdy sięgnąłem do pierwszej i wyciągnąłem brulion zatytułowany Spostrzeżenie kolorów u zwierząt poddanych deprywacji emocjonalnej, czym prędzej zamknąłem go. Wszedłem do mieszkania i otworzyłem "Archeological Journal", w którym natrafiłem na artykuł Reicha omawiający zastosowanie elektronicznego datowania bazaltowych figurek ze świątyni Bogazkóy. Byłem niezwykle podekscytowany, zadzwoniłem do Spencera z British Museum i popędziłem na

spotkanie z nim. Przez następne czterdzieści osiem godzin wszystko co robiłem, wiązało się z figurkami ze świątyni i cechami pozwalającymi odróżnić rzeźby hetyckie od innych.

To, oczywiście, uratowało mi życie. Nie wątpię, że Tsathogguany oczekiwały mego powrotu i obserwowały to, co robię. Na całe szczęście umysł mój był wypełniony archeologią. Łagodnie szybował po bezkresnych przestworzach przeszłości, kołysany prądami historii. Psychologia napawała go wstrętem. Gdybym ochoczo przestudiował materiały mego przyjaciela w poszukiwaniu przyczyn jego samobójstwa, mój własny umysł zostałby przez nie zaatakowany, a następnie, w przeciągu paru godzin, zniszczony.

Nawet dzisiaj drzę, gdy tylko o tym pomyślę. Byłem otoczony złymi, obcymi umysłami. Byłem jak nurek na dnie morza; tak zaabsorbowany poszukiwaniem skarbu w zatopionym okręcie, że nie będący w stanie , zauważyć zimnych oczu ośmiornicy, wyczekującej za jego plecami. Gdybym miał inny nastrój, może bym je zauważył, jak to się stało później w Karatepe. Jednakże odkrycie Reicha tak mnie zaaferowało, że zapomniałem o poczuciu obowiązku wobec zmarłego przyjaciela.

Stwierdzam, że znajdowałem się pod ciągłą obserwacją Tsathogguanów przez wiele kolejnych tygodni. W tym właśnie czasie zdałem sobie sprawę, że jeśli chcę się uporać z kłopotami wynikającymi dla mnie z krytyki Reicha, dotyczącej mego sposobu datowania znalezisk, muszę wrócić do Azji Mniejszej. I znowu: mam poczucie, że było to zrządzenie losu. Decyzja ta musiała utwierdzić Tsathogguany w przekonaniu, że nie muszą się z mojej strony niczego obawiać. Było jasne, że Karel się pomylił w swoich rachubach; nie mógł znaleźć gorszego wykonawcy swej ostatniej woli. Miałem jednak wyrzuty sumienia wobec nieżyjącego przyjaciela i w trakcie ostatnich tygodni pobytu w Anglii raz czy dwa zmusiłem się do tego, by zajrzeć do owych skrzyń. Za każdym razem czułem to samo obrzydzenie dla kwestii psychologicznych i, w konsekwencji, zamykałem je niezwłocznie. Pamiętam, że ostatnim razem, kiedy to uczyniłem, zastanawiałem 'się, czy nie byłoby prościej poprosić dozorcę, aby spalił to wszystko w piwnicznej kotłowni. Pomysł ten jednak wydał mi się skrajnie niemoralny i zaniechałem go - trochę, prawdę mówiąc, zdziwiony, że mi to w ogóle przyszło do głowy. Nie miałem wówczas pojęcia, że to nie "ja" to wymyśliłem.

Często zastanawiałem się później, na ile wybór mnie jako wykonawcy testamentu stanowił część planu mego przyjaciela, a na ile była to desperacka decyzja podjęta w ostatniej chwili życia. Niewątpliwie niewiele na ten temat myślał, w przeciwnym bowiem wypadku one wiedziałyby o tym. Czyżby to było nagłe olśnienie, ostatni błysk intuicji jednego z najgenialniejszych umysłów XX wieku? A może zostałem wybrany jako *faute de mieux*? Być może poznamy odpowiedź pewnego dnia, gdy uda nam się dotrzeć do archiwów Tsathogguanów. Przywiązałem się jednak do myśli, że to był wybór intencjonalny, majstersztyk oszustwa mego

przyjaciela. Jeśli bowiem podczas tej decyzji opatrność była po jego stronie - to przez następne sześć miesięcy, kiedy myślałem o wszystkim poza pismami Weissmana, z pewnością była po mojej.

Przed wyjazdem do Turcji wydałem polecenie, by Baumgart miał w czasie mej nieobecności swobodny dostęp do mojego mieszkania. Zgodził się bowiem przeprowadzić wstępną segregację materiałów. Rozpocząłem również negocjacje z dwoma amerykańskimi wydawnictwami z zakresu psychologii, które były zainteresowane wydaniem prac Weissmana. Następnie przez parę miesięcy przestałem myśleć o psychologii, jako że kwestie związane z datowaniem bazaltowych figurek pochłonęły całą moją uwagę. Reich urządził się w laboratorium Turkish Uranium Company w Diyarbakir. Interesował się głównie - jak dotąd - datowaniem "szczątków ludzkich i zwierzęcych metodą argonową i w tym zakresie stał się największym autorytetem światowym. Kiedy przesunął swoje zainteresowania z prehistorii na czasy panowania Hetytów, znalazł się w dziedzinie stosunkowo dla siebie nowej. Człowiek istnieje od miliona lat; inwazja Hetytów na Azję Mniejszą miała miejsce około 1900 roku p.n.e. Był zachwycony moim pojawieniem się w Diyarbakir, gdyż moja książka o cywilizacji Hetytów stanowiła w tej materii podstawowy podręcznik od czasu, kiedy ukazała się w 1980 roku.

Ja z kolei uznałem, że Reich jest fascynującym człowiekiem. Jeśli chodzi o dowolny okres pomiędzy 2500 rokiem p.n.e. a końcem 1000 roku n.e., mój intelekt czuł się jak u siebie w domu. Umysł Reicha natomiast czuł się swobodnie w dowolnym okresie począwszy od ery karbońskiej. Potrafił mówić o plejstocenie - drobne miliony lat temu - jakby to była historia najnowsza. Byłem kiedyś obecny przy tym, jak badał ząb dinozaura i rzucił uwagę, że nie jest możliwe, aby pochodził on z tak wczesnego okresu jak kreda - że umieściłby go raczej w trzeciorzędzie - to jest około pięćdziesięciu milionów lat później. Byłem obecny także przy tym, jak licznik Geigera potwierdził jego tezę. W tych sprawach miał niesamowitego nosa. Ponieważ Reich będzie odgrywał istotną rolę w tej historii, powinienem powiedzieć o nim coś więcej. Podobnie jak ja, był to potężny mężczyzna, w przeciwieństwie jednak do mnie wielkość jego postury nie wynikała z przerostu tkanki tłuszczowej. Miał bary jak zapaśnik i niezwykle wysuniętą szczękę. Głos jego zawsze stanowił niespodziankę dla słuchacza, był bowiem delikatny i raczej wysoki - rezultat, jak sądzę, jakiejś infekcji w dzieciństwie.

Zasadnicza różnica pomiędzy nami wynikała jednakże z reagowania emocjonalnego na przeszłość. Reich był naukowcem pełną gębą. Dla niego cyfry jak i pomiary były wszystkim, potrafił radować się niezmiernie, gdy odczytywał kolumny cyfr stanowiących zapis wyników pomiaru licznikiem Geigera, i to ciągnących się przez dziesięć stron. Jego ulubionym twierdzeniem było, że historia powinna stać się prawdziwą nauką. Ja z kolei nigdy nie próbowałem nawet

ukrywać roli, jaką w moim życiu odgrywał element romantyczny. Archeologiem zostałem dzięki niemal mistycznemu uniesieniu. Miało to miejsce na pewnej farmie, na której przebywałem; gdzie w sypialni czytałem przypadkowo znaną książkę o cywilizacji Niniwy, napisaną przez Layarda. Część moich ubrań schła na sznurze rozwieszonym na podwórzu, gdy nagle usłyszany grzmot sprawił, że popędziłem na zewnątrz, aby je zabrać przed deszczem. W obrębie podwórza znajdowała się sadzawka o szarej, a nawet błotnistej wodzie. Zbierając swoje ubrania myślałem przebywałem gdzieś w Niniwie i - nagle spostrzegłem tę sadzawkę. Na moment zapomniałem, gdzie jestem i co robię. Sadzawka w miarę, jak się w nią wpatrywałem, traciła całą swą swojskość i poczęła stawać się czymś równie obcym, jak morza na Marsie. Stałem gapiąc się na nią, gdy pierwsze krople deszczu spadły z nieba, marszcząc jej powierzchnię. W tym momencie doznałem nieopisanego wrażenia szczęścia i olśnienia, jakiego nie znałem nigdy przedtem. Niniwa, jak i cała historia, stały się równie realne i równie obce jak ta sadzawka. Historia stała się namacalna do tego stopnia, że czułem rodzaj pogardy dla własnej egzystencji, dla siebie stojącego tam z naręczem ubrań. Przez resztę wieczoru chodziłem jak somnambulik. Od tego momentu wiedziałem, że muszę poświęcić własne życie "babraniu się w przeszłości" i próbie odtworzenia owej, doznanej wówczas, wizji rzeczywistości.

Wszystko to - jak się za chwilę okaże - ma istotny związek z moją opowieścią. Oznaczało bowiem, że mieliśmy z Reichem zupełnie odmienne postawy wobec przeszłości; stale dostarczaliśmy sobie materiału do wzajemnych nieporozumień poprzez jakieś drobne ujawnienia swych indywidualnych temperamentów. Dla Reicha nauka zawierała w sobie wszelką poezję życia, a przeszłość przypadkiem stała się polem, na którym ćwiczył swój umysł. Dla mnie natomiast nauka była służką poezji. Mój pierwszy mistrz, Sir Charles Myers, wzmocnił we mnie tę postawę, żywiąc całkowitą pogardę dla wszystkiego, co nowoczesne. Patrząc jak pracował na wykopaliskach, odnosiło się wrażenie, że dla niego nie istnieje wiek XX; był jak złoty orzeł spoglądający na historię z jakiegoś górskiego szczytu. Wobec większości ludzi żywił głęboką antypatię; kiedyś skarżył mi się, że większość ludzi jest taka "niewykończona i nędzna". To Myers sprawił, że dla mnie prawdziwy historyk był raczej poetą niż naukowcem. Powiedział on kiedyś, że rozmyślanie nad indywidualnym człowiekiem doprowadziły go do myśli o samobójstwie, że nie może pogodzić się z myślą, iż jest istotą ludzką jedynie wówczas, gdy ujmowany jest w kategoriach wzlotów i upadków cywilizacji.

Podczas tych pierwszych tygodni w Diyarbakir, gdy pora deszczowa uniemożliwiała nam jakiegokolwiek prace na wykopaliskach w Karatepe, prowadziliśmy wiele długich wieczornych dyskusji, podczas których Reich pił kwartami piwo, a ja najlepszą miejscową brandy. (Nawet w tej kwestii samoistnie ujawniała się różnica naszych temperamentów).

Otóż pewnego wieczoru otrzymałem list od Baumgarta. Był bardzo krótki. Pisał w nim po prostu, że odkrył pewne materiały w papierach Weissmana, które przekonały go, że pracodawca jego na jakiś czas przed popełnieniem samobójstwa oszalał; wierzył, iż jacyś "oni" świadomi są jego działań i będą próbowali go zniszczyć. Baumgart pisał, że z kontekstu jasno wynika, że słowo "oni" nie odnosi się do istot ludzkich. Z tego powodu postanowił nie kontynuować negocjacji związanych z publikacją pism psychologicznych Weissmana, a decyzję w tej sprawie pozostawić do mego powrotu.

Faktem tym byłem zarazem zaszokowany, jak i zaintrygowany. Akurat dotarliśmy z Reichem do takiego etapu naszej pracy, kiedy mogliśmy z czystym sumieniem zrobić przerwę na odpoczynek, jednocześnie gratulując sobie wzajemnie postępów w pracach; tak więc nasza rozmowa tego wieczoru dotyczyła wyłącznie "szaleństwa" Weissmana i jego samobójstwa. Podczas pierwszej części naszej dyskusji obecni byli dwaj tureccy koledzy Reicha z Izmiru. Jeden z nich w trakcie rozmowy napomknął o dziwnym fakcie wzrostu samobójstw na rolniczych obszarach Turcji w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Fakt ten mocno mnie zdziwił; o ile bowiem procent samobójstw w środowiskach miejskich w większości krajów stale wzrastał, to populacje wiejskie, jako całość, zdawały się być odporne na tę epidemię.

Skłoniło to jednego z naszych gości, doktora Omera Fu'ada, do zreferowania nam wyników badań prowadzonych przez jego wydział, a dotyczących samobójstw wśród starożytnych Egipcjan i Hetytów. Późniejsze tablice Arzawa wspominają o epidemii samobójstw za panowania króla Mursili II (1334-1306 roku p.n.e.) i podają liczby samobójców zamieszkujących Hattusa. Co dziwniejsze, papyrus Menetho, odkryty w 1990 roku w klasztorze w Es Suweida, również nawiązuje do epidemii samobójstw, jakie miały miejsce w Egipcie za panowania Horemhaba i Seti I (1350-1242 rok p.n.e.). Jego przyjaciel, doktor Muchammed Darga, był gorącym zwolennikiem owego dziwnego przykładu historycznej szarlatanerii, jakim jest Zmierzch Zachodu Spenglera i zaczął z kolei udowadniać, że takie epidemie samobójstw mogą być dokładnie przewidziane na podstawie wieku danej cywilizacji i stopnia jej zurbanizowania. Odwołał się do jakiejś odległej metafory, mówiącej o komórkach biologicznych oraz ich tendencji do dobrowolnego obumierania, kiedy ciało traci swą zdolność reagowania na stymulację środowiska.

Uderzył mnie zupełny nonsens takiego dowodzenia, gdyż cywilizacja Hetytów miała w 1950 roku p.n.e. ledwie 700 lat, podczas gdy Egipcjanie byli co najmniej dwukrotnie starsi, kiedy miały miejsce owe epidemie. A doktor Darga wygłaszał swe "fakty" w dość dogmatyczny sposób, który mnie osobiście drażnił. Zacietrzewiłem się - być może nie bez wpływu była tu wypita brandy - i zażądałem od naszych gości podania faktów oraz liczb. Odpowiedzieli wówczas, że zrobią to z

przyjemnością i poddadzą je osądowi Wolfganga Reicha. A że musieli lecieć z powrotem do Izmiru, opuścili nas dość wcześnie.

Wówczas to rozpoczęliśmy z Reichem dyskusję, która utrwaliła się w mej pamięci jako prawdziwy początek historii walki przeciw pasożytom umysłu. Reich - jak zwykle jasno - inteligentnie i sprawnie podsumował argumenty za i przeciw naszym hipotezom i zgodził się, że doktor Darga nie bardzo potrafi zachować w dyskusji kanony naukowej bezstronności. Reich kontynuował:

- Rozważmy dostępne nam fakty i liczby, dotyczące naszej cywilizacji. Cóż one mówią? Choćby, dla przykładu, liczby dotyczące samobójstw. W 1960 roku stu dziesięciu ludzi na każdy milion popełniło w Anglii samobójstwo; dwa razy tyle, co sto lat wcześniej. W 1970 roku liczba ta znowu się podwoiła, a w 1980 roku wzrosła sześciokrotnie...

Reich posiadał zadziwiający umysł; wydawało się, że zgromadził w nim wszelkie dane statystyczne dotyczące całego stulecia. Zazwyczaj liczby napawały mnie obrzydzeniem - w miarę jednak, jak go słuchałem, coś się ze mną działo. Poczułem w sobie powiew chłodu, jak gdybym nagle uświadomił sobie obecność jakiejś niebezpiecznej istoty spoglądającej na mnie. Po chwili wrażenie to minęło, ale zorientowałem się, że nadal dygoczę. Reich spytał:

- Zimno? - Zaprzeczyłem głową.

Kiedy Reich przerwał na chwilę swój wywód, aby wyjrzeć przez okno na oświetloną ulicę w dole, usłyszałem siebie mówiącego:

- Kiedy wszystko zostało powiedziane, nie wiemy prawie nic o ludzkim życiu.

Na to radośnie odparł Reich:

- Wiemy wystarczająco dużo, by dać sobie z tym radę i to wszystko, czego możesz oczekiwać.

Nie mogłem jednak zapomnieć owego muśnięcia chłodu. Powiedziałem wówczas:

- W końcu cywilizacja jest rodzajem marzenia sennego. Załóżmy, że człowiek nagle z tego snu się budzi? Czy doświadczenie tego wystarczyłoby, aby popełnić samobójstwo?

Miałem na myśli Karela Weissmana, a on wiedział o tym.

- A co z tymi zwidami potworów? - odparł. Musiałem przyznać, że to nie pasowało do mojej teorii. Nie mogłem strząsnąć z siebie zimnego szronu depresji, który mnie pokrył. Co więcej, ogarnął mnie przestach. Czułem, że dowiedziałem się czegoś, o czym nie mogę zapomnieć - i do czego będę musiał wrócić. Czułem też, że łatwo mogę pograżyć się w nerwowy stan panicznego strachu. Wypiłem pół butelki brandy, a mimo to czułem się przeraźliwie trzeźwy - choć beznamietnie mogłem zauważyć, że ciało moje było nieco pijane. Nie potrafiłem się jednak z nim utożsamić. Myśl, jaka mi przyszła do głowy, była przerażająca: że mianowicie procent samobójstw

wzrastał, ponieważ tysiące ludzi "budziło się" nagle z długotrwałego snu i podobnie jak ja dostrzegało absurdalność ludzkiej egzystencji i, po prostu, odmawiało kontynuowania go. Sen o historii dobiegał końca. Ludzkość właśnie zaczynała się budzić; pewnego dnia może obudzić się na dobre i popełnić masowe samobójstwo.

Myśli te były tak okropne, że kusiło mnie, aby wrócić do pokoju i tam ponownie je przetrwać. Ale zmusiłem się, wbrew swej woli, do tego, by je przedstawić Reichowi. Nie sądzę, aby mnie do końca zrozumiał; jednak zobaczył, że znajduję się w dość niebezpiecznym stanie i z pomocą niebios wypowiedział dokładnie te słowa, które były konieczne, by przywrócić memu umysłowi spokój. To, o czym zaczął mówić, dotyczyło dziwnej roli przypadku w archeologii, koincydencji zbyt dziwnej, by można było jej użyć nawet w powieści. Mówił o tym, jak George Smith wyjechał z Londynu gnany absurdalną nadzieją znalezienia glinianych tabliczek, które uzupełniłyby epos o Gilgameszu - i jak naprawdę je odnalazł. Mówił również o "nieprawdopodobnej" historii odkrycia Troi przez Schliemanna, o odnalezieniu Nimrud przez Layarda - tak jak gdyby niewidzialna nić przeznaczenia ciągnęła ich ku tym odkryciom. Musiałem przyznać, że archeologia, bardziej niż inne nauki, skłania do wiary w cuda.

Podchwycił to skrupulatnie.

- Jeśli się z tym zgodzisz, musisz też dostrzec, że popełniasz błąd sądząc, że cywilizacja jest tylko snem, czy też rodzajem nocnego koszmaru. Sen ma swą logikę dopóki trwa, ale po przebudzeniu od razu widzimy, że był jej pozbawiony. Sugerujesz, że nasze iluzje narzucają swoją logikę życiu. Dobrze, ale historie Layarda, Schliemanna, Smitha, Champolliona, Rawlinsona czy Bosserta przeczą temu stanowczo. Zdarzyły się one naprawdę. Są prawdziwymi zdarzeniami z autentycznego życia; ich istnienie przeczące wszelkiej logice powoduje, że nadają realności życiu; żaden z pisarzy nie śmiałby wymyślić bardziej...

Miał rację i musiałem się z nim zgodzić. A kiedy myślałem o dziwnym przeznaczeniu wiodącym Schliemanna do Troi czy Layarda do Nimrud, przypomniałem sobie podobne zdarzenia z mojego życia - na przykład moje pierwsze "ważniejsze" znalezisko; tabliczkę, zawierającą paralelne teksty w języku fenickim, protohetyckim i arkadyjskim, znaną w Kadesz. Przypominam sobie wszechogarniające mnie wówczas odczucie przeznaczenia, doświadczenie czegoś "boskiego, co nadaje kształt naszym poczynaniom" - lub przynajmniej zachodzącego zgodnie z jakimś tajemniczym prawem przypadku - i co dane mi było przeżyć, gdy zeszkrobywałem ziemię z owych glinianych tabliczek. Wiedziałem bowiem, przynajmniej pół godziny wcześniej nim znalazłem owe tabliczki, że tego dnia odkryję coś bardzo ważnego, a kiedy wbijałem łopatę w przypadkowo wybrane miejsce, byłem pewien, że nie będzie to strata czasu.

W przeciągu niespełna dziesięciu minut Reich ponownie zaraził mnie rozsądkiem i optymizmem.

Nie wiedziałem wówczas, że stoczyłem oto pierwszą, zwycięską bitwę z Tsathogguanami.

(Nota wydawcy: odtąd zapis nagrania magnetofonowego będzie wzbogacony Notami Autobiograficznymi autora prof. Austina, które udostępniła nam Biblioteka Uniwersytecka w Teksasie. Notatki te zostały opublikowane oddzielnie przez Uniwersytet w Miscellaneach prof. Austina. Starłem się korzystać z tych notatek jedynie po to, aby rozwinąć materiał znajdujący się w nagraniu, które zawiera jeszcze ok. 10 tysięcy słów).

Tej wiosny szczęście sprzyjało mi, bóg Archeologii pobłogosławił mnie. Pracowało mi się z Reichem tak dobrze, że postanowiłem wynająć mieszkanie w Diyarbakir i pozostać tam do końca roku. W kwietniu, na kilka dni przed wyjazdem na Czarną Górę w Karatepe, otrzymałem list od Standard Motors and Engineering, byłych pracodawców Weissmana, w którym donosili, że chcieliby zwrócić mi znaczną część pism Weissmana i pytają o mój aktualny adres. Odpisałem, że listy mogą wysyłać do Anglo-Indian Uranium Company w Diyarbakirze, i że będę wdzięczny, jeśli zechcą przesłać materiały Weissmana pod moim londyńskim adresem - albo niech zaadresują je na nazwisko Baumgarta, który dotąd przebywał w Hampstead.

Kiedy prof. Helmut Bossert po raz pierwszy dotarł do Kadirli, "miasta" położonego najbliżej Czarnej Góry Hetytów, w 1949 roku, musiał odbyć trudną podróż przez błotniste drogi. W tamtych czasach Kadirli było maleńkim, prowincjonalnym miasteczkiem, jeszcze nie zelektryfikowanym. Dzisiaj jest to zamożne, spokojne małe miasto, z dwoma znakomitymi hotelami i wygodnym połączeniem samolotem stratosferycznym z Londynem, gdzie dotrzeć można w przeciągu godziny. Wycieczka na Czarną Górę kosztowała Bosserta jeszcze jeden dzień żmudnej wspinaczki ścieżkami wydeptanymi przez pastuchów, porośłymi wzdłuż kolczastymi jałowcami. My w swym własnym helikopterze docieraliśmy z Diyarbakiru do Kadirli w przeciągu godziny, a do Karatepe przez następne dwadzieścia minut. Elektroniczne wyposażenie Reicha zostało przetransportowane samolotem w czterdzieści osiem godzin później.

Powiniennem teraz opowiedzieć coś o celu naszej ekspedycji. Z Czarną Górą, która należy do pasma górskiego Antytaurusa, wiąże się wiele tajemnic. Tak zwane imperium Hetytów upadło około 1200 roku p.n.e., pokonane przez hordy barbarzyńców, pośród których najsilniejsi byli Asyryjczycy. A jednak obiekty Karatepe pochodzą z okresu o pięćset lat późniejszego, podobnie jak w Karkemisiz i Zincirli. Co się wydarzyło w przeciągu tych pięciuset lat? Jak Hetyci zdołali zachować tak wiele ze swej kultury przez tak burzliwy okres, podczas gdy ich północna stolica -

Hattusa znajdowała się w rękach Asyryjczyków? Był to problem, którego rozwiązaniu poświęciłem dziesięć lat mojego życia.

Zawsze wierzyłem, że klucz do tej zagadki leży głęboko w ziemi, w sercu Czarnej Góry - podobnie jak głębokie wykopy na wzniesieniach Bogazkóy odsłoniły groby wysoce cywilizowanych ludzi, starszych o tysiąc lat od Hetytów. Moje wykopaliska w 1987 roku przyniosły w efekcie odkrycie pierwszej partii dziwnych, bazaltowych figurek, których sposób rzeźbienia zasadniczo różnił się od rzeźb Hetytów znalezionych na powierzchni - słynnych byków, lwów i uskrzydłonych sfinksów. Były one płaskie i kanciaste, w ich ruchu było coś barbarzyńskiego, a jednocześnie coś zupełnie odmiennego od stylu afrykańskich rzeźb, z którymi czasami były porównywane. Kluczowe symbole na tych figurkach były wyraźnie hetyckie, a nie fenickie czy asyryjskie, ale gdyby nie to, sądziłbym, że pochodzą z zupełnie odrębnej kultury. Same hieroglify były odrębnym problemem. Nasza wiedza o języku Hetytów miała dość solidne podstawy, dzięki badaniom Hroznego, ale miała też i spore luki. Stawało się to szczególnie wyraziste, gdy chodziło o odczytanie obrzędów religijnych. (Można sobie wyobrazić, na przykład, archeologa pochodzącego z dalekiej przyszłości, który stoi skonfundowany przed opisem mszy katolickiej, rozważając o roli krzyża i dziwacznych symboli). W tym przypadku przypuszczaliśmy, że symbole na bazaltowych figurkach musiały dotyczyć niemal wyłącznie rytuału religijnego, ponieważ około siedemdziesięciu pięciu procent było nam zupełnie nie znane. Jedno z kilku zdań, które zdołaliśmy odczytać, brzmiało: "Przed (lub poniżej) Pithanas mieszkali Wielcy Dawni"; oraz inne: "Tuthalijas złożył hołd Abhothowi Ciemnemu". Hetyckie symbole "ciemności" mogą oznaczać także: "czarne", "nieczyste" i "nietykalne" w takim sensie, w jakim rozumie się je w hinduizmie.

Moje znalezisko wywołało wiele poważnych komentarzy w światku archeologicznym. W tej kwestii mój pierwszy pogląd był następujący: figurki należały do innej kultury protohetyckiej (to jest poprzedników Hetytów), która różniła się istotnie od tej, którą odkryto w Bogazkóy i od której Hetyci przejęli zasady pisma. Pithanas władał Hetytami około 1900 roku p.n.e. Jeśli hipoteza moja była słuszna, to zapis głosił, że przed Pithanasem żyli tu wielcy Protohetyci, od których Hetyci przejęli zasady swego pisma. ("Poniżej" mogło oznaczać także, że ich groby znajdowały się poniżej grobów Hetytów, tak jak w Bogazkóy). Odnośnie wzmianki o Tuthalijasie, innym władcy Hetytów z około 1700 roku p.n.e., znowu wydaje się prawdopodobne, że Hetyci przejęli część rytuału religijnego od Protohetytów, którzy uznawali "Abhotha Ciemnego" (lub nieczystego) za boga.

Była to, podkreślam, moja pierwsza hipoteza mówiąca, że Hetyci przejęli czasowo religię swych poprzedników na Karatepe i w związku z tym wryli napisy na hetyckich statuettkach. Im

jednak więcej rozmyślałem o dowodach na rzecz tej tezy (które są zbyt skomplikowane, by tu je przytaczać), tym bardziej skłaniałem się ku innej hipotezie, tej mianowicie że statuetki owe mogą być pomocne przy wyjaśnieniu zagadki, w jaki sposób kultura w Karatepe trwała tak długo po upadku imperium Hetytów. Jaka siła może stanowić zaporę dla najeźdźcy przez tak długi okres? Siła oręża w tym przypadku nie wchodziła w grę. Znaleziska w Karatepe świadczą raczej o artystycznym, a nie militarnym nastawieniu tej kultury. A może neutralność? Lecz dlaczego mieliby być neutralni? Poprzez Karatepe, Zincirli i Karkemisz wiodła droga na południe, do Syrii i Arabii. Nie wydaje mi się, że istnieje tylko jedna siła, która mogłaby być na tyle potężna, aby powstrzymać ambitny i wojowniczy naród przed ekspansją: strach, u podłoża którego leżą przesady. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że siła Karatepe i jej sąsiadów leżała w potężnej religii - magii! Najprawdopodobniej Karatepe było wysoko cenionym centrum kultury magicznej, tak jak Delfy w Grecji. Hipoteza ta wyjaśniałaby obecność owych dziwnych reliefów przedstawiających ludzi z głowami ptaków, dziwaczne stwory podobne do chrząszczy, uskrzydłone lwy i byki.

Reich nie podzielał mojej opinii w tej kwestii. U podstaw naszych odmiennych poglądów legł problem wieku owych statuetek. Twierdził on mianowicie, że mimo świetnego stanu, w jakim się zachowały, były one o wiele tysięcy lat starsze od tych, pochodzących z kultury protohetyckiej. Dowodząc swej hipotezy, powołał się na dane uzyskane przy użyciu jego "elektronicznego datownika". Jest rzeczą oczywistą, iż zależało mi na tym, aby moja metoda datowania była jak najbardziej dokładna, nie byłem więc zadowolony z mojego, dość prowizorycznego, sposobu oceny wieku znalezisk. Szkopuł leżał jednak w tym, o ile wiem - w Azji Mniejszej nie istniała żadna cywilizacja przed 3000 rokiem p.n.e. Wprawdzie na południu istniała cywilizacja, której pozostałości datuje się na 5000 lat p.n.e., ale nie sięgała ona po tereny obecnej Turcji. Któż więc wyrzeźbił te statuetki? Jeśli nie Protohetyci - to kto? A może przyniesione zostały tutaj z odległych południowych terenów? Jeśli tak, to z których?

Przez pierwsze dwa wspólnie spędzone miesiące Reich kontynuował pracę nad udoskonalaniem funkcjonowania swego "neutronowego" datownika. W tym celu postanowił użyć moich statuetek. Miały one być podstawowym materiałem testowym. Jednak używając ich jako podstawy do skalowania urządzenia, doszliśmy do wręcz absurdalnych wyników. Urządzenie było niezwykle dokładne w datowaniu skorup sumeryjskich i babilońskich. Służyły one jako dodatkowy materiał kontrolny dla oceny trafności pomiaru datownika.

Nie bardzo nam jednak poszło ze statuetkami. Rezultaty były na tyle zaskakujące, że z pewnością błędne. Wiązka elektronów skierowana została na maleńkie próbki pyłu kamiennego, znajdującego się w pęknięciach i otworach statuetek. Ze stopnia zwietrzenia i zniszczenia tych fragmentów datownik powinien odczytać przybliżony czas, w którym rzeźbiono w tym bazalcie. W

tym przypadku urządzenie zawiodło całkowicie. Wskazówka na skali przesunęła się maksymalnie i wskazała około 10 tysięcy lat! Reich zamierzał poszerzyć skalę, wiedziony czystą ciekawością, aby zobaczyć, w którym miejscu skali wskazówka się zatrzyma. I rzeczywiście, dzięki kilku prostym operacjom podwoił skalę. Igła ponownie zatrzymała się dopiero na maksymalnej liczbie umieszczonej na skali. Zakrawało to już na szaleństwo; Reich zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił jakiegoś elementarnego błędu. A może kurz nie pochodził z rzeźbienia? W takim wypadku datownik podawał nam wiek bazaltu! Mimo wszystko Reich polecił swym asystentom poszerzyć skalę tak, by pozwalała mierzyć wiek obiektów, które miały do miliona lat. Było to zadanie ogromne i zajęłoby większość lata. Wtedy to zorganizowaliśmy wycieczkę do Karatepe, aby problem zbadać u samego źródła.

Tak... źródło tego problemu. Jakże nieprawdopodobnym wydaje się teraz, gdy to opowiadam! Czy można nie wierzyć w prostą koincydencję w świetle tego, co mi się przytrafiło? Dwa moje podstawowe problemy zły się w jeden: problem samobójstwa mego przyjaciela i bazaltowych figurek. Kiedy wracam myślami do owego lata, muszę porzucić wiarę w materialistyczny determinizm historyczny.

Spróbujmy jednak opowiedzieć wszystko po kolei.

Do Kadirli dotarliśmy szesnastego kwietnia. Siedemnastego założyliśmy obóz w Karatepe. Muszę przyznać, że nic nie mogło nas powstrzymać przed powrotem na jakiś czas z Karatepe do komfortowego hotelu w Kadirli. Ale robotnicy musieli nocować w najbliższej wiosce, postanowiliśmy więc, że lepiej będzie, jeśli większość czasu spędzimy na wykopaliskach. A poza tym moja romantyczna natura buntowała się przeciwko opuszczaniu co wieczór drugiego tysiąclecia p.n.e. i powrotu, na podobieństwo nagłego skoku, w koniec wieku dwudziestego. Tak więc rozbiliśmy namioty na pustynnej równinie w pobliżu wzniesienia. Regularnie docierał do nas z dołu potężny ryk kłębiących się nieustannie żółtych wód rzeki Pyramus. Elektroniczna sonda została umieszczona na szczycie usypiska.

Powiniem teraz powiedzieć kilka zdań na temat przyrządu służącego datowaniu. Był to wynalazek Reicha, który zrewolucjonizował całą archeologię. W gruncie rzeczy urządzenie pracowało na podobieństwo wykrywacza min i opierało się na wykorzystaniu promieni X. Ale detektor min zdolny jest wykrywać tylko metal, a promienie X zatrzymują się jedynie na ciałach stałych, nieprzezroczystych. Ponieważ ziemia jest właśnie stała i nieprzezroczysta, stara zasada działania promieni X nie mogła być w archeologii w ogóle zastosowana. Co więcej, rzeczy interesujące archeologów - kamienie, gliniane skorupy i cała reszta - mają strukturę molekularną

mniej lub bardziej zbliżoną do otaczającej je ziemi, tak że rzadko można je było wykrywać za pomocą promieni X.

Zmodyfikowany przez Reicha elektroniczny laser penetrował ziemię na głębokość trzech mil, a zasada na jakiej funkcjonował - "neutronowy feedback" pozwalała na natychmiastowe wykrycie wszelkich obiektów o regularnym kształcie: na przykład kamiennej płyty. Jedynym problemem było dokopanie się do znajdującego przedmiotu, ale i tego dokonać można było stosunkowo łatwo przy użyciu naszych robotów zwanych "kretami".

Nietrudno było wyobrazić sobie stan mojej ekscytacji, kiedy wyruszyliśmy do Karatepe. Piętnaście lat żmudnego kopania nie przyniosło żadnego efektu, żadnych innych bazaltowych statuetek, żadnego materiału, który mógłby posłużyć za podstawę do wyjaśnienia ich pochodzenia. Sama ilość ziemi, którą by trzeba było wykopać, powodowała, że sprawa wydawała się beznadziejna. Wynalazek Reicha problem ten rozwiązał za jednym zamachem.

A jednak przez pierwsze trzy dni uzyskane wyniki rozczarowywały nas. Pomiary dokonane poniżej starych wykopów nie wykazały niczego interesującego. Następne pół dnia zajęło nam przesunięcie urządzenia w inne miejsce, około stu jardów dalej. Byłem pewien, że tym razem coś wykryjemy - myliłem się jednak. Ponuro patrzyliśmy z Reichem to na rozciągającą się przed nami równinę, to na ogromną konstrukcję elektronicznego probierza i zastanawialiśmy się, ile razy jeszcze będziemy musieli go przesuwac, nim coś "znajdziemy".

W trzecim dniu pobytu wieczorem odwiedzili nas nasi tureccy koledzy, Fu'ad i Darga. Postanowiliśmy polecieć na posiłek do hotelu w Kadirli. Irytacja, wynikła z naszych podejrzeń, że mogą nas śledzić na polecenie rządu tureckiego, wkrótce minęła. Ich życzliwość, sympatia wobec nas - oraz chętnie udzielanie odpowiedzi na nasze pytania rozproszyły wątpliwości. Po wyśmienitym posiłku i odrobinie dobrego czerwonego wina rozczarowania, które nas dotąd podczas wykopalisk spotkały, straciły swe znaczenie. Po kolacji przeszliśmy do niewielkiej gościnnej salki, którą mieliśmy do wyłącznej dyspozycji, gdzie pijąc turecką kawę oraz brandy gawędziliśmy. Wówczas to doktor Darga powrócił do problemu samobójstw. Tym razem uzbrojony był w fakty i liczby. Nie zamierzam podejmować wysiłku przytoczenia tej dyskusji w szczegółach - trwała długo jeszcze po północy - ale wykazała, że poglądy Dargi dotyczące "biologicznego upadku" były mniej krańcowe, niż nam się to wcześniej wydawało. Bowiem - jak mówił Darga - w jaki sposób moglibyśmy wytłumaczyć fakt ogromnego wzrostu poziomu samobójstw na świecie, jeśli będziemy trwać przy poglądzie że jest to po prostu kwestia "cywilizacyjnej nerwicy"? A może jest to efekt zbyt dużego poczucia bezpieczeństwa, brak sensu życia? Jednak ciągle jest we współczesnym świecie zbyt wiele ciekawych rzeczy do zrobienia, aby wyjaśnienie takie nas satysfakcjonowało. Także psychologia przez ostatnie pięćdziesiąt lat bardzo

się rozwinęła. Poziom przestępstw jest znacznie niższy, niż można było się tego spodziewać, biorąc pod uwagę stopień przeludnienia. W pierwszej połowie dwudziestego wieku ilość samobójstw i przestępstw wzrastała jednakowo. Dlaczego więc krzywa przestępstw opadła, podczas gdy krzywa samobójstw rośnie? I to tak dramatycznie?! Nie miało to sensu. Samobójstwa i przestępstwa zawsze w przeszłości były ze sobą powiązane. W pierwszej połowie XX wieku wysoki poziom samobójstw spowodowany był, częściowo przynajmniej, przestępczością - jako że jedna trzecia wszystkich morderców popełniła samobójstwo. Nie, ciągnął dalej Darga, to jest rezultat jakiegoś dziwnego prawa historycznego, schyłku kultury przewidzianego przez Spenglera. Indywidualne ludzkie są jedynie komórkami wielkiego organizmu, jakim jest cywilizacja i tak, jak to jest z ludzkim ciałem, stopień rozpadu wzrasta wraz z wiekiem...

Musiałem przyznać, że przekonał mnie więcej niż w pięćdziesięciu procentach. Wpół do pierwszej w nocy rozstaliśmy się w jak najlepszych nastrojach, a nasze dwa helikoptery znad Kadirli odleciały w świetle księżyca w przeciwnych kierunkach. O pierwszej w nocy byliśmy z powrotem na terenie wykopalisk.

Była piękna noc. Powietrze przepełnione zapachem asfodelii, które Grecy nazywali kwiatami świata podziemnego, oraz szczególną wonią krzewów porastających wzgórza. Jedynymi dźwiękami, zakłócającymi ciszę, były odgłosy kipieli rzeki. Szczyty gór przypomniały mi moją pierwszą podróż na Księżyc. Tak samo tu, jak i tam rzucało się w oczy martwe, obojętne piękno krajobrazu.

Reich skierował swe kroki do namiotu, był bowiem pogrążony ciągle w świecie danych statystycznych, przytoczonych przez Dargę. Wszedłem na szczyt wzgórza, skryłem się w jednym z pomieszczeń górnej bramy. Później wspiąłem się schodami na szczyt muru i stałem tam, patrząc na rozległą równinę spowitą księżycową poświatą. Przypominam sobie, że ogarnął mnie romantyczny nastrój, co więcej - pragnąłem coraz bardziej pogrążyć się w nim. Stałem tam ledwo co oddychając, myśląc o dawno umarłych wartownikach, którzy tak jak ja stali w tym miejscu, i o czasach kiedy po drugiej stronie gór żyli Asyryjczycy.

Raptem myśli moje stały się ponure. Stojąc tam, poczułem się czymś zupełnie marnym, bez znaczenia. Zobaczyłem moje życie podobne do maleńkiej fali w ogromnym morzu czasu. Doznałem poczucia obcości otaczającego mnie świata, obojętności wszechświata; ogarnęło mnie pewnego rodzaju zdziwienie wobec uporu istot ludzkich i ich nieuleczalnej żłudy wielkości. Nagle zrozumiałem, że życie jest niczym więcej, jak tylko snem. Dla ludzi nigdy nie stało się ono rzeczywistością.

Samotność zaczęła doskwierać coraz mocniej. Pragnąłem porozmawiać z Reichem, ale zauważyłem, że światło w jego namiocie zgasło. Sięgnąłem do górnej kieszeni po chusteczkę do

nosa i ręka natrafiła na cygaro, które przyjąłem od doktora Fu'ada. Wziąłem je od niego na zasadzie rytualnego gestu przyjaźni, gdyż w zasadzie nie palę. Teraz jednak zapach cygara przeniósł mnie znowu do codziennego świata ludzi. Postanowiłem zapalić. Odciąłem jeden koniec scyzorykiem, a drugi przekłułem. W momencie, w którym po raz pierwszy zaciągnąłem się dymem cygara, pożałowałem tego, że po nie sięgnąłem. Miało odrażający smak. Położyłem je na murze za moimi piecami i dalej gapiłem się na dolinę pode mną. Po kilku minutach jednak przyjemny zapach skusił mnie, bym sięgnął po nie znowu. Tym razem zaciągnąłem się wiele razy, wydmuchując dym. Moje czoło zwilgotniało i musiałem oprzeć się o mur. Przez chwilę obawiałem się, że zwymiotuję całą wspaniałą kolację. Po chwili mdłości minęły, ale pozostało poczucie braku ciała.

Wtedy ponownie spojrzałem na księżyc. Nagle ogarnął mnie niewypowiedziany, przejmujący strach. Czuję się jak lunatyk, który niespodziewanie obudził się nad urwiskiem, tysiąc stóp ponad ziemią. Strach był tak silny, że wydawało mi się, iż mój umysł rozplywa się; uczucie to było nie do zniesienia. Podjąłem z tym usilną walkę, starałem się zrozumieć przyczyny stanu mojego umysłu. Stracił związany był - jak sądziłem - z tym, jak odbierałem świat na który patrzyłem, ze świadomością, że stanowią tylko przedmiot w ogólnym pejzażu. Bardzo trudno mi jest to wyjaśnić, ale nagle wydało mi się, że ludzie pozostają przy zdrowych zmysłach jedynie dlatego, iż potrafią patrzeć na świat wyłącznie ze swego własnego, ciasnego punktu widzenia; z pozycji robaka. Coś ich zachwyca i coś ich przeraża, ale spoglądają na to przez okulary własnej osobowości. Strach wytrąca ich z poczucia pewności, ale nie ubezwłasnowolnia ich całkowicie. Co więcej, w przedziwny sposób dzieje się coś wręcz przeciwnego, gdyż wzmacnia on poczucie ich indywidualnego istnienia. Zostałem nagle jakby wyjęty z futerału własnej osobowości, by spojrzeć na siebie jako na szczegół zaledwie w krajobrazie wszechświata, równie mało ważny jak mucha czy kamień.

W rezultacie dotarłem do drugiego etapu tego przeżycia. Powiedziałem sobie: - Ależ jesteś przecież czymś znacznie więcej niż kamieniem czy muchą. Nie jesteś li tylko rzeczą. Bez względu na to, czy świat, który cię otacza, jest iluzją czy nie, umysł twój zawiera wiedzę wszystkich pokoleń. Jest w tobie, takim jaki tu stoisz, więcej wiedzy niż w całym British Museum, łącznie z tysiącami regałów książek wewnątrz niego.

Myśl ta w pewnym sensie była dla mnie czymś nowym. Dzięki niej zapomniałem o krajobrazie, który mnie otaczał i zwróciłem się ku memu wnętrzu. Wówczas, w naturalny sposób, wyłoniło się następujące pytanie: jeśli przestrzeń na zewnątrz człowieka jest nieskończona, to jaka jest przestrzeń wewnątrz niego? Blake powiedział kiedyś, że przestrzeń zawarta jest wewnątrz atomu. Paraliżujące mnie wcześniej przerażenie minęło. Zrozumiałem, że byłem w błędzie sądząc, że jestem jedynie rzeczą w martwym krajobrazie. Zakładałem, że ograniczenia, jakim jest poddany

człowiek, wynikają z faktu, iż jego mózg dysponuje ograniczonymi możliwościami; że możliwości człowieka są wyznaczone możliwościami jego mózgu. Ale przestrzeń umysłu jest przecież nowym wymiarem. Ciało jest tylko ścianką pomiędzy jedną a drugą nieskończonością. Przestrzeń rozciąga się w nieskończoność, na zewnątrz jak i wewnątrz człowieka.

Był to moment równy objawieniu; był jak przenikające wszystko olśnienie. Ale stojąc tam, całkowicie niepomny istnienia świata zewnętrznego, koncentrując wszystkie swe siły na owych wewnętrznych przestrzeniach, odczułem coś, co mnie przeraziło. Prawie nie mogę tego opisać. Było tak, jakbym kątem oka - wzrokiem zwróconym ku wnętrzu - spostrzegł obecność obcego stworzenia. Doznałem wręcz szoku, tak jakbym leżąc wygodnie w ciepłej kąpieli nagle poczuł, jak coś śliskiego ociera mi się o nogę.

W tym momencie olśnienie minęło. Patrząc na szczyty gór przede mną jak i na wędrujący księżyc, poczułem dreszcze zadowolenia. Było tak, jakbym wrócił do domu po długiej podróży z drugiego końca wszechświata. Czułem się zmęczony, kręciło mi się w głowie. Wszystko trwało zaledwie pięć minut. Wróciłem do swego namiotu i spróbowałem znowu zajrzeć w głąb siebie. Na chwilę mi się to udało.

Tym razem jednak nie czułem nic.

Leżąc już, otulony śpiworem, stwierdziłem, że nie chce mi się spać. Wolałbym pogawędkę z Reichem lub z kimkolwiek. Musiałem jakoś wyrazić to, z czego zdałem sobie nagle sprawę. Człowiek zakłada, że jego świat wewnętrzny jest czymś prywatnym. "Mogła jest przyjemnym, prywatnym miejscem", powiedział Marvell i to samo sądzimy o umyśle. W rzeczywistym świecie nasza wolność jest ograniczona, w wyobraźni możemy robić wszystko, co nam się żywnie podoba; co więcej, możemy nie dopuścić świata do naszych sekretów, umysł jest bowiem najbardziej prywatnym miejscem we Wszechświecie. Czasem, być może zbyt prywatnym. O kluczu, każdy w swoim więzieniu, myślimy. Cały problem leczenia szaleńca zawarty jest w umiejętności włamania się do tego więzienia.

Nie mogłem jednak zapomnieć tego, iż poczułem, że wewnątrz mego umysłu znajduje się ktoś obcy. Wróciłem do tego problemu w myśli, i teraz nie wydawało mi się to tak przerażające. W końcu - jeśli się wchodzi do swego pokoju i nagle napotyka się tam na kogoś obcego, to pierwszą naturalną reakcją jest strach, że może jest to złodziej. Ale wkrótce strach mija. Nawet jeśli jest to złodziej, to konfrontacja z nim staje się czymś rzeczywistym, zagrożenie jest realne - i wówczas ów błysk przerażenia przemija. To, co mnie tak zaszokowało, to poczucie czegoś - lub kogoś - wewnątrz mojej, że tak powiem, własnej głowy.

Strach przed nieznanym minął i umysł po prostu zajął się tym problemem. W tym momencie poczułem się śpiący. Jedną z ostatnich myśli, jaka mi się nasunęła, było przypuszczenie, że mogła to być halucynacja wywołana turecką kawą i cygarem...

Już następnego ranka, koło siódmej, wiedziałem na pewno, że nie była to halucynacja. Pamięć tych doświadczeń była zadziwiająco jasna. W dodatku - muszę teraz przyznać - doświadczenia te bardziej mnie fascynowały, niż przerażały. Łatwo to zrozumieć. Świat życia codziennego wymaga skupienia uwagi na tym, co się robi, a co zarazem uniemożliwia "zatopienie się w sobie". Jako romantykowi zawsze brakowało mi codzienności, lubię bowiem pogrążyć się w sobie. Problemy i lęki codzienności utrudniają to. No tak, teraz żywiłem lęk wobec czegoś wewnątrz mnie i to przypominało mi, że mój świat wewnętrzny jest tak samo realny i ważny jak świat fizyczny.

Miałem ogromną ochotę porozmawiać o tym wszystkim, co przeżyłem, przy śniadaniu z Reichem. Coś mnie jednak przed tym powstrzymywało - myślę, że była to po prostu obawa, iż zostanę źle zrozumiany. Zauważył, że jestem jakiś rozkojarzony, ale odparłem mu, że zachowałem się wczoraj wieczorem niezbyt mądrze, paląc cygaro podarowane mi przez Dargę. I to było wszystko, co mu powiedziałem...

Tego ranka doglądałem przenoszenia elektronicznej sondy w nowe miejsce, bliżej wzniesienia. Reich udał się do namiotu, by wymyślić coś, co ułatwiłoby przemieszczanie tego ciężkiego urządzenia - chodziło mu o stworzenie czegoś na podobieństwo poduszki powietrznej, która byłaby umieszczona pod urządzeniem; na przykład pojazd pracujący na podobieństwo poduszkowca. Robotnicy postawili sondę w połowie drogi do ruin, poniżej dolnej bramy. Kiedy wszystko już było gotowe, zająłem miejsce w urządzeniu pomiarowym, nastawiłem odpowiednio ekran i włączyłem przycisk.

Prawie natychmiast zorientowałem się, że czujniki natrafiły na coś. Biała linia, przebiegająca pionowo przez ekran, wskazywała niewielkie wybrzuszenie na wysokości połowy monitora. Kiedy wyłączyłem zasilanie wzmacniając sygnał zwrotny, natychmiast przekształciła się ona w szereg równoległych linii poziomych. Wysłałem kogoś, by ściągnął Reicha i nadal ostrożnie przesuwając gałki kontrolne, sondując we wszystkich kierunkach wokół odkrytego, regularnego przedmiotu. Monitor wykazał, że przedmiotów takich było więcej, leżących po prawej i lewej stronie odkrytego obiektu.

Było to, oczywiście, pierwsze moje doświadczenie związane z odnajdywaniem czegokolwiek za pomocą sondy; tak więc nie miałem żadnego pojęcia, jakich rozmiarów był odkryty obiekt ani na jakiej głębokości leżał. Kiedy w chwilę później nadbiegł Reich, rzucił tylko okiem na ekran, a następnie na tablicę kontrolną i jęknął:

- Chryste, to cholerne urządzenie zepsuło się!

- W jaki sposób?

- Musiałeś za mocno przekręcić gałki urządzenia kontrolnego i coś się rozłączyło. Zgodnie z tym, co teraz pokazuje, obiekt, który zlokalizowałeś, znajduje się dwie mile pod nami i ma siedemdziesiąt stóp wysokości!

Wstałem z fotela z dość ponurą miną. To prawda, nie potrafię obchodzić się z urządzeniami mechanicznymi. Nowe samochody psują się całkowicie w przeciągu kilku godzin, jeśli tylko ja nimi kieruję. W maszynach, które nie sprawiały dotąd nikomu najmniejszych kłopotów, wysiadały bezpieczniki - jak tylko się do nich zbliżałem. W tym jednak wypadku nie sądziłem, bym cokolwiek złego zmagstrował przy tym urządzeniu, ale i tak miałem poczucie winy.

Reich odkręcił płytę zakrywającą część mechanizmów sondy i zajrzał do środka. Nie stwierdził, by cokolwiek nawaliło, ale zaraz dodał, że po lunchu będzie musiał sprawdzić wszystkie obwody, aby się co do tego upewnić. Kiedy go przeproszałem, klepnął mnie po ramieniu:

- Nie ma sprawy. W końcu coś znaleźliśmy. Teraz tylko musimy się dowiedzieć, jak głęboko to się znajduje.

Zjedliśmy dobry lunch na zimno. Następnie Reich pospieszył do swego urządzenia. Wziąłem nadmuchiwany materac i poszedłem położyć się pod bramą lwów, aby dojść do siebie po nieprzespanej nocy. Spałem głęboko i spokojnie przez dwie godziny:

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Reicha stojącego obok mnie i wpatzonego w rzekę. Spojrzałem na zegarek - i zerwałem się z materaca.

- Czemu, do diabła, nie obudziłeś mnie?

Siadł obok mnie na ziemi. Wyglądał na zrezygnowanego.

- Co się stało? Nie znalazłeś usterki?

Spojrzał na mnie, zamyślony:

- Nie ma żadnej usterki.

- Mówisz, że sonda jest już naprawiona?

- Nie. Ona była w porządku.

- To bardzo dobrze, to pocieszające. W takim razie, co nie grało?

- To właśnie mnie martwi. Wszystko było w porządku.

- Ach, tak! W takim wypadku możesz podać, na jakiej głębokości znajduje się obiekt?

- Tak, mogę. Tak głęboko jak wskazał licznik. Dwie mile.

Opanowałem ogarniające mnie podniecenie, już dziwniejsze rzeczy mi się przytrafiały.

- Dwie mile - powtórzyłem. - Przecież jest to głębokość, sięgająca poniżej stóp wzgórze. Myślę... że taka głębokość lokalizuje obiekt w skałach archeozoicznych.

- To zależy. Myślę jednak, że masz rację.

- Poza tym, jeśli głębokość położenia obiektu została ustalona prawidłowo, to również, najprawdopodobniej, prawidłowy jest także pomiar wielkości obiektu: około siedemdziesięciu stóp; brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie. Nawet bloki wielkiej piramidy nie mają takich rozmiarów.

Na te moje wywody Reich odparł dobrotliwie:

- Drogi przyjacielu, całkowicie podzielam twój pogląd w tej kwestii. Jest to po prostu niemożliwe. Ale sprawdziłem cal po calu wszystkie obwody sondy i doprawdy nie wiem, gdzie mogłoby powstać uszkodzenie.

- Jest tylko jeden sposób, aby to sprawdzić: wypląć pod ziemię "kreta".

- To właśnie chciałem ci zasugerować. Lecz jeśli rzeczywiście obiekt leży dwie mile pod powierzchnią, to kret w niczym nie pomoże.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, ponieważ nie jest przystosowany do przebijania się przez skały, tylko przez ziemię i glinę. A najprawdopodobniej w trakcie zbliżania się do obiektu, który zlokalizowała sonda, trafi na skały. Po drugie, jeśli nawet nie natrafi na tej głębokości na skały, to i tak ciśnienie wewnątrz ziemi zniszczy go; to tak, jakby znajdował się dwie mile pod powierzchnią morza. Ciśnienie wyniosłoby wówczas tysiąc funtów na cal kwadratowy. A i temperatura wzrasta o sto stopni na każdą milę głębokości. Mogłoby więc być za gorąco jak na naszego kreta, będącego urządzeniem naszpikowanym elektroniką.

Ogrom problemu przerażał mnie. Jeśli Reich miał rację, to nie było żadnej nadziei, aby kiedykolwiek wydobyć ten obiekt - obiekt, który najprawdopodobniej stanowił część muru miasta lub świątyni. Pomimo naszej współczesnej, tak skutecznej techniki, nie byliśmy w stanie zdobyć urządzeń pracujących w tak wysokich temperaturach, pod tak wysokim ciśnieniem i zdolnym wynieść z głębokości dwóch mil równie wielkie bloki.

Powróciliśmy z Reichem do sondy. Jeśli wyniki, które podawała, były poprawne - a Reich zdawał się tak sądzić - to pojawiał się przed archeologią problem niezwykle. Jak, do diabła, mogły się owe obiekty tak głęboko zapaść? Być może w trakcie jakiejś erupcji cały ten obszar obniżył się. Spadł w otchłań pod nim się znajdującą. Zatem - pewnie pusta przestrzeń wypełniona była wodą lub mułem... Ale... muł, sięgający dwóch mil w głąb? Jak wiele tysięcy lat potrzeba byłoby na to? Obydwa czuliśmy, że tracimy rozsądek. Kusiło nas, by pospieszyć do telefonu i skonsultować się z kolegami, ale powstrzymywał nas przed tym krokiem strach, że popełniliśmy jakiś niewyobrażalny błąd.

O piątej kret gotów był do pracy, jego nos skierowany był prosto ku dołowi. Reich z odległości obsługiwał urządzenie sterownicze i podobny do pocisku, nos kreta zaczął się obracać.

Zaczął drążyć ziemię, która po chwili utworzyła niewielkie, miążskie usypisko. Przez kilka chwil usypisko drżało. Później kret zniknął bez śladu.

Podszedłem do ekranu radaru. Na samej górze poruszał się niewielki biały punkcik. Obserwowaliśmy jak posuwał się ku dołowi wolno - bardzo wolno, wolniej niż ruch wskazówki minutowej zegarka. Obok ekranu radaru inny monitor, podobny do telewizora, pokazywał tylko faliste linie przypominające dym. Chwilami linie te stawały się cieńsze w niektórych miejscach lub znikwały w ogóle; działo się tak wtedy, gdy kret trafiał na skałę. Gdyby napotkał jakikolwiek obiekt o grubości większej niż dziesięć stóp, wyłączyłby się automatycznie, a elektroniczny laser zbadałby jego powierzchnię.

Godzinę później biała plamka przesunęła się do połowy ekranu - kret znajdował się na głębokości mili. Poruszał się teraz jeszcze wolniej. Reich podszedł do sondy i włączył ją. Jej urządzenia zarejestrowały kreta - także na głębokości mili. Pod nim, bardziej ku dołowi ekranu, widać było ogromny blok skalny. Wskazania sondy były dokładne.

Teraz wszyscy czekaliśmy w napięciu. Robotnicy stali w grupie z oczami wbitymi w ekran. Reich wyłączył sondę; wysyłana przez nią wiązka promieni mogła uszkodzić aparaturę kreta. Ryzykowaliśmy utratą bardzo cennej części naszego naukowego wyposażenia, ale nie widzieliśmy innego wyjścia. Sprawdziliśmy raz, a potem jeszcze raz, prawidłowość funkcjonowania sondy. Za każdym razem wskazywała ona, że potężne bloki miały mniej lub bardziej regularne kształty i spoczywały obok siebie. Niemożliwe, by były to naturalne skały.

Zniszczenie kreta nie musiało być czymś nieuchronnym. Jego wzmocniony pancerz mógł wytrzymać temperaturę do dwóch tysięcy stopni. Konstruktorzy zakładali nawet, że może on być eksploatowany w terenie, gdzie występują wulkaniczne lawy. Siła pancerza była ogromna, twórcy gwarantowali wytrzymałość na ciśnienie dwóch i pół tony na cal kwadratowy. Gdyby jednak dotarł do skalnych bloków znajdujących się na głębokości dwóch mil, będzie musiał wytrzymać ciśnienie dwukrotnie - lub prawie dwukrotnie - większe. Poza tym znajdujące się wewnątrz urządzenie nadawcze mogło nie wytrzymać takiej temperatury, na jaką kret będzie narażony. Dodatkowo zawsze istniało prawdopodobieństwo uwolnienia się kreta spod naszej kontroli lub uszkodzenia odbiornika.

Około wpół do dziewiątej, gdy zapadała już noc, kret przesunął się o dalszą połowę odległości, jaka dzieliła go od bloków. Były już tylko pół mili pod nim. Poleciliśmy robotnikom iść do domu, ale wielu z nich zostało. Kucharz przygotował nam posiłek z puszki; najwidoczniej zupełnie nie miał chęci na robienie czegoś bardziej pracochłonnego. Kiedy zapadła noc, siedzieliśmy w ciemności, nasłuchując cichego szumu urządzeń pomiarowych i wpatrując się w cudowny, biały punkt. Chwilami byłem już przekonany, że się zatrzymał. Reich, który miał lepszy

wzrok, przekonywał mnie, że tak nie jest. O wpół do jedenastej odeszli z obozu ostatni robotnicy. Okryłem się stertą koców, gdyż zerwał się zimny wiatr. Reich palił jednego papierosa za drugim; nawet ja sięgnąłem po dwa. Nagle szum ustał. Reich zerwał się na równe nogi.

- Dotarł - powiedział.

- Jesteś pewien? - zauważyłem, że powiedziałem to skrzekliwym głosem.

- Całkowicie. Pozycja jest prawidłowa. Jest teraz bezpośrednio nad obiektem.

- I co teraz, co dalej?

- Uruchomimy skaner.

Włączył urządzenie. Utkwiliśmy wzrok w ekranie telewizyjnym; był czysty, co wskazywało, że skaner odbierał obraz masywnego i twardego obiektu. Reich nastroił urządzenie kontrolne. Znowu pojawiły się faliste linie, ale tym razem cieńsze i prostsze. Reich wyregulował urządzenie tak, by zbliżyć je do siebie: cała powierzchnia ekranu zasnęła się jednolitym wzorem czarnych i białych linii, jak para spodni w wąskie paski. Na tle owych linii bardzo wyraźnie rysowała się pewna liczba czarnych szram, swego rodzaju nacięć na skale. Napięcie kilku minionych godzin było tak wielkie, że byłem w stanie patrzeć na to bez większych emocji. Nie miałem wątpliwości, co to jest. Widziałem je już wiele razy przedtem - na bazaltowych statuetkach. Patrzyłem na symbole przedstawiające imię Abhotha Ciemnego.

Nie pozostało nic więcej do zrobienia. Sfotografowaliśmy obraz znajdujący się na ekranie, a następnie udaliśmy się do namiotu Reicha, by skontaktować się drogą radiową z Dargą przebywającym w Izmirze. Reich rozmawiał z nim pięć minut. Wyjaśnił całą sytuację, przeprosił za ryzyko, na jakie naraziliśmy kreta - będącego własnością rządu tureckiego - i powiedział, że definitywnie rozpoznaliśmy skalne bloki, które należą do kultury Wielkich Dawnych, o której wspomina napis na jednej z figurek.

Darga, jak podejrzewałem, był trochę pijany. Następnie zaproponował, że skoczy po Fu'ada, z którym natychmiast do nas przylecą. Przekonaliśmy go, że taki pośpiech nie ma zupełnie sensu, gdyż idziemy spać. Zaproponował, abyśmy spróbowali przesunąć kreta trochę w bok, by zbadał drugi blok. Reich odpowiedział mu, że jest to zupełnie niemożliwe. Kret nie mógł się poruszać w bok - a tylko do przodu lub do tyłu. Trzeba byłoby wycofać go z powrotem na setki stóp i następnie zmienić kierunek poruszania się w dół. Zabrałoby to wiele godzin.

W końcu przekonaliśmy Dargę i zakończyliśmy rozmowę. Byliśmy obaj potwornie zmęczeni, ale żaden z nas nie był senny. Kucharz zostawił przypadkiem urządzenie do zaparzania kawy. Wbrew rozsądkowi przyrządziliśmy kawę i otworzyliśmy butelkę brandy...

W takiej właśnie sytuacji, siedząc o północy w namiocie Reicha, 21 kwietnia 1997 roku, opowiedziałem mu o tym, co przeżyłem poprzedniej nocy. Zacząłem o tym mówić, jak sądzę, po

to, byśmy mogli oderwać się od problemów wynikłych z odkrycia podziemnych bloków o rozmiarach siedemdziesięciu stóp. I to mi się udało. Ku memu zdziwieniu nie uznał tego, co mu powiedziałem, za jakieś dziwactwo. Podczas studiów studiował psychologię Junga i był obeznany z koncepcją "nieświadomości kolektywnej". Jeśli istnieje nieświadomość kolektywna - jak zakłada teoria Junga - to ludzie nie stanowią samotnych wysp, ale są częścią olbrzymiego kontynentu umysłu. Był znacznie bardziej odczytany w psychologii niż ja. Przytoczył cytaty z pracy Huxley'a, który brał - gdzieś w latach czterdziestych - meskalinę i doszedł do podobnych co i ja konkluzji, dotyczących przestrzeni wewnątrz nas. Huxley, jak się wydaje, poszedł dalej mówiąc o umyśle jako o odrębnym świecie, zbudowanym na podobieństwo tego w którym żyjemy; porównał go do planety z własnymi dżunglami i oceanami. A na planecie tej - jak można się było tego spodziewać - żyją rozmaite dziwne stworzenia.

W tym miejscu zaprotestowałem. Huxley z pewnością, mówiąc o dziwnych stworzeniach, traktował to jako metaforę, taką licentia poetica. Mieszkańcami umysłu są wspomnienia, idee - ale nie potwory!

Reich obruszył się na to:

- A skąd wiemy, że nie?

- Zgadza się, że nie wiemy. Ale zaprzeczenie temu dyktuje zdrowy rozsądek.

Pomyślałem o swych przeżyciach ubiegłej nocy i poczułem się mniej pewny. Czy to, co powiedziałem, było efektem zdrowego rozsądku? A może to po prostu zwykły nawyk, wynikły z określonego sposobu myślenia o umyśle - podobnie jak nasi przodkowie myśleli, że ziemia jest centrum wszechświata? Mówię o moim umyśle w taki sam sposób, jak o "moim ogródku" przy domu. Ale w jakim sensie mój przydomowy ogródek jest rzeczywiście "mój"? Pełno jest przecież robaków i owadów, które bynajmniej nie prosiły mnie o przyzwolenie, by mogły tam żyć. Będzie nadal istniał, nawet wówczas, gdy będę martwy...

To dziwne, ale ten tor myślenia sprawił, że poczułem się lepiej. Wyjaśniał mój lęk, albo wydawało mi się, że wyjaśnia mój lęk. Jeżeli indywidualność człowieka jest złudzeniem, a umysł jest rzeczywiście rodzajem oceanu, to dlaczego nie miałby on być zaludniony obcymi stworzeniami? Zanim zasnąłem, zanotowałem sobie: zamówić Heaven and Heli Huxley'a. Myśli Reicha przybrały natomiast bardziej praktyczny wymiar. Dziesięć minut po naszym rozstaniu zastukał do mego namiotu, mówiąc:

- Myślę, że moglibyśmy poprosić Dargę, by pożyczył nam duży poduszkiwiec do przenoszenia sondy. Na pewno ułatwiłoby to nam życie...

Teraz z perspektywy czasu wydaje mi się wręcz absurdalnym, że żaden z nas nie przewidział konsekwencji naszego odkrycia. Oczywiście, spodziewaliśmy się, że narobimy szumu w archeologicznym światku. Obydwaj jednak nierozłącznie zapomnieliśmy o tym, co się działo, gdy Carter odkrył grób Tutenchamona, czy kiedy w Qumran znaleziono zwoje znad Morza Martwego. Archeolodzy nigdy nie liczą się z istnieniem massmediów i histerią dziennikarzy.

Fu'ad i Darga obudzili nas o wpół do siódmej. Przybyli, zanim nadeszli robotnicy. Towarzyszyli im czterej wysokiej rangi urzędnicy oraz para amerykańskich gwiazd filmowych, która akurat zwiedzała okolicę. Reich chciał wyrzucić całe to niezapowiedziane towarzystwo z terenu wykopalisk, ale uświadomiłem mu, że rząd turecki ma absolutne prawo do inspekcji - no, może wyłączając z tego prawa gwiazdy filmowe.

Po pierwsze, chcieli, aby ich przekonać, że bloki znajdują się rzeczywiście na głębokości dwóch mil. Reich włączył urządzenia sondy i pokazał im zapis "bloku Abhotha" (jak go nazwaliśmy) i znajdującego się koło niego kreta. Darga wyraził wątpliwość, czy kret może funkcjonować na głębokości dwóch mil - w odpowiedzi na co Reich cierpliwie podszedł do tablicy sterującej, by uruchomić go.

Jednak próby włączenia urządzenia nie udały się - ekran wciąż pozostawał czysty. Kopnął nawet urządzenie, by je włączyć, ale i to nie przyniosło żadnego rezultatu. Narzucił się tylko jeden wniosek: temperatura albo, być może, ciśnienie zniszczyły kreta.

Była to niewątpliwie porażka, lecz nie tak duża, jakby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Kret był drogi, ale można było go wymienić na innego. Darga i Fu'ad nadal chcieli, by ich przekonać, że nie ma błędu w odczytach sondy. Reich spędził cały ranek demonstrując i udowadniając, że wszystkie obwody urządzenia są w porządku i nie ma powodu wątpić, że bloki znajdują się rzeczywiście na głębokości dwóch mil. Wywołaliśmy fotografię bloku Abhotha i porównaliśmy ze znakami wyrytymi na bazaltowych statuetkach. Nie sposób było się pomylić: pochodziły one z tej samej kultury.

Istniało, oczywiście, tylko jedno rozwiązanie powstałego problemu: budowa normalnego tunelu prowadzącego do bloków. Muszę zaznaczyć, że wówczas nie mieliśmy żadnego pojęcia o rozmiarach poszczególnych bloków. Założyliśmy, że wysokość wskazana przez urządzenia sondy mogła być wysokością ściany albo całego budynku. Trzeba przyznać, że zdjęcie radarowe postawiło przed nimi interesujący problem; zostało ono zrobione z góry - co oznaczało, że sfotografowaliśmy ścianę lub budynek, leżący na boku. Żadna ze starożytnych cywilizacji, o ile wiem, nie umieszczała inskrypcji na szczycie murów lub na dachu budynków.

Nasi goście byli zarazem zakłopotani, jak i pod wrażeniem tego, co zobaczyli. Jeśli nie okaże się niewypałem, to z całą pewnością będzie to największe odkrycie w całej historii

archeologii. Jak dotąd, najstarszą znaną nam cywilizację stanowili Indianie Masma z płaskowyżu Marcahuasi, zamieszkujący Andy przed dziewięcioma tysiącami lat. Przypomnieliśmy sobie nagle o rezultatach testów, przeprowadzonych na bazaltowych statuetkach za pomocą neutronowego datownika, które uznaliśmy za nietrafne. Potwierdzały one teraz nasze założenie, że mamy do czynienia z pozostałościami cywilizacji co najmniej dwukrotnie starszej od tej z Marcahuasi.

Fu'ad i jego koledzy zostali na lunchu i pożegnali się z nami dopiero o drugiej. Teraz ich ekscytacja odkryciem udzieliła się i mnie, choć muszę przyznać, że byłem poirytowany tym, że pozwoliłem sobie na takie odczucia. Fu'ad obiecał przysłanie poduszkowca możliwie jak najszybciej, ale zarazem nadmienił, że może to zająć kilka dni. Do tego czasu nie chcieliśmy sami przesunąć sondy. Było jasne, że teraz otrzymamy znacznie większą pomoc od rządu, niż zakładaliśmy to na początku i że nie było sensu tracić energii na zmianę położenia sondy. Mieliśmy drugiego kreta, ale bez sensu było ryzykować jego utratę. Teraz więc, w pół do trzeciej, usiedliśmy w cieniu niższej bramy, wypiliśmy sok pomarańczowy i odprężyliśmy się.

Pół godziny później pojawił się pierwszy dziennikarz - był nim korespondent "New York Timesa" z Ankary. Reich był wściekły. Przypuszczał - zresztą niesłusznie - że rząd turecki usiłuje wykorzystać odkrycie dla autoreklamy. (Później dowiedzieliśmy się, że odpowiedzialność za poinformowanie prasy ponoszą gwiazdy filmowe). Reich zniknął w swoim namiocie, a ja zostałem, by zabawić dziennikarza, dość miłego mężczyznę, który znał moją książkę o Hetytach. Pokazałem mu fotografię i wyjaśniłem zasadę działania sondy. Kiedy zapytał, co się stało z kretem, odparłem, że nie mam pojęcia. Że - o ile wiem - dowodzi to sabotażu troglodytów. Był to chyba mój pierwszy błąd. Drugi zrobiłem wówczas, gdy udzieliłem mu odpowiedzi na pytanie o wielkości bloku Abhotha. Zauważyłem, że nie mamy dowodów na to, iż jest to tylko pojedynczy blok - wręcz przeciwnie, sądzimy, że po obu jego stronach znajdują się inne bloki podobne. Mógłby to być monument religijny o kształcie bloku albo, być może, konstrukcja podobna do ziguratu w Ur. A jeśli to jest blok pojedynczy, oznacza to, że mamy do czynienia z cywilizacją gigantów...

Ku memu zdziwieniu to moje bajdurzenie potraktował aż nadto poważnie. Zapytał mnie, czy prawdziwa jest teoria mówiąca, że świat był kiedyś zamieszkały przez rasę gigantów, których zniszczyła jakaś katastrofa lunarna? Odparłem, że jestem naukowcem, a więc muszę być otwarty na różne hipotezy, zanim nie zbierzemy odpowiedniej liczby danych. - Ale czy to właśnie nie są te wystarczające dane? - nalegał dalej. Odpowiedziałem, że jest zbyt wcześnie, by mówić o tym co odkryliśmy. Wówczas zadał mi pytanie: - Jak ja sądzę, czy jest możliwe, by takie ogromne bloki mogły być przemieszczane przez ludzi, tak jak to było w przypadku piramidy w Giza czy Piramidy Słońca Toltec w Teotihuacan? Ciągle jeszcze nic nie podejrzewając, zauważyłem, że największe

bloki z piramidy w Giza ważą dwanaście ton. Blok o wysokości siedemdziesięciu stóp waży tysiące ton. Zgodziłem się, że nie wiemy dotąd, jak kamienie z piramidy Cheopsa - czy te w Stonehenge - zostały przetransportowane; starożytni mogli posiadać daleko większą wiedzę na ten temat, niż myślimy...

Nim skończyłem rozmowę z dziennikarzem "New York Timesa", pojawiły się trzy następne helikoptery. Przybyli kolejni dziennikarze. Około czwartej skłoniono Reicha do wyjścia z namiotu i zademonstrowania działania sondy - co uczynił bardzo niechętnie. Około szóstej obydwaj ochrypliśmy od ciągłego wyjaśniania i byliśmy wykończeni. Uciekliśmy do hotelu w Kadirli i udało nam się zjeść spokojnie kolację. Powiedzieliśmy kierownikowi hotelu, by nie łączył z nami żadnych rozmów telefonicznych. Jednakże około dziewiątej udało się do nas dotrzeć Fu'adowi. Machał egzemplarzem "New York Timesa". Cała pierwsza strona poświęcona była "Największemu odkryciu w historii świata". Cytowano moje słowa, zgodnie z którymi odkryliśmy miasto gigantów. Miałem napomknąć, że giganci ci byli także magami przenoszącymi - ważące tysiące ton - bloki budowlane przy użyciu dziwnej, dziś już zapomnianej umiejętności. Pewien mój kolega, powszechnie znany uczoney, wyraził opinię, że piramidy w Egipcie i starożytnym Peru nie mogły być zbudowane przy użyciu żadnej ze znanych obecnie metod, a to najnowsze odkrycie z pewnością potwierdzi tę teorię. W środku gazety pewien popularyzator archeologii zamieścił artykuł Giganci z Atlantydy.

Zapewniałem Fu'ada, że nigdy nie mówiłem o żadnych gigantach, a już na pewno w kontekście, w jakim mnie cytowano. Obiecał, że zadzwoni do "New York Timesa" i poda sprostowanie. Następnie powlokłem się do pokoju Reicha, aby wypić ostatnią szklankę brandy, zostawiając wiadomość, że nie ma mnie dla nikogo - nawet gdyby przybył sam sułtan turecki.

Sądzę, że to co powiedziałem wyjaśnia całkowicie, dlaczego nie byliśmy w stanie pokazać się publicznie przez następny tydzień. Rząd turecki przydzielił nam wojsko do ochrony naszego ekwipunku, ale ci nie mieli rozkazu, by nie dopuszczać na teren wykopaliska rozmaitych gości. Helikoptery nad Karatepe unosiły się jak osy wokół dżemu. Hotele w Kadirli były przepełnione, po raz pierwszy od ich wybudowania. Musieliśmy z Reichem pozostać na miejscu, gdyż w przeciwnym razie bylibyśmy zaczepiani sto razy na godzinę przez wariatów i poszukiwaczy sensacji. Rząd turecki przydzielił nam w ciągu dwunastu godzin poduszkowiec, ale obecnie niemożliwe okazało się jego wykorzystanie. Następnego dnia Carnegie Foundation przyznała nam dwa miliony dolarów na rozpoczęcie budowy tunelu, a World Finance Committee dostarczyło drugie tyle. W końcu rząd turecki wyraził zgodę na budowę zasieków wokół Czarnej Góry: z drutu kolczastego na wysokość czterdzieści stóp. Polecenie to wykonano z pomocą fundacji

amerykańskich i rosyjskich w przeciągu niespełna tygodnia. Wówczas dopiero mogliśmy powrócić do pracy.

Jednak wszystko uległo zmianie. Nie było już spokojnych sjeest po lunchu czy rozmów w namiocie o północy. Na straży wykopalisk wszędzie stali żołnierze. Najznakomitsi archeolodzy ze wszystkich stron świata zadrećzali nas pytaniami i radami. Niebo huczało od helikopterów, którym odmawiano zgody na lądowanie. Z pospiesznie wybudowanej wieży kontrolnej, będącej efektem współpracy amerykańsko-rosyjskiej, nadawano radiowe sygnały ostrzegawcze.

Przeciwności te łagodzone były przez inne znaczne udogodnienia. Zespół inżynierów zamontował na poduszkowcu sondę tak, że mogliśmy dokonywać natychmiastowych pomiarów nad każdym - nawet najtrudniejszym - terenem. Rząd turecki wyposażył nas w dwa specjalne zmodyfikowane krety. Pieniądze i sprzęt mogliśmy dostać na każdą prośbę - taka sytuacja jest marzeniem każdego archeologa.

W przeciągu dwóch dni dokonaliśmy zdumiewających odkryć. Przede wszystkim sonda wykazała, że rzeczywiście odkryliśmy zakopane miasto. W promieniu mili rozciągały się mury i budynki. Czarna Góra znajdowała się, jak się wydawało, mniej więcej ponad centralną częścią miasta. I było to rzeczywiście miasto gigantów. "Blok Abhotha" nie był budynkiem ani pomnikiem o charakterze religijnym, ale pojedynczym blokiem budowlanym wyciętym z litego bazaltu - i to najtwardszego, wulkanicznego pochodzenia. Jeden z nowych kretów odciął fragment bloku i dostarczył go na powierzchnię.

Jednak prześladował nas ciągle jakiś dziwny pech. W przeciągu czterdziestu ośmiu godzin straciliśmy jednego z nowych kretów, w podobny sposób jak pierwszego. Przestał odpowiadać na nasze sygnały na głębokości dwóch mil. Tydzień później straciliśmy drugiego kreta, znowu w ten sam sposób; sprzęt, wartości pół miliona funtów, zagrzebany został pod zwałami ziemi. Z kolei nieuważny operator stracił kontrolę nad poduszkowcem i pozwolił sondzie spaść na chatę pełną tureckich żołnierzy, zabijając osiemnastu z nich. Sonda pozostała nieuszkodzona, ale gazety, nadal hałaśliwie, nie omieszkały zwrócić uwagi na zadziwiającą zbieżność naszych niepowodzeń z niepowodzeniami ekspedycji Cartera-Carnarvona z 1922 roku. Przytaczali sensacyjne historie, związane z "przekleństwem Tutenchamona". Jeden z kolegów, w którego dyskrecję dotychczas najzupełniej wierzyłem, zrelacjonował moją teorię mówiącą, iż Hetyci z Karatepe zawdzięczali swe przetrwanie reputacji magów; zapoczątkował tym nową falę sensacyjnych historyjek. Wówczas to po raz pierwszy pojawiło się nazwisko H.P. Lovecrafta. Tak jak większość moich kolegów, zupełnie o nim nie słyszałem. Był autorem wielu opowiadań o zjawiskach nadprzyrodzonych, zmarł w 1937 roku. Po jego śmierci przez długi okres piecił się w Ameryce "kult Lovecrafta", głównie dzięki orędownictwu jego przyjaciela - powieściopisarza Augusta Derletha. On to właśnie

napisał do Reicha wykazując, że imię "Abhotha Nieczystego" pojawia się w pracach Lovecrafta; figuruje on tam jako jeden z Wielkich Dawnych.

Kiedy Reich pokazał mi ten list, pierwszą moją reakcją było przeświadczenie, że jest to po prostu mistyfikacja. Sięgnęliśmy po odpowiednią encyklopedię literatury - i stwierdziliśmy, że Derleth rzeczywiście jest znanym amerykańskim powieściopisarzem, obecnie już po osiemdziesiątce. Lovecraft nie był tam wymieniony, ale telefon do British Museum pozwolił nam uzyskać informację, że i on faktycznie istniał i napisał książki, które mu Derleth przypisuje.

Było w liście Derletha jedno zdanie, które mnie uderzyło. Po stwierdzeniu, że nie potrafi wyjaśnić, skąd Lovecraft mógł wiedzieć o istnieniu "Abhotha Ciemnego" - jako że imię jego nie pojawia się w żadnym z hetyckich dokumentów odkrytych przed 1937 rokiem - dodał: "Lovecraft przywiązywał ogromną wagę do snów i często mówił mi, że postacie z wielu jego opowiadań objawiły mu się we śnie"...

- Następny dowód na istnienie twojej nieświadomości kolektywnej - skomentowałem ten fragment listu.

Reich odpowiedział, że jest to najprawdopodobniej zbieg okoliczności. Abbaddon to anioł zniszczenia w mitologii hebrajskiej, końcówka "hoth" jest najprawdopodobniej pochodzenia egipskiego. Bóg "Abhoth" wspominany jest w pewnych pismach babilońskich, które Lovecraft mógł znać. Co do "Wielkich Dawnych" nie jest to określenie na tyle specyficzne, by nie mogło wystąpić na kartach powieści autora zajmującego się zjawiskami nadprzyrodzonymi.

- Po co wciągać w to "nieświadomość kolektywną"? - rzekł Reich i byłem skłonny się z nim zgodzić.

Kilka dni później zmieniliśmy w tej kwestii zdanie. W końcu dotarła do nas przesyłka z książkami wysłanymi przez Derletha. Sięgnąłem po powieść Cień spoza czasu - i natychmiast natrafiłem na opis ogromnych, kamiennych bloków, znajdujących się pod pustynią australijską. W tym momencie Reich, który zajmował drugi fotel, wydał okrzyk zdziwienia i głośno przeczytał jedno zdanie: "Mieszkaniec ciemności znany jest także pod imieniem Nyogtha". Dokładnie poprzedniego wieczoru ustaliliśmy wstępną wersję tłumaczenia napisu, znajdującego się na bloku Abhotha, który brzmiał następująco: "A konie winny być wprowadzone, po dwa, przez oblicze Niogtha". Następnie przeczytałem Reichowi opis podziemnych miast, zamieszczony w Cieniu spoza czasu: "Potężne, bazaltowe miasta z wieżami bez okien", zbudowane przez "na wpół polipową, dawną rasę".

Nie było wątpliwości, że Lovecraft w zadziwiający sposób przewidział nasze odkrycie. Szkoda nam było czasu na zastanawianie się, w jaki sposób do tego doszedł - może udało mu się wejrzeć w przyszłość - tak, jak opisuje to Dunne w Experiment with Time - i dzięki temu poznał

rezultaty naszych badań; a może jego umysł pogrążony we śnie spenetrował tajemnice, pogrzebane pod ziemią w Azji Mniejszej? Jak do tego doszedł, było dla nas rzeczą zupełnie obojętną. Pytanie, które nas obecnie frapowało, brzmiało: na ile prace Lovecrafta stanowią literacką fantazję, a na ile są wynikiem nadnaturalnych zdolności wizjonera?

Wielu mogło dziwić, że zaniedbujemy nasze archeologiczne obowiązki zajmując się książkami pisarza, który większość swych prac opublikował w brukowym pisemku noszącym tytuł "Weird Tales". Staraliśmy się utrzymać nasze zainteresowania w tajemnicy udając, że spędzamy całe dni na studiowaniu inskrypcji klinowych. Zamykaliśmy się w pokoju Reicha (który był większy od mojego) i czytaliśmy systematycznie prace Lovecrafta. Gdy tylko przynoszono posiłki, natychmiast wsuwaliśmy książki pod poduszki, a wokół siebie rozrzucaliśmy fotografie inskrypcji. Ostatnie doświadczenie nauczyło nas doskonale, co może się stać, gdy jakiś dziennikarz odkryje, co robimy. Rozmawialiśmy z Derlethem przez videotelefon - był przyjaznym, pełnym kurtuazji starszym gentlemanem o bujnych białych włosach - prosząc go, aby nikomu nie wspominał o swym odkryciu. Zgodził się na to chętnie, ale dodał, że twórczość Lovecrafta ma wciąż wielu zagorzałych wielbicieli, którzy sami mogą wpaść na ten trop.

Studiowanie Lovecrafta było samo w sobie zajęciem interesującym i przyjemnym. Był on człowiekiem nadzwyczajnej wyobraźni. Czytając jego prace w porządku chronologicznym, obserwowaliśmy, jak stopniowo jego poglądy ulegają ewolucji. Wczesne opowiadania były wyraźnie osadzone w krajobrazie Nowej Anglii; działy się na terenie fikcyjnego hrabstwa Arkham, pełnego dzikich wzgórz i ponurych dolin. Mieszkańcy Arkham w większości byli dziwacznymi degeneratami o zamiłowaniu do zakazanych przyjemności i kontaktów z demonami. Jak można było łatwo przewidzieć, większość z nich kończyła swe życie w gwałtowny i zły sposób. Ale stopniowo nastąpiła w pisarstwie Lovecrafta zmiana: Jego wyobrażenia porzuca horror i dąży ku natchnionemu lękowi, wizji straszliwych eonów czasu i miast-gigantów, potyczek potworów i nadludzkich ras. Mimo że w powieściach swych używał języka horroru - mając z pewnością na uwadze rynek zbytu - można by go uznać, bez popełnienia większego błędu, za jednego z najważniejszych i najlepszych pisarzy z gatunku science-fiction. Uwagę naszą skoncentrowaliśmy głównie na tym właśnie okresie (choć nie należy tego traktować zbyt dosłownie, gdyż wzmianka dotycząca "Abhotha Nieczystego" pojawiła się już w jednym z jego najwcześniejszych opowiadań, dziejących się w hrabstwie Arkham).

Najbardziej uderzające było to, że owe "cyklopowe miasta" Wielkich Dawnych (nie byli oni przedstawicielami polipoidalnej rasy, którą wyparli) pasowały do tego, co wiedzieliśmy o naszym - odkrytym pod ziemią - mieście. Zgodnie z opisami Lovecrafta miasta te nie miały schodów, a tylko rodzaj pochylni - ponieważ ich mieszkańcy byli potężnymi, stożkowatymi

stworzeniami posiadającymi czułki. Podstawa stożka "obramowana była gumowatą szarą substancją, dzięki której osobnik mógł się przez skurcze i rozkurczę poruszać". Sonda ujawniła, że miasto pod Karatepe posiada wiele pochyłych płaszczyzn i nie zawiera żadnych schodów. A ich rozmiary z pewnością usprawiedliwiłyby przymiotnik "cyklopowy".

Jak łatwo sobie wyobrazić, nasze odkryte, podziemne miasto stanowiło nie lada problem dla archeologii. Było czymś zupełnie nowym. Problem Layarda, polegający na konieczności odkopania ogromnych ruin Niniwy, był zupełnie drobny w stosunku do tego, co nas czekało. Jak obliczył Reich, aby wydobyć ruiny na światło dzienne musielibyśmy usunąć około czterdziestu bilionów ton ziemi (mam tu na myśli amerykański bilion - to jest tysiąc milionów). Oczywiście, było to niewykonalne. Alternatywę wobec metody odkrywki stanowiło wykopanie serii szerokich tuneli w dół, ku miastu i - następnie - utworzenie na ich końcach wielkich komór. Musiałoby ich być wiele, gdyż nie zaryzykowalibyśmy, ze względu na rozmiary, utworzenia tylko jednej komory: żaden ze znanych metali nie dawał gwarancji, że wytrzyma obciążenie dachu o grubości dwóch mili. Oznaczało to, że miasto jako takie nie mogło być nigdy odsłonięte w całości; jednak przy użyciu sondy można byłoby ustalić, które jego partie zasługują najbardziej na trud podjęcia takiego wysiłku. Nawet przekopanie pojedynczego tunelu wiązało się z usunięciem setek tysięcy ton ziemi - było to już jednak w zasięgu naszych możliwości.

Dokładnie tygodnia potrzebowała prasa, by wpaść na trop tego, że odkryliśmy Lovecrafta. Była to najprawdopodobniej największa sensacja od czasu odkrycia przez nas miasta. Po całym tym gadaniu o gigantach, magach i bóstwach ciemności - tego tylko było im trzeba. Popularyzatorzy archeologii, maniacy od piramid i przedstawiciele teorii o zlodowaceniu świata mogli wreszcie udać się na zasłużony odpoczynek, teraz bowiem nadeszły złote czasy dla spirytystów, okultystów i całej reszty. Ktoś napisał artykuł wykazujący, że Lovecraft zapożyczył swą mitologię od Madame Bławatskiej. Ktoś jeszcze inny autorytatywnie stwierdził, że wszystko to stanowi część tradycji kabalistycznej. W ciągu jednego dnia Lovcraft stał się najbardziej poczytnym pisarzem świata; książki jego sprzedawano w milionach egzemplarzy - i to we wszystkich językach świata. Wielu spośród jego czytelników było przerażonych, wierzyli bowiem, że naszymi pracami zakłócimy spokój grobów Wielkich Dawnych, co w efekcie wywoła katastrofę, tak dosadnie przedstawioną przez Lovecrafta w opowiadaniu Zew Cthulhu.

Miasto w Cieniu spoza czasu nie miało nazwy, ale w jednej z wcześniejszych powieści Lovecrafta wspomniane jest jako "Nieznane Kadath". Czytelnicy gazet ochrzczili nasze podziemne miasto nazwą "Kadath" i nazwa ta się przyjęła. Prawie natychmiast Dalgleish Fuller, szaleniec z Nowego Yorku, założył stowarzyszenie "Anty-Kadath", którego celem było uniemożliwienie odkopania Kadath - co naruszyłoby spokój Wielkich Dawnych. Wskaźnikiem rozmiarów obłędu

był fakt, że jego towarzystwo natychmiast skupiło pół miliona członków, następnie szybko wzrosło do trzech milionów. Przyjęli dewizę: "Nadzieja leży w przyszłości, zapomnijmy więc o przeszłości". Kupili czas przeznaczony na reklamy w telewizji oraz wynajęli poważnych psychologów, którzy od razu oświadczyli, że wizje Lovecrafta były skutkiem jego ponadnaturalnych zdolności spostrzegania pozazmysłowego (istnienia którego tak przekonywająco dowiódł Rhine i jego koledzy z Duke University). W związku z tym należy podporządkować się wezwaniom Lovecrafta; w przeciwnym wypadku, jeśli naruszony zostanie spokój Wielkich Dawnych, nieuchronnie nastąpi zagłada gatunku ludzkiego. Dalgleish Fuller był maniakiem, ale o niewątpliwych zdolnościach organizacyjnych. Wydzierzał ogromny obszar ziemi w odległości pięciu mil od Karatepe i urządził tam camping. Nakłaniał swych zwolenników, by spędzali tam urlopy, poświęcając je na działania zmierzające do uniemożliwienia kontynuacji prac wykopaliskowych w Karatepe. Ziemia ta, będąca wcześniej prywatną własnością farmera, została chętnie odsprzedana za ogromną ilość pieniędzy - zanim rząd turecki był w stanie temu przeciwdziałać. Fuller miał wyjątkowy dar zjednywania bogatych, zbankowanych kobiet, które wprost zalały cały ten ruch pieniędzmi. Zakupili helikoptery, które przez cały czas warczały nad ruinami, wlokąc za sobą napisy "Anty-Kadath". Natomiast nocami helikoptery przylatywały nad wykopaliska, aby wyrzucić na nasz teren śmieci - tak że kiedy przybywaliśmy rano do pracy, często spędzaliśmy całe godziny na uprzątnięciu zgniłych owoców, warzyw i starych puszek. Obozowicze urządzali dwa razy dziennie marsze protestacyjne aż do drutów kolczastych, otaczających teren wykopalisk - czasami w kolumnach po tysiąc osób. Dopiero po sześciu tygodniach perswazji zareagowała ONZ i przysłała posiłki. W tym czasie Fuller pozyskał dla swej idei pięciu amerykańskich senatorów i wspólnie z nimi przedstawił projekt, nakazujący zaniechania dalszych prac w Karatepe. Dowodzili, że ich działania nie są spowodowane przesadnym lękiem, lecz wynikają z szacunku dla martwej od dawna cywilizacji. - Czy mamy prawo - dowodzili - zakłócać sen wieków? Na szczęście, dzięki rozsądkowi Senatu, zdecydowana większość głosowała przeciw temu projektowi.

Kiedy już wydawało się, że Towarzystwo "Anty-Kadath" zaczyna - przez swe hałaśliwe ekscesy - tracić wpływy, cała sprawa nabrała nowego impetu; a to za sprawą publikacji, dotyczącej odkrycia nie drukowanych dotąd prac Stanisława Perzyńskiego i Mirzy Dina. Dane ich dotyczące są, pokrótce, następujące: Perzyński był Polakiem, natomiast Mirza Din - Persem, a obydwaj umarli jako szaleńcy w pierwszej dekadzie XX wieku. Dane o Perzyńskim były lepiej udokumentowane. Był on w pewnym stopniu znany dzięki publikacji biografii dziadka, rosyjskiego poety Nadsona. Wydał także wybór opowiadań o zjawiskach nadnaturalnych, związanych z księciem Potockim. W 1898 roku opublikował dziwną książkę, ostrzegającą gatunek ludzki przed

groźbą zawładnięcia Ziemią przez rasę potworów rodem z innego świata, która zbudowała przeogromne miasta pod ziemią. Rok później znalazł się w szpitalu dla umysłowo chorych. Prace jego zawierają wiele dziwnych szkiców, które mogłyby być ilustracjami do opowiadań Lovecrafta o Kadath. Była to monstrualna architektura z pochylonymi oraz wielkimi, kanciastymi wieżami. Wszystkie te materiały opublikowało Towarzystwo "Anty-Kadath". Przypadek Mirzy Dina był bardziej wątpliwy. On także był pisarzem apokaliptycznym, którego prace publikowano rzadko. Tak jak Perzyński, ostatnie swe lata spędził w domu dla obłąkanych, pisząc listy ostrzegawcze adresowane do rządu perskiego. Zawierały one ostrzeżenie przed zagrożeniem, jakie niesie ludzkości rasa potworów, pragnąca zawładnąć Ziemią. Mirza Din umieszczał swe potwory gdzieś w dżunglach centralnej Afryki i opisywał je na podobieństwo ogromnych ślimaków. Ich ogromne miasta zbudowane były z ich własnej, śluzowatej wydzieliny, która pod wpływem powietrza twardniała w materiał podobny do kamienia.

Większość szalonych listów Mirzy Dina zniszczono, ale te które ocalały, wykazywały znaczne podobieństwo stylu do listów Perzyńskiego; z kolei jego ślimaki były wystarczająco podobne do opisywanych przez Lovecrafta stożków. Twierdzenie, że wszyscy trzej opisywali tę samą wizję Wielkich Dawnych i ich miasta, nosi znamiona wiarygodności.

Po interwencji rządu i wykopaniu pierwszego tunelu aktywność Towarzystwa "Anty-Kadath" stopniowo gasła; niemniej, przez osiemnaście miesięcy, udało im się w znacznym stopniu utrudnić nam pracę. Dagleish Fuller został zamordowany przez jedną ze swych zwolenniczek, w bardzo niejasnych okolicznościach.

Pierwszy tunel ukończony został dokładnie w rok po tym, jak odkryliśmy blok Abhotha. Wykopania tunelu podjął się rząd włoski. Do wykonania wykopu użyto tych samych gigantycznych kretów, przy pomocy których wybudowano tunel pomiędzy Scyllą a Messyną (na Sycylii), później zaś pomiędzy Otranto a Linguetta (w Albanii). Samo kopanie zajęło tylko kilka dni, ale głównym problemem było zabezpieczenie niższych partii tunelu przed zawaleniem się. Blok robił na obserwatorze tak wielkie wrażenie, jak się tego spodziewaliśmy - sześćdziesiąt osiem stóp wysokości, trzydzieści stóp szerokości i dziewięćdziesiąt stóp długości; wycięty z litego bazaltu pochodzenia wulkanicznego. Nie można było mieć wątpliwości, że mamy do czynienia z rasą gigantów albo magów. Fakt istnienia bazaltowych statuetek powodował, że raczej wątpiłem, aby była to rasa gigantów; figurki były zbyt małe. (Dopiero dziesięć lat później dramatyczne odkrycie Marcera w Tanzanii wykazało, że owe wielkie miasta zamieszkiwane były zarówno przez gigantów, jak i ludzi - i że prawie na pewno giganci byli niewolnikami ludzi).

Problemem pozostawało ciągle dokładne datowanie bloków. Zgodnie z Lovecraftem Wielcy Dawni żyli sto pięćdziesiąt milionów lat temu - i powszechnie w to wierzone. Nie było to,

oczywiście, przekonywające. Neutronowy datownik Reicha wskazywał później, że obiekty te nie miały więcej niż dwa miliony lat, ale i to mogło być przesadzone. Problem datowania obiektów, takich jak w tym przypadku, jest wysoce złożony. Archeolog zazwyczaj opiera swe wnioski na opisie rozmaitych warstw ziemi, znajdujących się ponad znaleziskiem, jako że stanowią one rodzaj gotowego kalendarza. Jednakże w trzech przypadkach owych gigantycznych miast fakty wydają się prowadzić do sprzecznych wniosków. Wszystko, co możemy powiedzieć z całą pewnością to to, że wszystkie one zostały zniszczone przez potop, który pokrył je tysiącami stóp mułu. Słowo "potop" sugeruje geologowi okres plejstocenu - ledwie milion lat temu. Jednakże w Queensland odkryto ślady gryzonia, o którym wiadomo, że żył tylko w erze pliocenu, co mogłoby przesunąć czas datowania tych miast o następne pięć milionów lat wstecz.

Wszystko to jest jednak bez znaczenia wobec głównego wątku. Na długo, nim ukończono pierwszy tunel, straciłem zainteresowanie wykopaliskami w Karatepe. Rozpoznałem, czym w istocie były - przynętą odwracającą uwagę, umyślnie podsuniętą przez pasożyty umysłu.

Do wniosku tego doszedłem w następujący sposób. W końcu czerwca 1997 roku znalazłem się w stanie skrajnego wyczerpania. Mimo pięciomilowego parasola przeciwsłonecznego, rozciągniętego nad Karatepe i obniżającego temperaturę do sześćdziesięciu stopni w cieniu, nie sposób było tam wytrzymać. Śmieci, którymi zarzucali nas zwolennicy Fullera, spowodowały, że cały ten obszar śmierdział jak bagno, a rozmaite środki dezynfekujące, których używaliśmy, tylko pogarszały sytuację. Wiały suche, niosące pełno kurzu wiatry. Pół dnia spędzaliśmy na picu mrożonego sorbetu z płatkami róży, leżąc w klimatyzowanych chatkach. W lipcu zacząłem cierpieć na okropne bóle głowy. Dwa dni, które spędziłem w Szkocji, poprawiły moje samopoczucie; wróciłem do pracy, ale znowu po upływie tygodnia powaliła mnie gorączka. Miałem dość ciągle przeszkadzających dziennikarzy i szaleńców z Towarzystwa "Anty-Kadath", tak więc zdecydowałem się na powrót do mego mieszkania w Diyarbakirze. Panował w nim chłód i spokój, gdyż mieściło się na terenie Anglo-Indian Uranium Company. Straż przemysłowa tej spółki dość zdecydowanie traktowała intruzów. Znalazłem masę czekających na mnie listów i rozmaitych paczek. Przez pierwsze dwa dni nie zwracałem na nie uwagi, leżąc w łóżku i słuchając płyt z operami Mozarta. Stopniowo gorączka opadała. Trzeciego dnia wynurzyłem się z tego stanu apatii na tyle, by otworzyć listy.

Pośród nich znalazłem notkę, której nadawcą było Standard Motors and Engineering, zawierającą informację, że zgodnie z moją prośbą przesyłają mi większość materiałów Karela Weissmana do Diyarbakiru. Wyjaśniało to obecność owych ogromnych paczek. Inny list był z Northwestern University Press i zawierał pytanie, czy nie zechciałbym wyrazić zgody na opublikowanie przez nich pism psychologicznych Karela.

Wszystko to było niezwykle męczące. Przeadresowałem ten list na nazwisko Baumgarta, który znajdował się w Londynie, i powróciłem do Mozarta. Jednak następnego dnia tak mocno gryzło mnie sumienie, że sięgnąłem po resztę listów i otworzyłem je. Znalazłem wśród nich list od Carla Seidela, mężczyzny, który mieszkał razem z Baumgartem (był homoseksualistą) - w którym donosił, że Baumgart przeszedł załamanie nerwowe i jest obecnie u swej rodziny w Niemczech.

Oznaczało to, oczywiście, że opracowanie materiałów Karela spoczywało teraz na mojej głowie. Tak więc - z ogromną niechęcią - przystąpiłem do otwierania pierwszej z paczek. Ważyła bez mała czterdzieści funtów i zawierała wyłącznie wyniki badań nad reakcją na kolory u ponad stu osób. Odrzuciło mnie to. Powróciłem do Zaczarowanego fletu.

Tego wieczoru pewien młody perski dyrektor, z którym się zaprzyjaźniłem, wpadł do mnie z butelką wina. Czułem się trochę samotny i chętnie przystałem na rozmowę. Temat wykopalisk przestał być dla mnie nie do zniesienia, a nawet pewną przyjemność sprawiło mi przedstawienie mu "drugiej strony" naszej pracy. Wychodząc ode mnie, zauważył paczki i spytał, czy związane są one z wykopaliskami. Opowiedziałem mu historię samobójstwa Weissmana i przyznałem, że perspektywa zajrzenia do nich wywołuje u mnie znużenie graniczące z bólem fizycznym. Na swój radosny i uprzejmy sposób zaproponował, że następnego ranka przyjdzie ponownie i przejrzy je. Jeśli będą zawierać wyłącznie wyniki rutynowych testów psychologicznych, to przyśle tu swoją sekretarkę, która zapakuje je ponownie i prześle pod adresem Northwestern University. Domyślałem się, że oferta ta była grzecznym rewanżem z jego strony za moją, pełną otwartości, postawę tego wieczoru - więc przyjąłem ją kordialnie.

Kiedy następnego ranka wyszedłem z kąpieli, praca nad segregacją materiałów była zakończona. Pięć z sześciu paczek zawierało wyniki rutynowych testów. Szósta, jak mi powiedział, wydaje się zawierać materiały raczej "natury filozoficznej". Sądził, że będę chciał je przejrzeć. Następnie pozostawił mnie samego, a krótko po tym pojawiła się jego sekretarka, by usunąć przeogromną stertę żółtych druków ze środka salonu.

Pozostały materiał znajdował się w porządnym, niebieskim skoroszytach i zawierał spięte metalowymi klamkami maszynopisy. Wszystkie okładki skoroszytów opatrzone były odręcznym napisem: Refleksje Historyczne. Każdy skoroszyt zaklejono kolorową taśmą klejącą. Byłem przekonany, że nie były one otwierane od czasu śmierci Weissmana i, jak się później okazało, nie myliłem się. Nie udało mi się wyjaśnić, dlaczego Baumgart omyłkowo wysłał je do General Motors. Niewykluczone, że odłożył je dla mnie, a następnie, przez nieuwagę, zapakował je razem z raportami opracowań dla przemysłu.

Skoroszyty nie były numerowane. Otworzyłem pierwszy i szybko stwierdziłem, że owe "historyczne refleksje" odnoszą się wyłącznie do historii ostatnich dwóch wieków - okresu, który

nigdy mnie specjalnie nie interesował. Miałem ochotę odesłać je z powrotem do Northwestern University, bez dalszego sprawdzania ich zawartości, ale sumienie mi na to nie pozwoliło. Wróciłem do łóżka, biorąc ze sobą pół tuzina niebieskich skoroszytów.

Tym razem, zupełnie przypadkowo, zacząłem czytać we właściwym miejscu. Pierwsze zdanie pierwszego skoroszytu brzmiało:

Od wielu miesięcy przekonany jestem, że gatunek ludzki zaatakowany został przez szczególny rodzaj nowotwora umysłu.

Frapująca konstatacja. Pomyślałem wówczas: Cóż za wspaniałe pierwsze zdanie, otwierające planowaną książkę Karela... Nowotwór umysłu; nowa nazwa dla nerwicy czy może dla anhedonii, za pomocą której określano syndrom duchowej niedyspozycji dwudziestego wieku... Nawet na myśl mi nie przyszło, by słowa Weissmana potraktować dosłownie. Czytałem dalej:

Niepokojący problem wzrostu poziomu samobójstw... Wysoka liczba zabójstw dzieci we współczesnej rodzinie... Nieustanne zagrożenie wojną atomową, wzrost poziomu narkomanii. - Wszystko to było dziwnie znajome. Ziewnąłem i odwróciłem stronę.

Kilka minut później materiały czytałem już z większą uwagą. Nie dlatego, że to, co czytałem, wydawało mi się bardziej wiarygodne, ale dlatego, że zacząłem nagle podejrzewać, iż Karel oszalał. W młodości czytałem książki Charlesa Forta mówiące o rozmaitych gigantach, wrózkach czy pływających kontynentach. Jednak ta dziwna mieszanina sensu z nonsensem, jaka występuje u Forta, miała posmak rozbawiającej przesady. Pomysły Karela Weissmana były równie szalone jak idee Forta, ale były, w jak najbardziej oczywisty sposób, przedstawiane bardzo poważnie. Albo - zatem - dołączył do szeregu słynnych naukowców dziwaków, albo kompletnie zwariował. Mając na uwadze jego samobójstwo, skłaniałem się raczej ku temu drugiemu rozwiązaniu.

Z zainteresowaniem już wręcz chorobliwym kontynuowałem czytanie notatek przyjaciela. Po pierwszych stronach porzucił on rozważania o "nowotworze umysłu" i zagłębił się w analizy historyczne dotyczące kultury ostatnich dwustu lat... Wywód był starannie uargumentowany i znakomicie napisany. Przypominały mi się nasze długie rozmowy w Uppsali. Było popołudnie, a ja ciągle jeszcze czytałem. O pierwszej natknąłem się na coś, co spowodowało, że dzień ten będę pamiętał do końca życia. Szalony czy nie - był jednak potwornie przekonujący. Zapragnąłem, by to co napisał, okazało się jedynie szaleństwem. Ale w trakcie zagłębiania się w lekturę moja nadzieja gasła. Wszystko co napisał, było tak niepokojące, że zламаłem wieloletni nawyk i wypiliśmy butelkę szampana w porze lunchu. Jedyne, co zjadłem to turecka kanapka. Pomimo że wypiliśmy szampana, ogarniało mnie stopniowo coraz większe przygnębienie, a zarazem byłem przeraźliwie trzeźwy. Późnym popołudniem pojąłem całą tę potworną, jak z koszmarne go snu,

prawdę, a mój mózg był w takim stanie pobudzenia, jakby za chwilę miał wybuchnąć. Jeśli Karel Weissman nie był szalony, to gatunek ludzki stanął w obliczu największego w swej historii niebezpieczeństwa.

Oczywiście, nie sposób wyjaśnić w szczegółach całej drogi, po której podążał Karel Weissman ku sformułowaniu swej "filozofii historii". Był to rezultat pracy całego życia. Mogę jednak zarysować przynajmniej konkluzje, do jakich doszedł w Refleksjach Historycznych".

Najbardziej znamiennej cechą gatunku ludzkiego według Weissmana jest zdolność do samoodnowy czy do tworzenia. Najprostszym przykładem, ilustrującym taką zdolność, jest rodzaj odnowy jaka ma miejsce podczas snu. Człowiek zmęczony natomiast jest osobą znajdującą się w objęciach śmierci i szaleństwa. Jedną z najbardziej uderzających teorii Weissmana było utożsamienie przez niego szaleństwa ze snem. Człowiek przy zdrowych zmysłach to osoba w pełni przebudzona. W miarę jak się męczy, traci zdolność rozróżniania snu od iluzji, a życie staje się dla niego stopniowo coraz bardziej chaotyczne.

Weissman utrzymuje, że zdolność do tworzenia czy samoodnowy immanentnie tkwiła w Europejczyku od Renesansu aż do XVIII wieku. W okresie tym, mimo że historia pełna była okrucieństwa i przerażenia, człowiek potrafił się od tych koszmarów uwalniać równie łatwo, jak zmęczone dziecko zasypia po trudach dnia. Okres elżbietański w Anglii wspominany jest często jako "złoty wiek", a to z powodu bogactwa twórczości jakie niósł ze sobą. Nikt, kto okres ten poznał bliżej, nie był przerażony jego bezlitosnym okrucieństwem. To prawda, ludzi torturuje się wówczas i pali żywcem. Żydom obcina się uszy, dzieci katuje na śmierć albo pozwala się im umierać w niewiarygodnie brudnych slumsach; a jednak epoka ta prześląknięta jest optymizmem - i tak silna jest w niej zdolność jednostki do samoodnowy, że chaos staje się stymulacją do nowych osiągnięć. Każda następująca po sobie epoka uznawana jest za wielką: wiek Leonarda, wiek Rabelais, wiek Chaucera, wiek Szekspira, wiek Newtona, wiek Johnsona, wiek Mozarta... Nikt wówczas nie kwestionuje tego, że człowiek równy jest bogom i że potrafi przezwyciężyć każdą przeszkodę, jaka się przed nim spiętrzy.

Raptem następuje w historii gatunku ludzkiego dziwna przemiana. Ma ona miejsce pod koniec XVIII wieku. Wspaniała i tętniąca życiem twórczość Mozarta znajduje swą przeciwwagę w koszmarnym okrucieństwie powieści de Sade'a. Nagle znajdujemy się w epoce ciemności, w wieku, w którym geniusze nie tworzą na podobieństwo bogów. Zamiast tego cierpią, jak gdyby byli pochwyceni przez macki niewidzialnej ośmiornicy. Rodzi się epoka samobójstw. W rzeczywistości zaczyna się historia nowożytna - wiek porażek i nerwicy.

Czemu zjawisko to pojawiło się tak niespodziewanie? Czy było skutkiem rewolucji przemysłowej? Nie - gdyż rewolucja przemysłowa nie pojawiła się zniemacka i, co więcej, była ograniczona do niewielkiego skrawka Europy. Pozostała, zdecydowanie większa część Europy, przetrwała jako kraina lasów i gospodarstw wiejskich. Jak zatem - pyta Weissman - możemy wytłumaczyć ogromną różnicę pomiędzy geniuszem z XVIII wieku a tym z XIX, jeśli nie założymy, że miała miejsce niezauważalna - ale i zarazem katastrofalna - zmiana w człowieku około roku 1800? Jak można, poprzez zjawisko rewolucji przemysłowej, wyjaśnić głęboką odmienność Mozarta i Beethovena, młodszego przecież od Mozarta o jedyne czternaście lat? Co było przyczyną pojawienia się epoki, w której połowa z geniuszy popełniła samobójstwo lub umarła na gruźlicę? Spengler twierdziłby, że cywilizacje starzeją się na podobieństwo roślin, ale w opisanym tu przypadku następuje nagły skok od młodości ku starości. Ludzkość ogarnia bezdenny pesymizm, który znajduje swe odbicie w sztuce, muzyce i literaturze. Nie wystarczy powiedzieć, że człowiek nagle wydorósł. Obserwujemy bowiem, jak nagle traci swe zdolności do samoodnowy... Czy do pomyślenia jest, aby jakikolwiek wielki człowiek z XVIII wieku miał zamiar popełnić samobójstwo? A przecież ich życie było tak samo trudne, jak życie tych z XIX wieku. Nowy człowiek, człowiek XX wieku nagle utracił wiarę w sens życia i ufność w potęgę wiedzy. Człowiek współczesny, zgodnie z Faustem, powtarza: "Kiedy wszystko zostało powiedziane i dokonane, to nie pozostaje nic".

Karel Weissman był psychologiem, nie historykiem. Na życie zarabiał jako psycholog przemysłowy. W Refleksjach Historycznych pisze:

- Pasożyty umysłu W 1990 roku rozpocząłem badania z zakresu psychologii pracy jako asystent profesora Ames w "Transworld Cosmetics". Prawie natychmiast zauważyłem dziwną i koszmarną sytuację w zakładzie. Oczywiście wiedziałem wcześniej, że "industriopatja" (nerwica przemysłowa) stała się poważnym problemem społecznym - do tego stopnia, że powołano specjalne sądy, które miały za zadanie zajmować się przestępstwami dokonanymi w pracy, polegającymi na sabotażu urządzeń przemysłowych, zabójstwie czy poranieniu współpracowników. Liczba morderstw w wielkich fabrykach wzrosła dwukrotnie w porównaniu z liczbą morderstw mających miejsce gdzie indziej. Tylko w jednej fabryce papierosów w Ameryce, w okresie jednego roku, zabito ośmiu brygadzystów i dwóch dyrektorów; w siedmiu przypadkach morderca popełnił, natychmiast po przestępstwie, samobójstwo.

"Plastics Corporation" z Islandii zdecydowała się na przeprowadzenie na "wolnym powietrzu" eksperymentu w fabryce, rozrzuconej na przestrzeni wielu akrów. Rozmieszczono robotników tak, aby nie mieli oni poczucia zamknięcia czy nadmiernego zagęszczenia; zamiast

ścian użyto pól energetycznych. Początkowo eksperyment ten zapowiadał wielki sukces, ale po dwóch latach liczba przestępstw przemysłowych i industriopatii ponownie przekroczyła średni poziom krajowy.

Wyników eksperymentu nigdy nie opublikowano. Psychologowie bowiem sądzili - i słusznie - że ich ogłoszenie pogorszy jeszcze bardziej i tak nie najlepszy stan rzeczy. Uznali, że najlepiej będzie, jeśli każdy przypadek traktować się będzie tak jak pożar, to znaczy izolować.

Im dłużej rozważałem ten problem, tym wyraźniej widziałem, że nie mam żadnego pojada o prawdziwej przyczynie zjawiska. Moi koledzy psychologowie czuli się pokonani, jak to wyznał mi dr Ames podczas mego pierwszego tygodnia pracy w "Transworld Cosmetics". Powiedział wówczas, że trudno jest dotrzeć do jądra problemu - a to dlatego, iż wydaje się, że problem ten ma wiele uwarunkowań - takich jak eksplozja demograficzna, przeludnienie miast, poczucie bezsilności ogarniające jednostkę, narastające odczucie życia w próżni, monotonia egzystencji, upadek znaczenia religii. .. i tak dalej. Dodał, że obawia się, iż problem ten traktowany jest w zupełnie błędny sposób. Wydano olbrzymie sumy pieniędzy na psychiatrów i na poprawę warunków pracy - czyli, krótko mówiąc - spowodowano, że robotnicy poczuli się pacjentami. Ponieważ jednak, dzięki temu niezrozumieniu istoty problemu, mamy się z czego utrzymać - trudno wymagać od nas, byśmy sami sugerowali zmiany.

Tak więc zwróciłem się ku historii, by w niej poszukać odpowiedzi. Odpowiedź, kiedy już ją znalazłem, wywołała u mnie chęć popełnienia samobójstwa: ponieważ to wszystko, co się stało, było czymś zupełnie nieuchronnym. Cywilizacja osiągnęła swój punkt szczytowy i zmierzała ku upadkowi. Jednej tylko rzeczy wniosek ten nie brał pod uwagę: naturalnego dążenia człowieka ku samo-odnowie. Zgodnie z tym sposobem myślenia Mozart również powinien popełnić samobójstwo - przecież tak nędzne było jego życie. Ale nie uczynił tego.

CO ZATEM POZBAWIŁO CZŁOWIEKA JEGO NATURALNYCH ZDOLNOŚCI DO SAMOODNOWY?

Nie potrafią do końca wyjaśnić, jak doszedłem do wniosku, że może istnieć tylko JEDNA PRZYCZYNA tego zjawiska. Kiełkowało to we mnie wolno, przez wiele lat. Po prostu coraz lepiej zacząłem rozumieć, że liczba przestępstw przemysłowych w stosunku do tak zwanych "przyczyn historycznych" była nieproporcjonalnie duża. To tak, jak gdybym - będąc dyrektorem fabryki - czuł instynktownie, że księgowy fałszuje księgi rachunkowe, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób to robi.

Wreszcie pewnego dnia zacząłem podejrzewać, że istnieją wampiry umysłu. Później wszystko już tylko potwierdzało tę moją hipotezę.

Pierwszy raz zdarzyło mi się to, kiedy zastanawiałem się, czy nie zastosować meskaliny i lizergidu do leczenia industriopatii. W zasadzie narkotyki te dają podobne objawy co alkohol czy tytoń - to jest rozluźniają. Nadmiernie pracując, człowiek wytworzył w sobie nawykowo pewne napięcie, którego nie jest w stanie następnie przełamać za pomocą siły woli. Tymczasem szklanka whisky czy papieros działają na sferę motoryczną i rozładowują napięcie.

Człowiek ma nawyki znacznie trwalsze niż tylko przepracowanie. Przez miliony lat ewolucji rozwinął rozmaitego rodzaju odruchy służące jego przetrwaniu. Jeśli którykolwiek z nich umknie spod jego kontroli, rezultatem jest choroba psychiczna. Na przykład: jeśli człowiek nawykowo jest przygotowany, by odpierać wrogów i pozwoli, by nawyk ten wymknął się spod jego kontroli i zdominował jego życie - to wówczas stanie się paranoikiem.

Jednym z najważniejszych odruchów ludzkości jest gotowość do odpierania rozmaitego rodzaju zagrożeń i pokonywania rozmaitych trudności, na jakie napotyka człowiek. Uniemożliwia mu to skoncentrowanie się wyłącznie na analizie swego wnętrza, co prowadziłoby do odwrócenia jego uwagi od świata zewnętrznego. Innym nawykiem, u podstaw którego leży ta sama przyczyna, jest niedopuszczanie piękna do świadomości, aby w ten sposób w pełni skoncentrować się na problemach praktycznych. Nawyki te są tak głęboko zakorzenione, że ani tytoń, ani alkohol nie naruszają ich. Ale meskalina tak. Może dotrzeć w głąb, ku najbardziej atawistycznym poziomom psychiki człowieka i uwolnić go automatycznie od napięcia, które czyniło go niewolnikiem własnej nudy i świata zewnętrznego.

Muszę przyznać, że bytem skłonny obarczać odpowiedzialnością za problem samobójstw i przestępstw przemysłowych nawyki atawistyczne. Człowiek musi się nauczyć rozładowywać napięcie, które go zniewala, w przeciwnym bowiem wypadku będzie przepracowany i groźny. Musi dotrzeć do najgłębszych pokładów swej psychiki po to, by móc zenergetyzować ponownie swoją świadomość. Tak więc wydało mi się, że narkotyki z grupy meskaliny mogą dostarczyć odpowiedzi na dręczące mnie pytanie.

Dotychczas unikano w psychologii przemysłowej stosowania narkotyków, z oczywistego powodu: meskalina tak rozluźnia człowieka, że uniemożliwia mu pracę. Po jej zażyciu jednostka porzuca pracę, pogrążając się jedynie w kontemplacji piękna świata i tajemnic swego umysłu.

Nie chciałem iść aż tak daleko. Niewielka ilość meskaliny, podana we właściwy sposób, może wyzwolić twórcze siły drzemiące w człowieku bez wpędzenia go w stupor. W końcu nasi przodkowie sprzed dwu tysięcy lat byli bez mała ślepi na kolory, ponieważ utrwalili sobie nieświadomie nawyk ignorowania kolorów. Życie było tak ciężkie i niebezpieczne, że nie mogli pozwolić sobie na to, aby je dostrzegać. Człowiekowi współczesnemu udało się ów stary nawyk

ślepoty na barwy wygasić, bez utraty któregośkolwiek z popędów i bez uszczerbku swych sił witalnych. Wszystko jest kwestią znalezienia odpowiedniej równowagi.

Tak więc rozpocząłem serią eksperymentów, używając narkotyków z grupy meskaliny. Już pierwsze wyniki były tak zatrważające, że moja umowa o pracę z "Transworld Cosmetics" została natychmiast rozwiązana. Pięciu spośród dziesięciu moich pacjentów w przeciągu kilku dni popełniło samobójstwo. Następnym dwóm doznało całkowitego załamania nerwowego, które zaprowadziło ich do szpitala dla psychicznie chorych.

Byłem całkowicie ogłupiały. W trakcie studiów sam eksperymentowałem z meskaliną, ale nie znalazłem w tym nic interesującego. Wakacje z meskaliną są czymś bardzo przyjemnym, ale wszystko zależy od tego, czy lubi się wakacje. Ja, osobiście, nie lubię; praca wydaje mi się bardziej interesująca.

Jednak uzyskane wyniki spowodowały, że postanowiłem spróbować ponownie. Zażyłem pół grama. Doświadczenie, jakiego wówczas doznałem, było tak przerażające, że nawet dziś - kiedy o tym pomyślę - oblewa mnie zimny pot.

Początkowo miałem, jak zwykle, przyjemne wrażenia - przestrzenie delikatnie wibrującego i falującego światła. Później miało miejsce intensywne odczucie spokoju i ukojenia, na podobieństwo buddyjskiej nirwany; piękna i łagodna kontemplacja wszechświata, który zarazem był czymś odrębnym, jak i tkwiącym we mnie. Po godzinie tych przeżyć, świadomie oderwałem się od nich; nie prowadziły mnie do rozwiązania zagadki samobójstw. Spróbowałem skierować swą uwagę ku własnemu WNEŹTRZU, by zaobserwować faktyczny stan moich spostrzeżeń i emocji. Rezultat był nieoczekiwany. Tak, jak gdybym próbował patrzeć przez teleskop, a ktoś umyślnie zasłonił dłonią drugi jego koniec. Podejmowane przeze mnie próby samoobserwacji spełzły na niczym. Nagle, dzięki czemuś w rodzaju gwałtownego wysiłku, udało mi się przebić przez ścianę ciemności. Miałem niejasne uczucie, ŻE COŚ OBCEGO I ŻYWEGO UMYKA przed moim wzrokiem. Nie mam, oczywiście, na myśli wzroku w sensie dosłownym. Było to tylko uczucie czyjejś obecności. Jednak okazało się to tak realnym doświadczeniem, że przez chwilę byłem przerażony - prawie bliski szaleństwa. Można uciec przed konkretnym, fizycznym zagrożeniem; ale przed tym, czego doświadczyłem, nie było ucieczki. To tkwiło we mnie.

Skrajne przerażenie nie opuszczało mnie przez niemal cały następny tydzień. Byłem bliższy szaleństwa, niż kiedykolwiek przedtem. Mimo że powróciłem do codziennego świata, to jednak nie odzyskałem dawnego poczucia bezpieczeństwa. Czułem, że funkcjonowanie umysłu na poziomie codziennej świadomości jest tylko chowaniem głowy w piasek. Oznaczało jedynie, że nie byłem świadom zagrożenia.

Na szczęście nie pracowałem w tym czasie; podjęcie przeze mnie wówczas jakiegokolwiek pracy nie było możliwe. Po tygodniu pomyślałem sobie: No dobrze, ale czego się boisz? Nic ci się przecież nie stało... Natychmiast po tych słowach poczułem się lepiej. Kilka dni później "Standard Motors and Engineering" zaoferowało mi stanowisko zwierzchnika służby medycznej. Ofertą przyjąłem i zanurzyłem się, aż po czubek głowy, w pracę przeogromnej i skomplikowanej organizacji. Przez długi okres nie pozostawiła mi ona czasu na obmyślanie czy projektowanie eksperymentów z meskaliną; coś mnie od nich tak silnie odpychało, że zawsze znajdowałem sobie wymówkę, by odłożyć to na bok. Ostatecznie sześć miesięcy temu wróciłem do tego problemu, tym razem patrząc nań pod nieco innym kątem. Mój przyjaciel, Rupert Haddon z Princeton University, opowiedział mi o swoich niezwykle efektownych próbach leczenia przestępców seksualnych za pomocą LSD. Wyjaśniając swą teorię, odwoływał się w znacznej mierze do koncepcji Husserla. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że fenomenologia jest tylko inną nazwą dla samoobserwacji, jakiej usiłowałem dokonywać pod wpływem meskaliny - i że gdy Husserl mówi o "odsłanianiu struktury świadomości", ma na myśli po prostu zanurzanie się w świat nawyków, o których uprzednio mówiłem. Husserl zdał sobie sprawę z tego, że posiadając wojskowe mapy przedstawiające każdą piędź naszej planety, pozbawieni jesteśmy analogicznej - opisującej świat umysłu.

Lektura Husserla dodała mi odwagi. Jednak sama myśl o zażyciu meskaliny przeraziła mnie; na szczęście fenomenologia zaczyna się od analizy świadomości potocznej. Tak więc zacząłem robić notatki, dotyczące ludzkiego świata wewnętrznego i tworzyć geometrię świadomości.

Prawie natychmiast uświadomiłem sobie, że **JAKIEŚ WEWNĘTRZNE SIŁY** przeciwstawiają się moim poszukiwaniom. Kiedy tylko skoncentrowałem się na tych problemach, natychmiast zaczynałem odczuwać bóle głowy i mdłości. Każdego ranka budziłem się z uczuciem silnej, głębokiej depresji. Zawsze interesowałem się amatorsko matematyką i byłem niezłym szachistą; wkrótce zdałem sobie sprawę, że zaczynam czuć się lepiej w momencie, kiedy przesuвам swą uwagę na matematykę i szachy. Kiedy zaczynałem myśleć o umyśle, powracała ta sama depresja.

Ta właśnie słabość zaczęła doprowadzać mnie do pasji. Postanowiłem przewyciężyć ją za wszelką cenę. Wyprosiłem u swych przełożonych dwa miesiące urlopu. Ostrzegłem żonę, że będę bardzo chory. Następnie rozmyślnie skierowałem swoją uwagę na fenomenologię. Skutki tego były dokładnie takie, jak sądziłem. Przez kilka dni czułem zmęczenie i przygnębienie. Następnie pojawiły się silne bóle głowy i nerwobóle. Jeszcze później zacząłem wymiotować wszystko, co zjadłem. Położyłem się do łóżka i próbowałem skoncentrować się na analizie własnej choroby za

pomocą metody proponowanej przez Husserla. Żona nie miała pojada, co się ze mną dzieje; jej obawy o mnie tylko pogarszały sytuację. Dobrze, że nie mamy dzieci; w przeciwnym wypadku byłbym z pewnością zmuszony przerwać eksperyment.

Czwartego dnia bytem tak wyczerpany, że ledwie przełknąłem łyżkę mleka. Zebrałem siły, a wysiłek, który w to włożyłem był niemal ponad moje możliwości; podjąłem próbę dotarcia do najgłębszych, wręcz instynktownych pokładów umysłu. Wówczas właśnie uświadomiłem sobie obecność owych wrogów. Było tak, jakby zanurzając się w głąb oceanu zauważyć nagle, że jest się otoczonym przez rekiny. Nie mogłem ich, oczywiście, "widzieć" w potocznym sensie tego słowa, ale CZUŁEM ich obecność tak wyraźnie, jak czuje się, na przykład, ból zęba. Były tam, głęboko, na takim poziomie mego bytu, do którego nie sięgała nigdy moja świadomość.

Kiedy usiłowałem powstrzymać się od krzyku przerażenia, broniąc się przed strachem, wynikającym z nieuchronnej zagłady, jaka mi groziła, zdałem sobie nagle sprawę z tego, ŻE ICH POKONAŁEM. Uwolniłem najgłębsze pokłady sił życiowych, które skierowałem przeciwko wampirom. Uruchomiłem nagle niesłychane siły, których istnienia nigdy nawet nie podejrzewałem w sobie; dały mi one moc giganta. Bytem znacznie od nich silniejszy - i musiały ustąpić. Zdałem sobie nagle sprawę, że jest ich tysiące; jednak wiedziałem, że nie są w stanie mnie pokonać.

Wtedy olśniło mnie, z siłą równą uderzeniu gromu. Nagle wszystko stało się jasne: WIEDZIAŁEM! Zrozumiałem, dlaczego tak im zależało na tym, aby nikt nie podejrzewał ich istnienia. Człowiek dysponuje znacznie większymi siłami, niż to jest potrzebne, aby je zniszczyć. Ale jak długo nie jest świadom ich istnienia, tak długo mogą na nim żerować - na podobieństwo wampirów wysysających z niego życiową energią.

Kiedy moja żona weszła do sypialni, ze zdumieniem stwierdziła, że siedzą na łóżku i śmieją się jak szalony. Przez chwilę sądziła, że zwariowałem. Ale prawie natychmiast zdała sobie sprawę, że jest to śmiech ozdrowieńca.

Poprosiłem ją, by przyniosła mi zupę... W przeciągu czterdziestu ośmiu godzin bytem znów na nogach, zdrów jak zawsze, a w gruncie rzeczy nawet zdrowszy niż kiedykolwiek w życiu. Początkowo znalazłem się w tak euforycznym nastroju, że zapomniałem o "nich". Potem zdałem sobie sprawę z tego jaką głupotą to było z mojej strony. Miały nade mną ogromną przewagę: znały mój umysł znacznie lepiej niż ja. Jeśli nie zachowam należytej ostrożności, mogą mnie jeszcze zniszczyć.

Wówczas jednak czułem się w pełni bezpieczny. Kiedy później, w ciągu dnia, czułem uporczywe i dokuczliwe ataki depresji, sięgałem znowu ku owym głębokim źródłom siły wewnętrznej i optymizmowi, z jakim patrzyłem w przyszłość. Ataki natychmiast ustępowały, a ja

znowu wybuchałem śmiechem. Musiało jednak minąć jeszcze wiele tygodni, nim nauczyłem się kontrolować ów mechanizm wyzwalający śmiech po każdej udanej potyczce z pasożytami.

To, co odkryłem, było oczywiście aż nadto nieprawdopodobne, by bez wahania można to było zaakceptować. W gruncie rzeczy miałem niezwykle szczęście, że odkrycia tego nie dokonałem sześć lat wcześniej, gdy pracowałem dla "Transworld Cosmetics". Od tego czasu mój umysł dojrzał - powoli i nieświadomie przygotował się do tego, co mnie obecnie spotykało. Jednak ostatnie kilka miesięcy upewniło mnie coraz bardziej, że nie była to tylko kwestia szczęścia. Mam poczucie, że po stronie ludzkości opowiadają się jakieś potężne siły, o naturze których nie mamy zielonego pojęcia.

(Specjalnie podkreślam to zdanie. Fakt ten zawsze, instynktownie, przeczuwałem).

Znaczenie mego odkrycia jest następujące: Od ponad dwóch stuleci umysł ludzki pada łupem owych wampirów. W kilku przypadkach zdołały one nawet całkowicie opanować czyjś umysł i używać go do realizacji swych celów. Przykładowo - jestem prawie pewien, że de Sade był takim "ZOMBI", którego umysł był całkowicie pod kontrolą wampirów. Bluźnierczość i zarazem głupota jego prac nie są, jak w wielu innych przypadkach, wyrazem demonicznej witalności. Dowodem na to jest fakt, że de Sade nigdy nie dojrzał w żadnej sferze życia, mimo że dożył siedemdziesięciu czterech lat. Jedyнным celem jego pracy było mącenie ludzkich umysłów. Umyślnie wypaczył i zdeprawował prawdy o seksie.

Kiedy to pojąłem, historia ostatnich dwustu lat stała się dla mnie przeraźliwie jasna. Do około 1780 roku (stanowiącego przybliżoną datę pierwszej, tak zmasowanej inwazji wampirów umysłu na ziemię) większość dziedzin sztuki dążyła do apoteozy życia - widać to chociażby w muzyce Haydna czy Mozarta. Po dokonaniu inwazji wampiry nie pozostawiły w umyśle artystów ani kszty optymizmu. Stał się on prawie nieosiągalny. Wampiry wybierają zawsze najinteligentniejszych z ludzi, by ich następnie podporządkować i użyć jako narzędzia. Bowiern to właśnie ci najinteligentniejsi mają największy wpływ na gatunek ludzki. Bardzo niewielu artystów miało w sobie wystarczająco dużo siły, by się im przeciwstawić - a ci, którym się udało przed nimi obronić, zyskiwali z wielokrotnieniem swych zdolności twórczych: Beethoven, tak jak i Goethe, są wyrazistym tego przykładem.

Właśnie ten fakt wyjaśnia, dlaczego dla wampirów tak ważną rzeczą jest skrywanie swej obecności; tylko wówczas bowiem mogą bezkarnie pić ludzką siłę życiową. Człowiek, który pokona wampiry umysłu, staje się w dwójnasób dla nich niebezpieczny, gdyż jego zdolność samoodnowy uległa wzmocnieniu. W takim wypadku wampiry będą usiłowały zniszczyć go prawdopodobnie w inny sposób. Powinniśmy pamiętać, że przyczyną śmierci Beethovena była

dziwna kłótnia, po której opuścił dom swojej siostry i przez wiele mil jechał w deszczu otwartym powozem. We wszystkich przypadkach zauważamy, że to właśnie w XIX wieku wielcy artyści zaczynają po raz pierwszy skarżyć się na to, że "świat jest przeciwko nim". Przecież zarówno Haydn, jak i Mozart byli w pełni rozumiani i doceniani przez swych współczesnych. Gdy tylko artysta umiera - i owo odrzucenie znika - wampiry umysłu poluźniają swe kleszcze. Mają ważniejsze sprawy, w których muszą uczestniczyć, niż zwalczanie sławy nieżyjących już artystów. Rezultaty walki z wampirami umysłu obserwujemy w historii sztuki i literatury już od 1780 roku. Artyści, którzy odmówili głoszenia doktryny pesymistycznej i dewaluacji życia, zostają zniszczeni. Oszczercy życia dożywają za to późnej starości, ciesząc się, dobrym zdrowiem. Ciekawy jest, na przykład, kontrast pomiędzy losem herolda pesymizmu, jakim był Schopenhauer a Nietzschem, apostołem głoszącym afirmację życia; albo pomiędzy losem degenerata seksualnego, jakim był de Sade a losem zajmującego się mistyką seksu Lawrence'a.

Oprócz tych oczywistych faktów, nie dowiedziałem się zbyt wiele o samych wampirach umysłu. Skłaniam się ku koncepcji twierdzącej, że w śladowych stosunkowo ilościach były one zawsze obecne na Ziemi. Możliwe, że chrześcijańska koncepcja diabła wyrasta z jakichś niejasnych intuicji, dotyczących roli, jaką odegrały one w historii ludzkości; przenikając bowiem ludzki umysł powodują, że staje się on wrogiem życia i gatunku ludzkiego. Byłoby jednakże błędem obarczać wampiry wyłączną winą za wszelkie nieprawości, jakie miały miejsce w historii ludzkości. Człowiek jest zwierzęciem starającym się przemienić w boga - i wiele z jego problemów jest nieuchronnym skutkiem tego właśnie dążenia.

Mam pewną teorię, którą wyłożę obecnie, by ukształtować całościowy obraz problemu. Podejrzewam, że wszechświat pełen jest gatunków podobnych nam i usiłujących się rozwijać. We wczesnych stadiach ewolucji każdy gatunek jest zajęty głównie zdobyciem kontroli, nad swym środowiskiem, pokonaniem wrogów i zapewnieniem sobie pożywienia. Ale wcześniej czy później przychodzi taki moment, gdy gatunek przerasta ten etap i jest już w stanie skierować uwagę ku swemu wnętrzu, ku przyjemnościom płynącym z poznania umysłu; "Królestwem moim jest mój umysł", powiedział sir Edward Dyer. Kiedy człowiek zda sobie sprawę z faktu, że to jego własny umysł jest owym królestwem i to w najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu, wielkim niezbadanym lądem, to w tym momencie przekracza granicę, dzielącą zwierzę od boga.

A więc, podejrzewam, że owe wampiry umysłu specjalizują się w odnajdywaniu gatunków, które prawie że osiągnęły ten poziom ewolucji, które są o krok od osiągnięcia nowej mocy, a następnie żerują na nich tak długo, dopóki ich nie zniszczą. Samo zniszczenie nie jest ich celem. Kiedy bowiem to uczynią, będą zmuszone szukać innych żywicieli. Intencją ich jest żerowanie na ogromnych zasobach energii, wytwarzanych w trakcie ewolucji - tak długo, jak to jest możliwe.

Zadaniem ich jest, w związku z tym, niedopuszczanie do tego, aby człowiek odkrył swój świat wewnętrzny - i skupianie jego uwagi wyłącznie na świecie zewnętrznym. Sądzę, że nie powinna budzić wątpliwości teza, iż wojny toczone w XX wieku były przebiegłą manipulacją, dokonaną na ludziach przez wampiry. Hitler, tak jak de Sade, był kolejnym "ZOMBI". Wojna, która miałaby doprowadzić do całkowitej zagłady ludzkości, nie służyłaby ich celom; ale ciągle trwające, lokalne konflikty są dla nich bardzo korzystne.

Kim byłby człowiek, gdyby był w stanie zniszczyć żerujące w jego umyśle wampiry, albo przynajmniej się ich pozbyć? Pierwszym objawem byłoby z pewnością poczucie ogromnej ulgi, wyzwolenia; nagły dopływ energii i optymizmu. Pierwsza fala owej energii przyniosłaby zapewne znakomite dzieła sztuki. Ludzkość zareagowałaby na podobieństwo dzieci, które zwolniono dzień wcześniej ze szkoły na wakacje. Później ludzka energia kierowałaby się ku swemu wnętrzu. Człowiek podjąłby realizację dziedzictwa Husserla. (Niewątpliwie znaczenie posiada fakt, że to właśnie Hitler ponosi odpowiedzialność za śmierć Husserla w momencie, kiedy tylko krok dzielił go od nowych odkryć). Wkrótce zdałby sobie sprawę z tego, że posiada wewnętrzną moc, przy której bomba termojądrowa wydaje się być tylko dziecinną igraszką. Być może, wspomagany takimi środkami jak meskalina, stałby się, po raz pierwszy, MIESZKAŃCEM ŚWIATA UMYŚLU - tak, jak obecnie jest obywatelem planety Ziemi. Poznałby kontynent umysłu, tak jak Livingstone i Stanley Afrykę; odkryłby, że ma wiele "jaźni", a jego wyższe "jaźnie" są tym, co jego przodkowie zwali bogami.

Mam jeszcze inną teorię, która jest tak absurdalna, że ledwo ośmielałam się o niej wspomnieć. Mówi ona, że mianowicie wampiry umysłu są, w niezamierzony zupełnie sposób, instrumentem w rękach jakichś wyższych mocy. Mogą one, oczywiście, zniszczyć każdy gatunek, który staje się ich żywicielem. Jeśli jednak przypadkiem gatunek ten uświadomi sobie niebezpieczeństwo - efekt może być wprost przeciwny do zamierzonego. Głównymi przeszkodami na drodze rozwoju ludzkości są: nuda i ignorancja, tendencja do bezwładnego poddawania się prądowi wydarzeń. W pewnym sensie są to, być może, większe niebezpieczeństwa - lub co najmniej przeszkody - niż sama obecność wampirów. Kiedy dany gatunek uświadomi sobie istnienie wampirów, walka z nimi jest wygrana. Mogą one zatem służyć jako rodzaj szczepionki, uodporniającej na indyferentyzm i lenistwo. Jest to, jednakże, tylko luźna spekulacja z mojej strony...

Następny problem jest o wiele ważniejszy niż wszystkie dotychczasowe spekulacje. - Jak można się ich pozbyć? Zwykłe opublikowanie "faktów" o nich niczego przecież nie rozwiąże. Fakty z historii ludzkości nic nie znaczą, po prostu zostałyby zignorowane. Ludzkości trzeba jednak w jakiś sposób uświadomić to niebezpieczeństwo. Gdybym - co byłoby - takie łatwe -

zaaranżował wywiad w telewizji, czy opublikował serię artykułów na ten temat w gazetach, być może byłbym wysłuchany, ale bardziej prawdopodobne jest, że uznano by mnie za szaleńca. Tak, doprawdy, jest to ogromny problem. Poza namówieniem wszystkich do zażywania porcji meskaliny, nie widzę innego sposobu przekonania ludzkości o istnieniu pasożytów. A zresztą - nie ma żadnej gwarancji, że i meskalina przyniosłaby pożądane rezultaty; gdybym był tego pewien, mógłbym przecież zaryzykować wrzucanie dużej ilości tego środka do miejskiej sieci wodociągowej. Nie, coś takiego jest nie do pomyślenia. Przy gotowości wampirów do zmasowanego ataku przytomność umysłu jest czymś zbyt cennym, aby ją narażać na ryzyko. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego mój eksperyment w "Trans - wór Id Cosmetics" zakończył się tak tragicznie. Wampiry CELOWO ZNISZCZYŁY TYCH LUDZI, by ich los był dla mnie przestrożą. Przeciętmemu człowiekowi brak wewnętrznej dyscypliny, aby im się oprzeć. Oto, dlaczego poziom samobójstw jest taki wysoki...

MUSZĘ lepiej poznać te stworzenia. Dopóki wiem o nich mało, mogą mnie zniszczyć. Jeśli poznam je bliżej, być może znajdę sposób, by uświadomić ludzkości zagrożenie wiszące nad nią"...

Fragment, który przytoczyłem obecnie jest oczywiście tym urywkiem, od którego zacząłem czytanie. Wybrałem jego środkową część. Refleksje Historyczne są w istocie rozwlekłymi dywagacjami nad naturą owych pasożytów umysłu i ich rolą w historii ludzkości... Praca Weissmana ma postać dziennika czy też zbioru luźnych przemyśleń. Nie udało mu się uniknąć ogromnej ilości powtórzeń. Był człowiekiem, który mimo że próbuje ściśle trzymać się pewnej linii przewodniej w swoich rozważaniach, to jednak nieustannie z niej zbacza.

Zaskoczony byłem jego umiejętnością koncentrowania się na tak długie okresy. Ja na jego miejscu z pewnością znacznie gorzej radziłbym sobie z panowaniem nad nerwami. Sądzę jednak, że wynikało to z tego, iż sądził, że jest teraz względnie bezpieczny. Wyszedł zwycięsko z pierwszego pojedynku i był oszołomiony odniesionym zwycięstwem. Głównym problemem stało się teraz - jak pisał - przekonanie innych ludzi do jego odkrycia. Jednak, jak się wydaje, nie sądził, by była to szczególnie nagląca sprawa. Miał świadomość, że jeśli opublikowałby wyniki swego odkrycia wprost - uznano by go po prostu za szaleńca. Jako naukowiec, w każdym razie, miał wpojony nawyk ciągłego weryfikowania faktów i gromadzenia ich jak największej liczby, zanim się je opublikuje. To co mnie zastanawiało - i do dziś niepokoi - to fakt, że nie starał się ze swego odkrycia nikomu zwierzyć, nawet żonie. Już samo to wskazuje na osobliwy stan jego umysłu; czyżby był tak pewny, że nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo, że zaczął lekceważyć czas? Czy też euforia, jaka go ogarnęła, była następną sztuczką ze strony pasożytów? Bez względu na to,

co się stało, kontynuował pisanie swych notatek w przekonaniu, że wygra tę walkę - aż do dnia, w którym "one" doprowadziły go do samobójstwa.

Nietrudno zgadnąć, jakie uczucia towarzyszyły mi podczas czytania dziennika Weissmana. Początkowo nie dowierzałem temu, o czym pisał - stan ten w gruncie rzeczy powracał wciąż na nowo w trakcie dalszego czytania - później przyszła ekscytacja i strach. Sądzę, że uznałbym to wszystko za obłąd, gdyby nie moje przeżycia na murach Karatepe. Byłem przygotowany na to, by uwierzyć w istnienie wampirów umysłu. Ale - co dalej?

W przeciwieństwie do Weissmana nie miałem w sobie tyle sił, by zatrzymać to odkrycie w tajemnicy. Byłem nim przerażony; wiedziałem, że najbezpieczniej byłoby spalić te notatki i udawać, że ich nigdy nie czytałem. Byłem pewien, że "one" zostawiłyby mnie wówczas w spokoju. Byłem bliski obłądu; przez cały czas, kiedy czytałem, nerwowo rozglądałem się wokół - i dopiero później uświadomiłem sobie, że przecież jeśli miałbym być obserwowany, to tylko od wewnątrz. Była to myśl, której nie mogłem znieść, dopóki nie natrafiłem na ustęp, w którym Weissman porównuje ich metodę "podśluchu" do nasłuchu radiowego. Zorientowałem się, że ta metafora ma pewne uzasadnienie. Znajdowały się, najwidoczniej, bardzo głęboko w umyśle; w rzeczywistości zadomowiły się w krainie najgłębszych wspomnień. Gdyby zbliżyły się bardziej ku świadomości, mogłyby być zauważone. Wyciągnąłem stąd wniosek, że prawdopodobnie odważają się zbliżyć ku powierzchni dopiero późną nocą, kiedy umysł jest zmęczony i wyczerpany. Wyjaśniałoby to zdarzenie, jakie przeżyłem na murze w Karatepe.

Wiedziałem już, jaki będzie mój następny ruch. Będę musiał wszystko opowiedzieć Reichowi; był jedynym człowiekiem, którego darzyłem zaufaniem i sympatią na tyle, by móc mu o tym powiedzieć. Być może tragedia Weissmana wynikała z tego, że nie miał nikogo bliskiego, komu mógłby zaufać i kogo mógłby obdarzyć sympatią - tak jak ja Reicha. Gdy zamierzałem to powiedzieć Reichowi, uznałem, że najbezpieczniejszym momentem ku temu będzie rano, kiedy obydwaj będziemy mieli wypoczęty umysł. Zarazem wiedziałem, że nie potrafię utrzymać języka za zębami przez całą noc.

Tak więc, skontaktowałem się z Reichem za pomocą naszego prywatnego kodu. Był na wykopaliskach. Kiedy jego twarz pojawiła się na ekranie videotelefonu, natychmiast poczułem się, jakbym oddalił od siebie groźbę obłądu. Spytałem, co by powiedział na wspólną kolację wieczorem? Zapytał, czy mam jakiś szczególny powód - na co odparłem, że nie. - Po prostu - dodałem - czuję się lepiej i brak mi towarzystwa. Szczęście mnie nie opuściło; kilku dyrektorów A.I.U. było właśnie na wykopaliskach i mieli zamiar wrócić do Diyarbakiru rakieta o szóstej. Miał być u mnie o wpół do siódmej.

Kiedy wyłączyłem aparat, po raz pierwszy zrozumiałem, dlaczego Weissman milczał. Lęk, aby nie zostać "podśluchanym" przez "nie" był tak silny, że zmuszał go do zachowania szczególnych środków ostrożności; do rozważnych i chłodnych reakcji, do trzymania myśli w ryzach, do kierowania ich na obszary zwyczajnych spraw.

Zamówiłem posiłek w restauracji dyrektorskiej, z której mogliśmy korzystać. Wydawało mi się, że tam będzie jakoś bezpieczniej o tym wszystkim mówić. Na godzinę przed jego przybyciem położyłem się znowu na łóżku, zamknąłem oczy i spróbowałem się odprężyć i oczyścić umysł.

To dziwne, ale nie sprawiło mi to wówczas wielkiego kłopotu. Ćwiczenie polegające na koncentrowaniu się na własnym umyśle bardzo dodaje odwagi. Były sprawy, które natychmiast zacząłem rozumieć. Jako niepoprawny "romantyk" zawsze byłem ofiarą nudy. Nuda ta ma swe źródło w nieufności wobec świata; ma się wrażenie, że nie można go zignorować, spuścić z oczu, zapomnieć. Tak więc siedzi się, gapi w sufit - zamiast słuchać muzyki, czy myśleć o historii - a wszystko to z dziwnego poczucia obowiązku. Więc dobrze, teraz byłem przekonany, że moim obowiązkiem jest ignorowanie świata zewnętrznego. Wiedziałem, o co chodziło Karelowi: pasożytom zależało, abyśmy nie wiedzieli o ich obecności. Przez samo uświadomienie sobie ich obecności zyskiwało się bowiem nowe siły i poczucie sensu.

Reich przybył dokładnie o wpół do siódmej i stwierdził, że wyglądam znacznie lepiej. Przyniósł ze sobą Martini, opowiedział o tym, co działo się na wykopaliskach od czasu mego wyjazdu. - Głównie sprzeczano się o to, w którym rogu zacząć kopanie pierwszego tunelu... O siódmej zeszliśmy na kolację. Dostaliśmy stół na uboczu, koło okna - mimo to wiele osób kłaniało nam się; w ostatnich dwóch miesiącach staliśmy się osobistościami o międzynarodowej sławie. Kiedy zajęliśmy miejsce przy stoliku, zamówiliśmy mrożony melon; Reich sięgnął po listę win. Zabrałem mu ją, mówiąc:

- Nie chcę, byś dziś wieczorem pił więcej. Później ci powiem, dlaczego. Będziemy obaj potrzebowali trzeźwego umysłu.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Co się dzieje? Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku?

- Musiałem. To, co mam do powiedzenia, musi na razie pozostać tajemnicą.

Uśmiechając się, odparł:

- Jeśli tak, to może lepiej byłoby sprawdzić, czy nie ma pod stołem ukrytych mikrofonów?

Odpowiedziałem mu na to, że nie ma takiej potrzeby, gdyż w to co powiem i tak nikt by nie uwierzył. Patrzył na mnie zupełnie już zdezorientowany, zacząłem więc mówić.

- Czy wydają ci się całkiem normalny i czy jestem przy zdrowych zmysłach?

- Oczywiście, że tak.

- A gdybym ci powiedział, że za pół godziny będziesz w to wątpił?

- Na miłość boską, mów już! Wiem, że nie jesteś wariatem. O co chodzi? Czy dotyczy to jakiegoś nowego pomysłu co do naszego podziemnego miasta? - odpowiedział.

Zaprzeczyłem. Patrzył na mnie w osłupieniu; więc powiedziałem mu, że przez całe popołudnie czytałem materiały, pozostawione przez Weissmana. Dodałem:

- Sądzę, że odkryłem przyczynę jego samobójstwa.

- Dlaczego to uczynił?

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli przeczytasz to sam. On wyjaśnia to lepiej, niż bym ja mógł to za niego uczynić. Ale najważniejsze w tym wszystkim jest to, że nie wierzę, aby był obłąkany. To nie było samobójstwo, był to rodzaj morderstwa.

Przez cały czas, kiedy mówiłem, zastanawiałem się czy nie pomyśli, że zwariowałem. Starałem się, jak mogłem najbardziej, być jak najspokojniejszym i jak najbardziej rozsądnym.

Z dużą ulgą zauważyłem, że nic takiego nie przyszło mu nawet do głowy. Powiedział tylko:

- Słuchaj, gdybyś nie miał nic przeciwko temu, zamówmy jednak drinka. Potrzebuję tego.

Zamówiliśmy więc pół butelki Nuits St. Georges i wypiliśmy je obaj. Powtórzyłem mu, najzwyczajniej jak umiałem, teorie Weissmana dotyczące pasożytów umysłu. Zacząłem od przypomnienia o moim doświadczeniu na murach Karatepe i naszej dyskusji o tym. Nim zakończyłem, moje uznanie i sympatia dla Reicha wzrosły w dwójnasób. Nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby temu, co mówię przytaknął dobrotliwie, a następnie wezwał karetkę pogotowia, prosząc o kaftan bezpieczeństwa. Moje krótkie sprawozdanie musiało brzmieć dość niepokojąco. On jednak uznał, że w pisaninie Weissmana musiało coś być, co mnie przekonało - i sam chciał być również przekonany. Pamiętam, że kiedy wróciliśmy po kolacji na górę, towarzyszyło mi pewnego rodzaju poczucie nierealności. Jeśli miałem rację, to rozmowa, którą odbyłem, była jednym z ważniejszych wydarzeń w historii ludzkości. A tymczasem byliśmy nadal zwykłymi ludźmi powracającymi do przytulnego pokoju, zagadywanymi przez tłustych, zamożnie wyglądających mężczyzn, którzy chcieli przedstawić nam swoje żony. Wszystko wyglądało zbyt normalnie i banalnie. Patrzyłem na potężną postać Reicha, spokojnie wspinającego się przede mną po schodach i zastanawiałem się, czy rzeczywiście uwierzył w opowieść science-fiction, którą mu zaserwowałem. Wiedziałem, że w dużej mierze to, czy nie oszalałem zależało od tego, czy uwierzy w to, co mówiłem.

W pokoju napiliśmy się soku pomarańczowego. Teraz Reich zrozumiał, dlaczego chciałem byśmy zachowali trzeźwość umysłu. Nie zapalił papierosa. Wręczyłem mu skoroszyt, zatytułowany Refleksje Historyczne i wskazałem na fragment, który przytoczyłem wcześniej. Przeczytałem go

raz jeszcze, tym razem siedząc koło niego. Kiedy skończyłem, wstał i zaczął milcząco chodzić tam i z powrotem po pokoju. W końcu powiedziałem:

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeśli nie jest to po prostu jedynie wymysł szaleńca to, mówiąc ci o tym, naraziłem twoje życie na niebezpieczeństwo?

- Nie przeraża mnie to zupełnie. Moje życie bywało już niejednokrotnie narażane. Chciałbym natomiast wiedzieć, na ile niebezpieczeństwo jest realne. Nie doświadczyłem nigdy obecności owych wampirów umysłu, tak więc brak mi możliwości osądu.

- Ja również; wiem równie mało jak ty. Materiały Weissmana pełne są rozważań na ten temat, ale niczego nie stwierdzają definitywnie. Musimy zacząć od zera.

Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie uważnie i rzekł:

- Ty w to rzeczywiście wierzysz, nieprawdaż?

- Niestety, tak - odrzekłem.

Cała sytuacja wyglądała na zupełnie absurdalną; rozmawialiśmy ze sobą jak bohaterowie książek Ridera Haggarda; a jednak wszystko to było prawdą. Przez około pół godziny rozmawialiśmy, nie dochodząc do żadnych konkluzji; w końcu Reich powiedział:

- Jedną rzecz, w każdym razie, musimy zrobić natychmiast. Musimy to wszystko nagrać na taśmę i zdeponować dziś wieczorem w banku. Jeśli cokolwiek się nam przydarzy tej nocy, posłuży to jako przestroga dla innych. Prawdopodobieństwo, że nas obydwu uznają za wariatów, jest mniejsze, niż gdyby chodziło tylko o jednego z nas.

Miał rację. Wyjęliśmy magnetofon i zrobiliśmy to, co proponował, czytając głośno wyjątki z notatek Weissmana. Na zakończenie Reich dodał od siebie jeszcze kilka słów. Powiedział, że nie jest pewien, czy to, co pisał Weissman jest szaleństwem, czy nie. Brzmi jednak na tyle wiarygodnie, aby usprawiedliwić naszą ostrożność w tej kwestii. Nie znamy jak dotąd przyczyny śmierci Weissmana, ale posiadamy jego notatki z dnia poprzedzającego samobójstwo, w których brak jakichkolwiek znamion szaleństwa.

Kiedy nagranie było gotowe, zaplombowaliśmy plastikowe pudełko, w którym umieściliśmy taśmę i zesłaliśmy na dół, by włożyć je do nocnego sejfku znajdującego się w banku A.I.U.C. Następnie zadzwoniłem do dyrektora firmy i poinformowałem go, że zdeponowałem nagranie zawierające pewne ważne koncepcje; prosiłem, aby przechował je do momentu, gdy będziemy ich potrzebowali. Nie stawiał nam żadnych przeszkód w tym względzie, uznał, że nagranie zawiera jakieś ważne informacje związane z wykopaliskami... Obiecał osobiście zająć się tą sprawą.

Poinformowałem Reicha, iż powinniśmy się solidnie wyspać; przedstawiłem mu swoją teorię mówiącą o tym, że pasożyty mają znacznie mniejszą moc panowania nad umysłem w pełni

przytomnym. Postanowiliśmy zostawić włączone videotelefony pomiędzy naszymi pokojami - na wypadek, gdybyśmy potrzebowali wzajemnej pomocy. Następnie rozstaliśmy się. Bez chwili wahania wzięłem silny środek uspokajający - mimo że nie było jeszcze dziesiątej - i położyłem się spać. W momencie, kiedy głowa moja opadła na poduszkę, starałem się nie myśleć o niczym; prawie natychmiast zasnąłem. Myśli moje były uporządkowane i zdyscyplinowane. Nie miałem żadnych trudności z utrzymaniem umysłu w ryzach.

Reich obudził mnie następnego dnia o dziewiątej rano; z ulgą przyjął to, że znajdowałem się w dobrym stanie. Dziesięć minut później przyszedł na śniadanie.

Wtedy dopiero, siedząc w zalanym już słońcem pokoju i sącząc zimny sok pomarańczowy, po raz pierwszy zaczęliśmy myśleć konkretnie o pasożytach. Umysły nasze były świeże i wypoczęte. Całą rozmowę nagraliśmy. Po pierwsze - przedyskutowaliśmy kwestię tego, w jakim stopniu możemy swą wiedzę ukryć przed "nimi". Wniosek był jeden: nie ma sposobu, żeby tę kwestię rozstrzygnąć. Weissman jednak przetrwał, skryty przed nimi, sześć miesięcy - co wskazywało, że zagrożenie nie było bezpośrednie. Co więcej "one" wiedziały, że Weissman był na ich tropie; faktycznie udało się im zapobiec próbom skierowania umysłu na ten problem. Weissman był więc od początku naznaczony. Z drugiej jednak strony - poprzedniego dnia, czytając Refleksje Historyczne, nie czułem żadnej obcej obecności, a kiedy przezwyciężyłem już początkowy strach i panikę, poczułem się wyjątkowo zdrowy, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Dojrzywałem do tego, aby podjąć rzucone mi wyzwanie. (Babcia opowiadała mi kiedyś, że w pierwszych dniach II wojny światowej ludzie czuli się wyjątkowo szczęśliwi i byli odprężeni; stan ich doskonale teraz rozumiałem).

Tak więc było dość prawdopodobne, że "one" nie zorientowały się jeszcze, iż tajemnica Weissmana ujrzała światło dzienne. Nie było to takie dziwne. Nie znaliśmy ich liczby, nie wiedzieliśmy nawet, czy pojęcie liczby można do nich stosować; jeśli jednak miały problem w kontrolowaniu umysłów pięciu miliardów ludzi, aktualnej populacji świata, to niebezpieczeństwo nie mogło być aż tak wielkie. Załóżmy - powiedział Reich - że koncepcja Junga jest prawdziwa i gatunek ludzki posiada wielki, wspólny umysł, rozległy ocean nieświadomości. Załóżmy także, że pasożyty te są stworzeniami zamieszkującymi głębię tego oceanu i unikającymi zbytniego zbliżania się do powierzchni ze strachu, by nie zostać odkrytymi. W takim wypadku mogą one przez lata nie odkryć tego, że wiemy o nich - o ile sami się nie wydamy, tak jak to uczynił Weissman, który postawił je w stan gotowości.

Nasuwało to następny problem. Poprzedniego wieczoru obaj uznaliśmy, że najlepszym sposobem, aby dowiedzieć się czegoś więcej o pasożytach, byłaby próba użycia narkotyków,

ułatwiających zbadanie umysłu. Uświadomiliśmy sobie jednak wówczas, że to nazbyt niebezpieczne. W takim razie - czy istnieją inne sposoby poznania umysłu, bez użycia narkotyków?

Na szczęście była to kwestia, którą Weissman sporo się zajmował. Odkryliśmy to tego samego dnia, gdy przeglądaliśmy, strona po stronie, Refleksje. Metoda, której poszukiwaliśmy, była zawarta w fenomenologii Husserla. Celem Husserla było stworzenie mapy "struktury" świadomości (albo jej geografii jak to chętnie nazywaliśmy), wyłącznie w oparciu o aktywną refleksję. Po przemyśleniu tej kwestii przyznaliśmy, że takie podejście ma swój sens. Jeśli się chce sporządzić mapę nieznanego kontynentu: powiedzmy, jednej z dżungli na Wenus - to nie jest rzeczą konieczną przedzieranie się przez gąszcze i płataniny drzew. Pracę wystarczy oprzeć przede wszystkim na danych pochodzących z rozmaitych przyrządów pomiarowych oraz na obserwacji tego obszaru z helikoptera. Najważniejsze jest to, by dokładnie rozpoznać, co się rozciąga poniżej - trzeba umieć rozpoznać bagna po kolorze ziemi i tak dalej. A jeśli chodzi o geografie umysłu ludzkiego, głównym problemem nie jest skok w rzeczywistość poniżej progu świadomości, ale nabycie umiejętności właściwego nazwania tego, co już o niej wiemy. Mając do dyspozycji mapę, podjąłbym się wyprawy z Paryża do Kalkuty, bez niej mógłbym trafić do Odessy. Posiadając podobną "mapę" umysłu ludzkiego, człowiek mógłby zbadać obszary pomiędzy śmiercią a mistyczną wizją, pomiędzy katatonią a geniuszem. Mogę to ująć jeszcze inaczej. Umysł ludzki jest jak skomplikowany mózg elektronowy, zdolny do niezwykłych wyczynów. Niestety, człowiek nie wie, jak się nim posługiwać. Każdego ranka po przebudzeniu włącza swój system kontrolny, kręci gałkami, naciska guziczki. I to jest ten absurd: mając do dyspozycji tak potężną maszynę, wie tylko, jak wykonywać najprostsze rzeczy; rozwiązywać najoczywistsze, codzienne problemy. To prawda, że istnieją ludzie, których zwiemy geniuszami, potrafiący użyć "mapy" w znacznie ciekawszy sposób: piszą symfonię lub poezję, odkrywają prawa matematyczne. Ponadto istnieją i tacy, którzy są - prawdopodobnie - ze wszystkich innych najważniejsi; ludzie potrafiący użyć tej potężnej maszyny, jaką jest umysł, by poznać tkwiące w człowieku możliwości. Używają jej po to, by stwierdzić, co można jeszcze więcej zrobić. Wiedzą, że zdolna jest do stworzenia Symfonii Jowiszowej i Fausta, Krytyki czystego rozumu i geometrii nieeuklidesowej. Jednak w pewnym sensie dzieła te zostały stworzone przez przypadek lub instynktownie. To prawda, wiele wielkich odkryć naukowych jest dziełem przypadku; kiedy jednak zostały już sformułowane - głównym celem naukowca jest poznawanie ukrytych praw, które nimi rządzą. Ów elektroniczny mózg jest największą ze wszystkich tajemnic, gdyż znajomość mechanizmów jego funkcjonowania oznacza przekształcenie człowieka w boga. Czy są zatem bardziej wartościowe cele dla świadomości, niż badania praw nią rządzących? Takie właśnie jest znaczenie słowa "fenomenologia", być może najważniejszego z ludzkich słów.

Rozmiar stojącego przed nami zadania przeraził nas. Przeraził, ale nie przygnębił. Nie ma takiego naukowca, którego perspektywa nie mającego końca odkrycia mogłaby przygnębić. Wciąż na nowo - co najmniej tysiąc razy w ciągu kilku następnych miesięcy - dochodziliśmy do tego samego wniosku, będącego odpowiedzią na pytanie, dlaczego pasożyty tak pragną pozostać w ukryciu? Od tego, czy ludzkość ów osobliwy rodzaj choroby umysłowej uzna za swój stan naturalny, czy nie - zależy wszystko. Jeśli choć raz zacznie ją kwestionować, nic już nie będzie w stanie przeszkodzić jej w rozwoju.

Pamiętam, jak późnym rankiem zeszliśmy do kantyny na herbatę (zdecydowaliśmy się uznać kawę za narkotyk i postanowiliśmy jej unikać). Kiedy szliśmy przez główny plac A.I.U., stwierdziliśmy, że patrzymy na otaczających nas ludzi z pewnego rodzaju dobrotliwą litością. Byli bardzo zajęci swymi nic nie znaczącymi kłopotami, uwikłani w osobiste, małe marzenia, podczas gdy my mocowaliśmy się z rzeczywistością; jedyną prawdziwą rzeczywistością, rzeczywistością ewolucji umysłu.

Pierwszy rezultat owych zmagañ był natychmiastowy. Zacząłem zrzucać nadwagę, a i moje samopoczucie fizyczne było doskonałe. Stale sypiałem dobrze i głęboko, a budziłem się z poczuciem spokoju i całkowitego zdrowia. Myśli moje uzyskiwały zadziwiająca precyzję. Myślałem spokojnie, wolno, prawie że pedantycznie. Obydwaj zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jakie to ma dla nas znaczenie. Weissman porównywał pasożyty do rekinów; dla płynącego najlepszym sposobem zwrócenia na siebie uwagi rekinów jest hałaśliwe zachowanie. Nie zamierzaliśmy bynajmniej tego czynić.

Obydwaj powróciliśmy na wykopaliska, ale niedługo potem znaleźliśmy mnóstwo pretekstów, aby spędzić tam jak najmniej czasu. Nie było to takie trudne, gdyż większość pracy, którą trzeba było wykonać, należała już raczej do inżynierów niż do archeologów. Reich, w każdym razie, myślał już o przeniesieniu swych urzędzeń do Australii, aby przebadać miejsce, o którym wspomina Lovecraft w Cieniu spoza czasu; nasze obecne odkrycie nie pozostawiało bowiem żadnych wątpliwości co do tego, że Lovecraft był swego rodzaju jasnowidzem. Warto było sprawdzić jego słowa. Tak więc w sierpniu postanowiliśmy po prostu urządzić sobie wakacje, traktując panujące o tej porze roku upały jako doskonały ku temu pretekst.

Obydwaj ciągle wyczekiwaliśmy na jakiegokolwiek oznaki aktywności pasożytów. Pracowaliśmy solidnie i systematycznie; pod względem psychicznym, jak i fizycznym czuliśmy się dobrze, choć stale byliśmy uczuleni na możliwość pojawienia się jakichkolwiek przejawów "zakłóceń" w funkcjonowaniu umysłu, które opisywał Karel. Nic takiego nie stwierdzaliśmy - i to nas trochę zbijało z tropu. Przypadkowo odkryłem przyczynę tego faktu, a miało to miejsce na początku października, gdy pojechałem do Londynu. Musiałem przedłużyć umowę najmu mego

mieszkania na Percy Street chociaż jeszcze się nie zdecydowałem do końca, czy to uczynię. Porannym lotem udałem się do Londynu i około jedenastej byłem już w swoim mieszkaniu. Od momentu, gdy przekroczyłem jego próg, wiedziałem, że mnie obserwują. Miesiące oczekiwań uwrażliwiły mnie na ich obecność. Dawniej zignorowałbym takie nagłe poczucie przygnębienia i niejasnego zagrożenia; uznałbym je za skutek zwykłej niestrawności. Tymczasem nauczyłem się czegoś. Wiedziałem, na przykład, że jeśli w umyśle człowieka pojawia się nagle niczym nie uzasadnione drżenie, uczucie jakby "śmiertelnego dreszczu" - to stanowi to zazwyczaj sygnał ostrzegający, że część pasożytów zbyt zbliżyła się do powierzchni świadomości, a owo drżenie wywołane jest odczuciem obcej obecności.

Wiedziałem od razu, już w swoim pokoju, że pasożyty mnie obserwują. Może brzmi paradoksalnie to, że były "w moim mieszkaniu", podczas gdy ja wiedziałem już, że są wewnątrz mnie. Wynika to z niedoskonałości naszego języka potocznego zastosowanego do ich opisu. W pewnym sensie ponadindywidualny umysł i czasoprzestrzeń koincydują ze sobą w tym sensie, w jakim rozumiał to Whitehead. Umysł w rzeczywistości nie znajduje się "wewnątrz" nas w tym samym znaczeniu, w jakim rozumiemy to na przykład w odniesieniu do jelit, które znajdują się wewnątrz naszego organizmu. Indywidualność jest rodzajem wiru, pojawiającego się w morzu umysłu, odbiciem totalnej tożsamości całej ludzkości. Tak więc, kiedy wszedłem do swego pokoju, pasożyty były jednocześnie wewnątrz jak i na zewnątrz, czekając na mnie w mieszkaniu. To te papiery, których miały strzec, przyciągały je.

Tygodnie treningu nie poszły na marne. Pozwoliłem, aby mój umysł poddał się wpływowi tego doświadczenia, tak jak drzewo ugina się pod podmuchami wiatru albo jak chory człowiek pochyla się nad swą chorobą. Tym razem odniosłem wrażenie, że obserwuje mnie coś co przypomina ośmiornicę, stwór pozostający w bezruchu, a nie - jak dotąd - szybko poruszający się rekin. Skupiłem się na swoich sprawach udając, że nic nie dostrzegam. Podszedłem nawet do skrzyń z notatkami i zajrzałem do środka, pozwalając górnej warstwie mego umysłu zareagować ze zwykłą mi obojętnością na bruliony dotyczące psychologii. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że udało mi się wykształcić w sobie nową umiejętność. Byłem zupełnie inną osobą niż ta, którą dwa miesiące temu wcześniej nazwałbym "Gilbertem Austinem"; oderwałem się od swego wcześniejszego "ja" tak, jak twórca marionetki "porzuca" swe dzieło. Będąc pod obserwacją pasożytów zlałem się ze swoim starym "ja" i byłem, można by rzec, pasażerem podróżującym we własnej, starej jaźni. Nie bałem się tego, że mogę się jakoś zdradzić. Zbyt dobrze panowałem nad sobą. Podłączyłem się do obwodu starego "Gilberta Austina" - i to on właśnie przechadzał się po pokoju, dzwonił do Hampstead, pytając o zdrowie pani Weissman, w końcu dzwoniąc do pewnej firmy z prośbą o zabranie mebli (które były moją własnością), jak i kartotek - i sprzedaż ich.

Następnie zszedłem do właściciela, aby z nim porozmawiać; resztę dnia spędziłem w British Museum, gawędząc z Hermanem Bellem, szefem działu archeologii. Przez cały czas miałem świadomość, że jestem stale pod obserwacją pasożytów, choć obecnie już nieco mniej uważną. Od chwili, kiedy zleciłem zabranie kartotek, ich zainteresowanie moją osobą wyraźnie spadło.

Przez blisko czterdzieści osiem godzin zmuszałem swój umysł do myślenia wyłącznie o sprawach zawodowych, związanych z wykopaliskami w Karatepe. Nie było to wcale takie trudne (jak to wiedzą moi bardziej wtajemniczeni Czytelnicy). Była to tylko kwestia zidentyfikowania się z pewną częścią mojej osoby, w sposób, w jaki to czyni aktor ze szkoły Stanisławskiego. Wraz z Bellem przeżywałem jego ekscytację dotyczącą wykopalisk i temu podobnych rzeczy. Odwiedziłem przyjaciół w Londynie, dałem się zwabić na "małe przyjęcie", na którym miałem być główną atrakcją wieczoru. (Potem się okazało, że było to ogromne przyjęcie; pani domu zawiadomiła około stu osób, kiedy tylko obiecałem, że przyjdę). Umyślnie dopuszczałem, aby mój umysł funkcjonował po starym, czyli - prawdę mówiąc - źle. Pozwoliłem sobie na nadmierną ekscytację, potem na przygnębienie. Już gdy wracałem, na pokładzie samolotu pozwoliłem sobie na dywagacje na temat tego, czy to wszystko nie było głupią stratą czasu i powziąłem decyzję, że już nigdy więcej nie dam się wmanewrować w rolę gwiazdy. Kiedy helikopter A.I.U. wylądował w Diyarbakirze, odniosłem wrażenie, że horyzont znowu był czysty; na wszelki wypadek ukrywałem jednak swe myśli jeszcze przez następne czterdzieści osiem godzin. Na szczęście Reich był na wykopaliskach, a więc nie było okazji, by zmniejszyć czujność. Kiedy tylko wrócił, opowiedziałem mu całą historię. Powiedziałem, że wydaje mi się, iż usunięcie kartotek do przechowalni prawdopodobnie spowodowało zmniejszenie ich zainteresowania moją osobą. Żaden z nas jednak nie zamierzał wpadać w pułapkę nadmiernej pewności siebie.

Doświadczenie to pozwoliło nam sformułować inną teorię dotyczącą pasożytów. Najprawdopodobniej nie obserwowały one człowieka przez cały czas. Jeśli jednak tak było, to dlaczego ludzie po prostu "nie zdrowieją", kiedy w pobliżu nie ma żadnych pasożytów, tak jak to miało miejsce w naszym przypadku?

Problem ten nie dawał nam spokoju przez następne dwadzieścia cztery godziny. To Reich znalazł wreszcie odpowiedź na to pytanie. Rozmawiał przypadkowo z żoną Everetta Reubke, prezydenta A.I.U.; jej mąż udał się właśnie w czterodniową podróż na Księżyc, która miała być rodzajem "kuracji wypoczynkowej". Przyznała, że stan jego nerwów nie przedstawiał się najlepiej.

- Ale dlaczego? - zapytał Reich. - Przecież interesy idą świetnie!

- O tak! - odpowiedziała. - Ale kiedy jest się prezydentem tak wielkiego koncernu jak A.I.U., wpada się w nawyk martwienia się o wszystko i czasem nie można się od tego uwolnić.

To było to! Nawyk! Gdy się o tym pomyśli, jest to tak oczywiste i jasne! Od lat psychologowie mówili, że człowieka można porównać do maszyny. Lord Leicester przyrównał istotę ludzką do staroświeckich zegarów, poruszanych przez sprężyny. Pojedynczy uraz z dzieciństwa może stać się źródłem trwającej całe życie nerwicy. Z kolei jedno czy dwa szczęśliwe zdarzenia w dzieciństwie mogą na zawsze uczynić z człowieka optymistę. Organizm niszczy zarazki choroby w przeciągu tygodnia - patologia umysłu czy lęk trwać może przez całe życie. Dlaczego? Ponieważ siły życiowe umysłu mają tendencję do inercji. Funkcjonuje on w oparciu o nawyki; są one niezwykle odporne na przełamanie, szczególnie te negatywne.

Mówiąc innymi słowy, istota ludzka - jeśli została raz odpowiednio uwarunkowana przez pasożyty umysłu - upodabnia się do nakręconego zegara. Wystarczy go raz do roku nakręcić. Poza tym, jak stwierdził Weissman, ludzie warunkują się wzajemnie, oszczędzając pracy pasożytom. Postawy rodziców wobec życia przekazywane są dzieciom. Jeden ponury i pesymistyczny pisarz, dysponujący przekonującym stylem, oddziałuje na całe pokolenie twórców, którzy z kolei odciskają swe piętno na prawie każdej wykształconej osobie w danym kraju.

Im więcej wiedzieliśmy o pasożytach, tym jaśniejsze stawało się dla nas to, jak przerażająco prosta jest cała sprawa i jak niewiarygodne szczęście mieliśmy, wpadając na "ich" trop. Musiało upłynąć wiele czasu, zanim zrozumieliśmy jak bardzo nieadekwatne i nieprecyzyjne jest słowo "szczęście" (podobnie zresztą jak większość abstrakcyjnych pojęć z naszego języka) - i że tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego.

Spędzaliśmy, naturalnie, mnóstwo czasu dyskutując, kogo jeszcze moglibyśmy wtajemniczyć w nasz sekret. Był to problem nie lada. Zrobiliśmy dobry początek, ale jeden fałszywy krok mógłby zniszczyć wszystko. Po pierwsze, musieliśmy mieć pewność, że wybieramy ludzi, o umysłowości przygotowanej na przyjęcie tego, co mieliśmy im do przekazania. Nie była to już kwestia tego, by nie wzięto nas za wariatów - tym się zbytnio nie przejmowaliśmy - ale tego, by jakiś lekkomyślnie wybrany sojusznik nie zdradził całej sprawy.

Czytaliśmy wiele z zakresu psychologii i filozofii, szukając osób, których umysłowość rokowałaby dobrze w walce z pasożytami. Znaleźliśmy ich pewną ilość, ale wciąż byliśmy ostrożni. Szybko pojęliśmy z Reichelem zasady fenomenologii. Sprzyjał temu fakt, iż żaden z nas nie był filozofem, a więc nie mieliśmy żadnych wcześniejszych nastawień, które trzeba by było przewycięzać. Ziarno myśli Husserla padło na podatny grunt. Ponieważ była to jednak bitwa, musieliśmy wypracować sposób szkolenia innych ludzi w zakresie takiej dyscypliny umysłowej, która by ich przygotowała do walki z pasożytami. Nie wystarczyło polegać na ich zwykłej

inteligencji. Należało tych ludzi nauczyć obrony przed pasożytami umysłu w możliwie jak najkrótszym czasie.

Chodzi, mianowicie, o rzecz następującą: jeśli ktoś choć raz nauczy się właściwie korzystać ze swego umysłu, reszta jest już rzeczą łatwą. To kwestia przełamania nawyku, który ludzie utrwalili przez miliony lat; nawyku koncentrowania całej uwagi na świecie zewnętrznym, traktowania "wyobraźni" jako rodzaju mechanizmu ucieczkowego zamiast uznania, że jest to krótka wyprawa do rozległych obszarów umysłu. Trzeba przyzwycząić się do myślenia o tym, jaki jest rzeczywisty mechanizm funkcjonowania umysłu. "Umysł" rozumiem tu nie w potocznym znaczeniu tego słowa, ale szerzej - łącznie z uczuciami i percepcją. Stwierdziłem, że najtrudniejszą chyba rzeczą na początku jest uświadomienie sobie, że "uczucia" są po prostu inną formą percepcji. Mamy tendencję do upychania uczuć w osobne szufladki. Patrząc na człowieka i "widzę" go, jest to coś obiektywnego. Natomiast dziecko patrzy na niego i mówi: - Och, cóż to za wstrętny człowiek! Dziecko wyraża swoje uczucia wobec niego i wówczas mówimy, że to jest coś "subiektywnego". Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak głupia jest taka klasyfikacja i jak bardzo zniekształca nasze myślenie. W pewnym sensie uczucia dziecka są również spostrzeganiem. Tak, jak w bardziej istotnym sensie nasze "widzenie" jest "uczuciem".

Pomyślcie przez chwilę o tym, co się dzieje, gdy regulujecie lornetkę. Przesuwacie małe pokrętło - i wszystko jest zamazane. Nagle jeden dodatkowy ruch - i wszystko staje się jasne i wyraziste. Pomyślcie teraz, co się dzieje, kiedy ktoś wam mówi: "Stary Iksiński zmarł ostatniej nocy". Zazwyczaj umysł mamy tak przepełniony innymi sprawami, że nie czujemy w ogóle nic - albo inaczej - uczucia są tak mętne i niejasne, jak źle nastawiona lornetka. Być może w tydzień później, siedząc spokojnie w swym pokoju i coś czytając, przypominamy sobie o starym Iksińskim, który właśnie zmarł. Przez moment czujemy silny smutek; nastąpiło skryształowanie uczucia. Czy trzeba czegoś jeszcze, by przekonać się, że uczucie i spostrzeganie są zasadniczo tym samym?

Ponieważ jest to jednak relacja z pewnego zmagania - a nie traktat filozoficzny - więc nie proponuję dalszego wgłębiania się w fenomenologię. (Zrobiłem to w innych książkach, polecam także prace Lorda Leicestera jako wspaniałe wprowadzenie do tematu). Jednak pewna dawka filozofii jest konieczna, aby zrozumieć historię walki z pasożytami. A to dlatego, że myśląc nad tą kwestią zdaliśmy sobie sprawę, iż główną bronią pasożytów jest rodzaj stacji zagłuszającej, wywołującej w umyśle szumy, które można by porównać do urządzeń zakłócających pracę radaru. Świadomy ludzki umysł "bada" nieustannie wszechświat. "Przytomne życie «ego» jest percepcją". Umysł jest jak astronom badający niebo, by odkryć nowe planety. Odkrywa nowe planety w ten sposób, iż porównuje stare fotografie gwiazd z nowymi. Jeśli gwiazda przesunęła się, oznacza to, że nie jest gwiazdą, ale planetą. Nasze umysły i uczucia są także stale zaangażowane w analogiczny

sposób badania wszechświata. Poszukują "znaczeń" w nich ukrytych. "Znaczenie" ma miejsce wówczas, gdy porównujemy dwa wielkie zbiory doświadczeń i nagle zaczynamy je rozumieć. Weźmy wyjątkowo uproszczony przykład: pierwsze doświadczenie dziecka z ogniem. Może ono być całkowicie pozytywne; ogień to coś ciepłego, jasnego i interesującego. Jeśli następnie dziecko spróbuje włożyć palec do ognia, uczy się o nim czegoś nowego, że na przykład parzy. Nie uznaje jednak z tego powodu ognia za coś całkowicie nieprzyjemnego, chyba że jest wyjątkowo bojaźliwe i neurotyczne. Nakłada na siebie dwa typy tego rodzaju doświadczeń z ogniem, jedno na drugie, jak dwie mapy nieba i stwierdza, że jedna właściwość ognia powinna być oddzielona od drugiej. Proces ten nazywamy uczeniem się.

Założmy teraz, że pasożyty umyślnie "zaciemniają" uczucia, kiedy staramy się je porównać między sobą jak te dwa doświadczenia z ogniem opisane wcześniej. Wówczas mamy do czynienia z taką sytuacją, jakby w teleskopie astronoma właściwe soczewki zastąpić zadymionymi szklami. Wpatrując się, nawet bardzo usilnie, w te dwie gwiazdne mapy, niewiele można zobaczyć. Kiedy coś takiego się zdarza, niewiele możemy się nauczyć ze swoich doświadczeń. A gdy przypadkiem jesteśmy osłabieni albo neurotyczni, to uczymy się czegoś zupełnie fałszywego, na przykład, że ogień jest "zły", bo parzy.

Proszę swych mniej filozoficznie nastawionych Czytelników o wybaczenie, że umieszczam tu tak obszernie wyjaśnienia - ale są one konieczne. Celem pasożytów było niedopuszczenie do tego, by ludzie ujawnili maksimum tkwiącej w nich potencjalnej mocy; dokonały tego przez "zamulenie" emocji, zaciemnianie uczuć tak, byśmy nie mogli się na ich podstawie uczyć i byśmy poruszali się w osobliwej umysłowej mgle. Refleksje Historyczne Weissmana były próbą analizy historii ostatnich dwu stuleci i odkryciem, w jaki sposób przebiegał atak pasożytów na gatunek ludzki. Była to jedna z pierwszych rzeczy, którą dostrzegł. Weźmy owych "romantycznych" poetów z początku dziewiętnastego wieku, takich jak Wordsworth, Byron, Shelley, Goethe. Byli zupełnie odmienni od poetów z poprzedniego stulecia - Drydena, Pope'a i reszty. Ich umysły były jak lupy o olbrzymiej sile, ogniskującej się na egzystencji ludzkiej. Kiedy Wordsworth spoglądał wczesnym rankiem z Westminster Bridge w dół, na Tamizę, umysł jego nagle eksplodował, nakładając jedno doświadczenie na drugie. Przez chwilę ujrzał ludzkie życie z lotu ptaka, z góry - miast z perspektywy codziennej, z pozycji robaka. A zawsze jest tak, że jeśli człowiek widzi życie w ten sposób - bez względu na to, czy jest poetą, naukowcem czy mężem stanu - to zyskuje ogromne poczucie siły i odwagi; wnika w samo jądro życia, pojmuje sens ewolucji gatunku ludzkiego.

Tak, to właśnie w tym punkcie historii; właśnie wtedy, gdy ludzki umysł dokonał ogromnego skoku (ewolucja zawsze ma charakter skokowy, jak elektron przeskakujący z jednej

orbity na drugą) pasożyty umysłu przypuściły atak. Była to walka przebiegła i długotrwała. Staraly się stopniowo podporządkować sobie największe umysły naszej planety. Prawdę tę dostrzegł już Tołstoj w Wojnie i pokoju, kiedy stwierdził, że jednostki odgrywają niewielką rolę w historii - toczy się ona bez ich woli. Rzeczywiście, wszyscy protagoniści wojny napoleońskiej poruszali się jak w mechanizmie, tak jak figury szachowe na planszach, kierowani przez pasożyty umysłu. Naukowców kierowano ku dogmatom i materializmowi. Jak tego dokonano? Wywołano w nich poczucie braku bezpieczeństwa, które spowodowało, że chętnie chwyтали się idei nauki jako "czysto obiektywnej wiedzy"; podobnie pasożyty próbowały przerzucić uwagę Weissmana na problemy matematyczne i szachy... Równie chytrze zostali wyprowadzeni w pole pisarze i artyści. Prawdopodobnie pasożyty z przerażeniem obserwowały gigantów typu Beethovena, Goethego czy Shelley'a zdając sobie sprawę, że kilkadziesiąt takich jak oni osób bez trudu przeniosłoby ludzkość w następny etap jej ewolucji. A więc doprowadziły Schumana i Hölderlina do obłądzenia, Hoffmanna do pijaństwa, Coleridge'a i De Quincey'a do narkomanii. Ludzie, mający w sobie zadatki na geniuszy, byli bezwzględnie tępieni jak robactwo. Nic dziwnego, że artyści XIX wieku czuli, iż świat jest przeciwko nim. Nic dziwnego, że dzielna próba Nietzschego, będąca w swym przesłaniu wezwaniem do optymizmu, została tak zgrabnie zniszczona piorunującym ciosem obłądzenia. Nie chcę wchodzić zbyt głęboko w tę kwestię; książki Lorda Leicestera na ten temat są wyczerpującą dokumentacją problemu.

A więc, jak już powiedziałem, w chwili kiedy odkryliśmy istnienie pasożytów umysłu, umknęliśmy sprytnie zastawionej przez nich pułapce. Była to, ni mniej, ni więcej, tylko "pułapka historyczna". To właśnie historia stanowiła ich zasadniczą broń. "Ukierunkowały" historię. Przez ostatnie dwa stulecia historia ludzkości stała się przypowieścią o słabości, niezależności od Natury, beznadziejności człowieka w konfrontacji z Koniecznością. Jednak z chwilą, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że historia może być "unieruchomiona", przestała nas ona wciągać w swoje tryby. Spojrzeliśmy wstecz na historię Mozarta, Beethovena, Goethego i Shelley'a i pomyśleliśmy: - tak, gdyby nie pasożyty, geniuszy mielibyśmy na pęczki... Nonsensem stało się mówienie o słabości ludzkiej. Istoty ludzkie mają niezwykłą siłę, jeśli tylko nie jest ona wysysana co noc przez wampiry duszy.

Już sama wiedza o tym napełniała nas ogromnym optymizmem. Wówczas, na samym początku naszych zmagania, optymizm ten wynikał także z naszej ignorancji wobec pasożytów. Ponieważ wiedzieliśmy, że przykładają one tak wielką wagę do utrzymania swego istnienia w tajemnicy przed ludźmi, wyciągnęliśmy stąd wniosek - którego byliśmy bardzo pewni - że nie posiadają one rzeczywistej mocy czynienia zła. Samobójstwo Karela niepokoiło mnie, ale jego żona podała mi dość wiarygodną teorię wyjaśniającą przyczyny jego śmierci. Karel służył herbatę

sacharyną; butelka wypełniona tabletkami z cyjankiem była bardzo podobna do butelki zawierającej pastylki sacharyny. Być może w trakcie intensywnej pracy nieopatrznie postłodził herbatę cyjankiem zamiast sacharyną. Oczywiście, uniemożliwić to powinien zapach, ale przypuścimy, że pasożyty mogą w jakiś sposób upośledzić zmysły powonienia i, że się tak wyrażę, "zakłócić" jego funkcjonowanie. Być może Karel, nie podejrzewając niczego, siedział przy biurku pochłonięty pracą, prawdopodobnie nieco przemęczony i automatycznie sięgnął po sacharynę, a jeden z pasożytów delikatnie skierował jego rękę kilka cali w lewo...

Obaj z Reichem skłonni byliśmy zaakceptować tę teorię, która wyjaśniała obecność cyjanku w herbacie. Była zbieżna również z naszym poglądem, zgodnie z którym pasożyty te nie były w gruncie rzeczy groźniejsze od innych stworów - takich jak korniki czy trujący bluszcz - pod warunkiem, że było się świadomym ich obecności i umiało się im przeciwstawiać. W takiej sytuacji nie groziło człowiekowi większe niebezpieczeństwo. Powiedzieliśmy sobie, że nie popełnimy takich błędów jak Karel Weissman. Przecież pasożyty dysponowały ograniczonymi sposobami, za pomocą których mogłyby wywieść nas w pole tak, jak to uczyniły z Karem. Mogły wprawdzie spowodować, że popełnimy jakiś błąd, na przykład podczas prowadzenia samochodu. Jazda samochodem jest w dużej mierze kwestią nawyku, a nawyk stosunkowo łatwo poddaje się manipulacji, kiedy się jedzie z szybkością 90 mil na godzinę i koncentruje wyłącznie na drodze. Postanowiliśmy unikać więc za wszelką cenę prowadzenia samochodu, ani nie pozwalać się nim wozić (kierowca mógłby być jeszcze bardziej podatny na nie niż my). Podróże helikopterem były czymś innym - automatyczny pilot gwarantował nam całkowite bezpieczeństwo przelotu. Pewnego dnia - słysząc, że jeden z żołnierzy został zabity przez drugiego - zdaliśmy sobie sprawę, że istnieje jeszcze inny sposób, za pomocą którego pasożyty mogą nas dosięgnąć. Nosiliśmy wobec tego broń i staraliśmy się unikać tłumów.

Ciągle jeszcze, podczas tych pierwszych miesięcy, wszystko szło tak dobrze, że trudno było nie być optymistą. Kiedy miałem niewiele ponad dwadzieścia lat i studiowałem u Sir Myersa archeologię, tak silnie byłem zafascynowany przedmiotem studiów, że czułem się, jakbym się dopiero narodził. Ale to było nic w porównaniu z intensywnością życia, jakie teraz przeżywałem. Stało się dla mnie jasne, że w zwykłej ludzkiej egzystencji tkwi jakiś błąd - błąd równie absurdalny, jak próba napełnienia wanny bez zatknięcia korka albo prowadzenia samochodu przy włączonym hamulcu ręcznym. Coś, co powinno tworzyć wciąż większą i większą intensywność życia, gubi się z minuty na minutę. Kiedy uzna się tę prawdę, problemy znikają. Umysł nabiera sił i wzrasta poziom jego samokontroli. Zamiast być na łasce nastrojów i uczuć, zaczynamy je kontrolować z taką samą łatwością, z jaką kontrolujemy ruchy ręki. Trudno to przekazać komuś, kto nigdy tego nie doświadczył, bo ludzie tak bardzo przyzwyczaili się do myśli, że różne rzeczy

im się "przydarzają". Łapia grypę, czują się przygnębieni, coś podnoszą, coś im spada, doświadczają nudy... Z chwilą, kiedy skierują swą uwagę na własny umysł, rzeczy te przestają się przydarzać, ponieważ je kontrolujemy.

Do dziś pamiętam najsilniejsze przeżycie z tego początkowego okresu. Siedziałem w bibliotece A.I.U.; była trzecia po południu, czytałem jakąś nową pracę z zakresu psycholingwistyki i zastanawiałem się, czy jej autorowi można zaufać na tyle, by go wtajemniczyć w naszą sprawę. Zafascynowały mnie w jego pracy niektóre związki z Heideggerem jako twórcą tej szkoły, gdy nagle pojąłem jasno, jakiego rodzaju błąd wkraść się do założeń jego filozofii i jak ogromne nowe perspektywy otwierałyby się przed nią, gdyby ten błąd skorygować. Zacząłem robić notatki. W tym momencie koło mego ucha przeleciał, bzykając wściekle, komar. Chwilę później pojawił się ponownie. Pograżony w myślach o Heideggerze spojrzałem na niego i zapragnąłem, by poleciał ku oknu. Kiedy tylko to pomyślałem, poczułem jakby mój umysł dotknął komara. Owad zmienił nagle kierunek lotu i poleciał ku zamkniętemu oknu. Umysł mój trzymał go nadal w sieci, którą na niego zarzucił - i pociągnął go tym razem przez pokój, ku kratce wentylacyjnej i skierował na zewnątrz. Byłem tak zdziwiony tym doświadczeniem, że ponownie usiadłem i gapiłem się w ślad za nim. Nie byłbym chyba bardziej zdziwiony, gdybym nagle sam rozpostarł skrzydła i wleciał. Czy uległem złudzeniu sądząc, że to mój umysł pokierował lotem stworzenia? Przypomniało mi się, że w toalecie znajdował się rój os i pszczoł, gdyż pod jej oknem, w ogrodzie, rozpościerała się rabata peonii. Poszedłem tam. Toaleta była pusta; o mleczną szybę w oknie tłukła się osa. Oparłem się o drzwi i skoncentrowałem silnie. Nic się nie zdarzyło. Byłem zawiedziony, a jednocześnie przekonany, że robię coś nie tak; czułem się tak, jakbym usiłował otworzyć drzwi ciągnąc klamkę, podczas gdy drzwi były zamknięte na klucz. Skierowałem umysł ku Heideggerowi; poczułem falę pobudzenia i wizji, i nagle wyczułem, że jakiś trybik zaskoczył. Nawiązałem kontakt z osą, a zrobiłem to w tak pewny sposób, jakbym ją chwycił w dłoń. Zmusiłem ją do lotu przez pokój. Nie, "zmusiłem ją" jest złym zwrotem. Nie zmusza się dłoni, by się zamknęła, czy otworzyła; po prostu robi się to. W ten sam sposób spowodowałem, by osa poleciała przez toaletę w moim kierunku, a następnie, nim doleciała, skierowałem ją znowu ku oknu i na zewnątrz. Było to tak niewiarygodne, że w reakcji na to doświadczenie równie dobrze mogłem wybuchnąć płaczem, jak i śmiechem. Najzabawniejsze było jednak to, że czułem pełne złości zdziwienie osy, która musiała latać wbrew swej woli.

Następna - a może ta sama - osa wleciała do środka; i znowu ją "złapałem". Tym razem zdałem sobie sprawę, że jestem zmęczony. Mój umysł nie był przyzwyczajony do tego rodzaju wyczynów, stąd precyzja jego działania zmalała. Podeszedłem do okna i spojrzałem przez uchyloną część okna ku górze. Ogromny trzmiel żerował na peonii. Pozwoliłem, by umysł mój go pochwycił

i zmusił do wyjścia z wnętrza kwiatu. Opierał się, a ja czułem ten opór równie namacalnie, jak czuje się napięcie smyczy podczas spaceru z psem. Natężyłem siły, a trzmiel - pełen złości - opuścił kielich kwiatu. Ogarnęło mnie znowu zmęczenie i puściłem go. Nie zrobiłem jednak tego, co robiłem niegdyś w dawnych, głupich czasach - nie pozwoliłem, by zmęczenie pchnęło mnie ku przygnębieniu. Po prostu pozwoliłem, by mój umysł odprężył się; celowo wyciszyłem go i skierowałem myśli w inną niż przed chwilą stronę. Dziesięć minut później, w bibliotece, ów skurcz umysłu minął.

Zacząłem się zastanawiać, czy mógłbym użyć tej samej siły umysłu wobec rzeczy martwych. Skierowałem uwagę ku noszącemu ślady szminki niedopałkowi papierosa, leżącemu w popielniczce przy sąsiednim stoliku. Spróbowałem go poruszyć. Rzeczywiście - przesunął się po powierzchni popielniczki, ale kosztowało mnie to znacznie więcej wysiłku, niż w poprzednim przypadku. Jednocześnie spotkała mnie następna niespodzianka. Poczułem nagle w łędźwiach wyraźny przyływ pożądania seksualnego; miało to miejsce w momencie, kiedy mój umysł dotknął papierosa. Wycofałem się, następnie dotknąłem go ponownie - i znów poczułem to samo. Później dowiedziałem się, że był to papieros sekretarki jednego z dyrektorów firmy, czarnowłosej dziewczyny o pełnych ustach, noszącej bardzo silne okulary w rogowej oprawie. Miała około trzydziestu pięciu lat, była panną, dość neurotyczną, ani ładną, ani brzydką. Początkowo sądziłem, że to ja byłem źródłem owej fali pożądania, że była to normalna reakcja mężczyzny na bodziec seksualny, jakim był noszący ślady szminki papieros. Ale następnym razem, kiedy usiadła koło mnie w bibliotece, pozwoliłem, aby mój umysł ostrożnie ją dotknął. Zostałem, bez mała, wręcz porażony zwierzęcym pożądaniem seksualnym, które od niej biło. Nie znaczy to, że właśnie w tym momencie myślała o seksie - przedzierała się akurat przez tom pełen danych statystycznych, ani że pożądanie to skierowane było ku jakiejś konkretnej osobie. Najwidoczniej po prostu żyła w ciągłym, bardzo wysokim napięciu seksualnym i uważała ten stan za zupełnie normalny.

Dzięki niej dowiedziałem się jeszcze czegoś innego. Kiedy mój umysł wycofał się z kontaktu z nią, spojrzała na mnie uważnie. Kontynuowałem czytanie udając, że jej nie dostrzegam. Po chwili przestała się mną interesować i powróciła do swej książki. Ale dowodziło to, że była świadoma mego "umysłowego sondażu". Mężczyźni, na których próbowałem powtórzyć ten eksperyment, byli zupełnie nieświadomi moich działań. Wydaje się, że jest to dowód na to, iż kobiety - a w szczególności kobiety sfrustrowane seksualnie - są niesłychanie wrażliwe na tego rodzaju rzeczy.

Ale to wszystko miało miejsce później. Na razie próbowałem poruszać niedopałek papierosa i stwierdziłem, że jakkolwiek da się to zrobić, to jednak jest to rzecz wymagająca wiele wysiłku. Wynikało to z faktu, że przedmiotem mego oddziaływania były rzeczy martwe. O wiele

łatwiej było mi podporządkować sobie stworzenia żywe; brało się to stąd, iż wykorzystywałem ich siły życiowe i że nie miałem do czynienia z inercją, którą musiałem przewyżczać w przypadku przedmiotów martwych.

Później, tego samego popołudnia, zaaferowany swym odkryciem, podarłem kilka bibulek do papierosów na maleńkie kawałki i bawiłem się, poruszając nimi na odległość tak, że fruwały w powietrzu jak śnieżna zawieja. Było to również wyczerpujące doświadczenie; po około piętnastu sekundach musiałem go zaniechać.

Tego wieczoru z Karatepe przybył Reich, a ja poinformowałem go o swoim odkryciu. Był nim jeszcze bardziej podekscytowany niż ja. To dziwne, ale nie od razu spróbował dokonać tego, co ja już wcześniej sprawdziłem. Zamiast tego analizował i rozważał wszelkie możliwości, jakie płynęły z nowego odkrycia. Oczywiście, wiadano o istnieniu psychokinezy i to już od ponad pół wieku, a Rhine badał to zjawisko w Duke University. Zdefiniował on zjawisko psychokinezy (PK) jako sytuację, w której "osoba wywołuje zmiany w jakimś przedmiocie lub otoczeniu bez użycia własnego układu motorycznego". Tak więc, jak dodaje, "psychokineza jest bezpośrednim działaniem umysłu na materię". Pomysł badania tego zjawiska podsunął Rhine'owi pewien hazardzista, który wspominał, że wiele osób uprawiających hazard wierzy, iż mogą oddziaływać na wynik rzutu kośćmi. Wykonał on tysiące eksperymentów, a uzyskane przez niego rezultaty świadczyły - czego sam doświadczyłem - że umysł dokonywający psychokinezy szybko się męczy. O wiele większą skuteczność umysł wykazuje na początku eksperymentu niż później, a liczba udanych doświadczeń maleje w miarę trwania eksperymentu.

Tak więc ludzie posiadali zawsze, w pewnym niewielkim stopniu, zdolności PK. Wzrost siły mego umysłu, od czasu gdy zacząłem uprawiać fenomenologię, oznaczał po prostu, że byłem w stanie wykorzystywać do psychokinezy większy strumień energii umysłowej niż dotychczas.

Umysł Reicha wzbiał się w powietrze jak uwolniony jastrząb. Sądził, że nadejdzie taki dzień, iż będziemy w stanie wydobyć na powierzchnię ruiny Kadathu bez użycia jakichkolwiek urządzeń, a każdy człowiek będzie mógł polecieć na Marsa dzięki spontanicznemu aktowi woli, bez potrzeby korzystania ze statków kosmicznych. Jego ekscytacja fascynowała mnie, gdyż podzielałem jego pogląd, że jest to jak dotąd nasze największe odkrycie, zarówno w sensie filozoficznym, jak i praktycznym; ponieważ pod pewnym względem, rozwój naukowy ludzkości potoczył się w niewłaściwym kierunku. Weźmy pod uwagę problem wykopalisk w Karatepe; traktowaliśmy go jako problem o naturze czysto technicznej: - Jak wydobyć bilion ton ziemi?...

A nasza zależność od maszyn oznaczała, że przestaliśmy uważać ludzki umysł za najbardziej istotny element tego przedsięwzięcia. W im większym stopniu umysł tworzy maszyny, oszczędzające pracy człowiekowi, tym mniej dostrzega własne możliwości, tym większą wykazuje

skłonność do traktowania siebie jako biernej "maszyny myślącej". Osiągnięcia naukowe ostatnich stuleci pogłębiły jeszcze obraz człowieka jako biernego stworzenia.

Ostrzegłem Reicha, że nadmiar ekscytacji może zwrócić uwagę pasożytów; zmusił się zatem do spokoju. Podarłem kilka bibułek do papierosów i zademonstrowałem mu, jak się przesuwają po blacie biurka. Powiedziałem, że poruszenie dwóch gramów papieru wyczerpało wszelkie moje możliwości w tym względzie, tak więc lepszym niż umysł ekwipunkiem dla przekopania się do ruin Karatepe byłaby łopata i kilof. Teraz Reich spróbował poruszyć bibułki, ale nie udało mu się. Usiłowałem wyjaśnić mu "sztuczkę" z nastrojeniem umysłu, ale nie był w stanie tego zrobić. Próbował przez pół godziny, lecz nawet najmniejszy kawałek bibułki nie drgnął. Pod koniec wieczoru był tak przygnębiony, jak to od dawna mu się nie zdarzyło. Usiłowałem go pocieszyć mówiąc, że jest to zdolność, która może ujawnić się w każdej chwili: mój brat nauczył się pływać, gdy miał trzy lata, a ja nauczyłem się tego, dopiero gdy skończyłem jedenaście.

I rzeczywiście, Reich posiadał tę umiejętność w tydzień później. Zadzwonił w środku nocy, aby mnie o tym poinformować. Miało to miejsce, gdy czytał książkę z zakresu psychologii dziecka siedząc na łóżku. W trakcie gdy się zastanawiał, dlaczego niektóre dzieci są szczególnie podatne na rozmaite wypadki, zrozumiał, że w gruncie rzeczy tajemnica tkwi w umyśle dziecka. Kiedy już pomyślał o tych utajonych mocach tkwiących w umyśle, które w trakcie dorastania uczymy się tłumić - co w konsekwencji przynosi nam tak fatalne rezultaty - nagle zdał sobie sprawę z tego, że tak samo jak "podatne na urazy" dziecko, on sam blokował ujawnienie się własnych możliwości oraz zdolności do psychokinezy. Skupił się na stronie, którą właśnie czytał - była to książka wykonana z hinduskiego papieru - i spowodował, że sama się odwróciła.

Następny dzień po nieprzespanej, jak mu się wydawało, nocy spędził po prostu na trenowaniu nowej umiejętności. Stwierdził, że idealnym materiałem do ćwiczeń jest popiół ze spalonej bibułki do papierosów. Jest on tak lekki, że poruszyć go może nawet najmniejszy wysięk umysłu. Co więcej, nawet minimalne poruszenie powietrza unosi je, a umysł może wówczas uchwycić go w locie i wykorzystać tę energię.

Później Reich rozwinął zdolności PK zdecydowanie szybciej niż ja, miał bowiem znacznie lepszy mózg - w sensie prostej efektywności funkcjonowania komórek nerwowych. Po tygodniu zobaczyłem jego niewiarygodny wyczyn polegający na zmuszeniu ptaka do zmiany kierunku lotu i dwukrotnym okrążeniu jego własnej głowy. Miało to dość zabawne konsekwencje, gdyż podczas tego wyczynu zobaczyła go z okna pewna sekretarka. O tym wydarzeniu opowiedziała później jakiemuś dziennikarzowi. Kiedy reporter zapytał Reicha o znaczenie tego "omenu", jakim było krążenie czarnego orła dookoła jego głowy (tymczasem, bowiem wyolbrzymiono całą sprawę) - musiał oświadczyć, że cała jego rodzina zawsze kochała ptaki i gwizdem o specjalnie wysokim

tonie zwrócił na siebie jego uwagę. Przez prawie cały następny miesiąc jego sekretarka miała pełne ręce roboty, odpowiadając na listy od rozmaitych towarzystw, skupiających wielbicieli ptaków, które koniecznie chciały, aby wygłosił u nich odczyt. Po tym zdarzeniu Reich przeprowadzał już swe ćwiczenia wyłącznie w swoim pokoju.

Ja sam w tym okresie nie byłem zbyt zainteresowany ćwiczeniami zdolności psychokinezy, ponieważ nie mogłem dostrzec w nich jakiegoś większego sensu. Przeniesienie przez pokój kawałka papieru, wykorzystując siłę psychokinezy, kosztowało mnie zbyt wiele wysiłku; po prostu łatwiej mi było wstać i przenieść go. Tak więc, gdy czytałem ostatni akt *Back to Methuselah* Shawa, w którym "starożytni" siłą woli tworzą dodatkowe ramiona i nogi, odczułem, że autor nieco w tej kwestii przesadził.

Praca nad wykreślaniem mapy umysłu była pod każdym względem bardziej pasjonująca i pożyteczna, gdyż dawała daleko więcej radości wynikającej z faktu opanowania tych nowych, nieznanych obszarów. Ludzie są tak przyzwyczajeni do swych ograniczeń, że traktują je jako coś oczywistego. Przypominają chorego, który zapomniał, czym jest zdrowie. Mój umysł tymczasem potrafił zgłębiać obszary, o których nigdy nie marzyłem. Na przykład: byłem zawsze kiepskim matematykiem - teraz bez najmniejszego wysiłku pojmowałem teorię funkcji, geometrię wielowymiarową, mechanikę kwantową, teorię gier czy teorię grup. Przeczytałem "do poduszki" pięćdziesiąt tomów Bourabaki i stwierdziłem, że natychmiast pojmuje całe stronice, tak oczywiste bowiem wydały mi się zawarte w nich idee.

Doszedłem do wniosku, że studia matematyczne są pod wieloma względami o wiele bardziej pożyteczne, niż dotąd sądziłem. Kiedy wracałem do starej miłości - historii - dogłębne zrozumienie jakiegoś okresu, uchwycenie wszystkich jego detali z taką intensywnością, aby stały się wręcz rzeczywiste, było tak łatwe, że budziło we mnie emocje zbyt silne, abym mógł je znieść. Mój umysł wlatywało na wyżyny egzaltowanej kontemplacji, co prawdopodobnie mogłoby zwrócić uwagę pasożytów. Tak więc zostałem przy bezpieczniejszych studiach - matematyce. W obrębie tej nauki umysł mógł wykonywać najbardziej skomplikowane akrobacje: jak rakieta mknąć przez matematyczny wszechświat we wszystkie strony, a jednocześnie zachować emocjonalną trzeźwość.

Moje doświadczenie z sekretarką siedzącą przy następnym stoliku zainteresowało Reicha na tyle, że rozpoczął własne eksperymenty w tej dziedzinie. Odkrył, że około pięćdziesiąt procent kobiet i trzydzieści procent mężczyzn w A.I.U. jest seksualnie "przeciążonych". Niewątpliwie było to związane z upałam i kiepskim stanem gospodarki. Można było się spodziewać, że takie natężenie emocji, u podłoża którego leży popęd seksualny, będzie oznaczało niski poziom samobójstw w A.I.U. W rzeczywistości był on nad wyraz wysoki. Gdy rozważaliśmy tę kwestię,

dostrzeżliśmy jej przyczynę. Otóż intensywność życia seksualnego i wysoki poziom samobójstw były bezpośrednio od siebie zależne i związane, oczywiście, z aktywnością pasożytów. Seks stanowi jedno z najgłębszych źródeł satysfakcji człowieka; popęd seksualny i ewolucja są ze sobą silnie powiązane. Jeśli ów podstawowy popęd zostanie sfrustrowany, występuje z brzegów i przelewa się; usiłuje znaleźć zaspokojenie na wszystkie możliwe (zasadniczo niesatysfakcjonujące) sposoby. Jednym z nich jest promiskuityzm, który był w A.I.U. zjawiskiem powszechnym. Jest to ponownie kwestia "zogniskowania" emocji. Mężczyzna może być przekonany, że tylko ta, określona kobieta może mu dostarczyć satysfakcji seksualnej i zabiega o to, by stała się jego kochanką. Pasożyty przeszkadzają na tyle, że nie jest on zdolny do "zogniskowania" całej swej energii w akcie seksualnym. Jest zrozpaczony: ona "oddała" mu się, w potocznym tego słowa znaczeniu, a on nadal pozostaje nieusatysfakcjonowany. Jest to równie dezorientujące, jak zjedzenie obfitego posiłku i stwierdzenie, że nie zaspokoił on naszego głodu. Są dwa możliwe sposoby wyjścia z powstałej sytuacji. Pierwszy polega na stwierdzeniu, że przedmiotem pożądania seksualnego nie była właściwa kobieta - wówczas mężczyzna spieszenie rozgląda się za następną; drugi polega na przekonaniu, że normalny akt seksualny nie daje w pełni satysfakcji: w konsekwencji mężczyzna próbuje znaleźć sposoby, aby go uatrakcyjnić i pograża się w perwersje seksualne. Reich, dzięki delikatnie i dyplomatycznie przeprowadzonym wywiadam, dowiedział się że ogromna część nieżonatych, piastujących kierownicze stanowiska mężczyzn w A.I.U., miało opinię osób o "dziwnych" upodobaniach seksualnych.

Pewnego wieczoru, w tydzień po tym, gdy zaczęliśmy rozważać owe zagadnienia seksualne, Reich przyszedł do mego pokoju z książką, którą rzucił na stół.

- Znalazłem kogoś, komu możemy zaufać.

- Kogo? - chwyciłem książkę, patrząc na tytuł.

Teoria odruchu seksualnego - jej autorem był Zygmunt Fleishman z Uniwersytetu w Berlinie. Reich odczytał na głos kilka fragmentów z książki i zrozumiałem, co miał na myśli. Nie było wątpliwości, że Fleishman był człowiekiem o wyjątkowej inteligencji, którego uwagę skupiły problemy anomalii w zaspokajaniu popędu seksualnego. Raz po raz używał w książce wyrażen brzmiących tak, jakby podejrzewał istnienie pasożytów umysłu. Dowodził, że perwersje seksualne są rezultatem pewnego rodzaju skażenia naturalnych ludzkich dążeń seksualnych i jest w nich jakiś element absurdu - na podobieństwo picia whisky po to, by ugasić pragnienie... Dlaczego jednak - pytał - we współczesnym świecie satysfakcja seksualna jest czymś tak bardzo rzadkim? To prawda, że poddani jesteśmy nadmiernemu oddziaływaniu bodźców seksualnych, zawartych w książkach, czasopiśmie czy filmach. Jednak intensywność, z jaką zjawisko to się rozpowszechnia wskazuje,

że chodzi tu o coś zupełnie innego. Nawet kobiety, których głównym dążeniem było wyjść za mąż i wychowywać dzieci, wydają się ulegać fali seksualnych dewiacji, a liczba rozwodów, podczas których mężowie oskarżają swe żony o niewierność, gwałtownie wzrasta... Jak można wyjaśnić owo osłabienie dążenia do rozwoju u obydwu płci? Czy nie jest za to odpowiedzialny jakiś, dotąd nieznany, czynnik o charakterze fizycznym czy psychicznym, którego dotychczas nie braliśmy pod uwagę?

Jak skomentował Reich, niektóre partie książki brzmiały tak, jak gdyby autor obwinił Boga o sfuszerowanie popędu seksualnego u ludzi poprzez uzależnienie go od wzajemnej frustracji.

Tak, było rzeczą oczywistą, że Fleishman jest naszym człowiekiem, a na tym obszarze możemy znaleźć wielu innych uczonych, których także niepokoiły anomalie funkcjonowania popędu seksualnego. Jednym z naszych problemów było to, jak się skontaktować z różnymi naszymi potencjalnymi sprzymierzeńcami; przecież żaden z nas nie miał czasu, by krążyć po świecie i ich wyszukiwać. W tym wypadku okazało się to niespodziewanie proste. Napisałem do Fleishmana list, w którym ustosunkowałem się do pewnych tez zawartych w jego książce i deklarowałem zainteresowanie całością problematyki. Wspomniałem zdawkowo, że niebawem będę w Berlinie i chętnie bym się z nim wówczas skontaktował. W przeciągu tygodnia otrzymałem od niego długi list, w którym między innymi napisał: Tak jak wszyscy, z zapartym tchem śledzę Pańskie badania. Czy nie będę, nachalny, gdy pozwolę sobie przyjechać i spotkać się z Panem? Odpisałem mu, że będę bardzo rad z jego przyjazdu, niezależnie od tego kiedy przyjedzie, przy czym zasugerowałem, by nastąpiło to w najbliższy weekend. Przysłał mi telegram, w którym potwierdził termin przyjazdu. W trzy dni później pojechaliśmy z Reichem na lotnisko w Ankarze, by się z nim spotkać. Następnie przywieźliśmy go do Diyarbakiru rakieta należącą do firmy. Spodobał nam się. Był inteligentnym, pełnym życia pięćdziesięcioletnim mężczyzną o wspaniałym poczuciu humoru oraz, typowym dla Niemców, zainteresowaniu kulturą. Potrafił fascynująco mówić o muzyce, sztuce prymitywnej, filozofii i archeologii. Zrobił na mnie wrażenie osoby, która w naturalny sposób dała odpór pasożytom. A była to bardzo nieliczna grupa ludzi...

Zaprosiliśmy go na dobry lunch w Diyarbakirze, podczas którego rozmawialiśmy jedynie o wykopaliskach i problemach związanych z ruinami. Po południu poleciliśmy rakieta do Karatepe (A.I.U. uznała naszą obecność za doskonałą reklamę firmy, co wiązało się z takimi przywilejami, które w ogóle były nie do pomyślenia wcześniej, gdy Reich był ich konsultantem geologicznym)... Pierwszy tunel był już prawie na ukończeniu; pokazaliśmy Fleishmanowi to co było do pokazania, a następnie także resztę "eksponatów": odłamek z bloku Abhotha, elektroniczne zdjęcia napisów na innych blokach i pozostałe. Był zafascynowany całością problematyki: cywilizacją starszą niż

szczątki człowieka pekińskiego. Miał na ten temat swoją własną teorię, która wydawała się być sensowną: twierdził mianowicie, że Ziemia niegdyś była obiektem kolonizacji istot z innej planety, prawdopodobnie z Jowisza lub Saturna. Podzielał pogląd Schradera, że wszystkie planety Układu Słonecznego były kiedyś zaludnione przez istoty żywe i prawdopodobnie - jak nam to już wiadomo w przypadku Marsa - inteligentne. Nie sądził, aby istoty te pochodziły z Marsa, a to z powodu jego rozmiarów - masy dziesięciokrotnie mniejszej od naszej planety - i słabej grawitacji, które to fakty wykluczały istnienie tam takich "gigantów". Zarówno Jowisz, jak i Saturn miały wystarczającą masę, a ich siła przyciągania była dość duża, by móc wytworzyć takie giganty.

Reich przeciwstawił takiej koncepcji swoją własną teorię. Dowodził, że cała populacja Ziemi była wielokrotnie niszczone przez katastrofy, wywołane przez Księżyc, a po każdym takim zniszczeniu człowiek musiał boleśnie cofać się do wcześniejszych stadiów ewolucyjnych. Jeśli - co wydaje się prawie pewne - te katastrofy powodowane przez Księżyc wywoływały potopy, to wyjaśniałoby, dlaczego owe starożytne cywilizacje - starsze o miliony lat od człowieka z holocenu - znajdowały się aż tak głęboko w ziemi.

Tak więc dzień upłynął nam na różnorodnych dyskusjach. Wieczorem wybraliśmy się na wspaniałe przedstawienie *The Pirates of Penzance*, wystawione przez towarzystwo operowe A.I.U., a następnie poszliśmy na kolację do dyrektorskiej restauracji. Reich przygotował gościowi miejsce do spania we własnym salonie i tam właśnie udaliśmy się po kolacji. Ciągłe jednak nie poruszaliśmy tematu pasożytów umysłu, mając na uwadze niebezpieczeństwo, na jakie się narażamy nocnymi dyskusjami na ten temat. Skłoniliśmy jednak Fleishmana do tego, by obszernie przedstawił nam swoją teorię popędu seksualnego. Koło północy był już we własnym żywiole i wyłożył nam znakomitą większość swej teorii. Czasami udawaliśmy, że nie rozumiemy jego wywodów, by zmusić go do ich uściślenia. Efekt przeszedł nasze oczekiwania. Fleishman ze swą rozległą wiedzą naukową uchwycił całą sprawę. Dostrzegł, że popęd seksualny człowieka ma w zasadzie charakter romantyczny, tak jak potrzeba poezji. Jeżeli widok gór daje poecie "wtajemniczenie w nieśmiertelność", to wie on bardzo dobrze, że góry w rzeczywistości nie są "bogami w chmurach". Wie, że to jego własny umysł dodaje im majestatu albo widzi je raczej jako symbol ukrytego majestatu swego własnego umysłu. Ich ogrom i nieprzystępność odzwierciedla jego własny ogrom i nieprzystępność. Natomiast kiedy mężczyzna romantycznie zakochuje się w kobiecie, to poeta tkwiący w nim widzi ją jako narzędzie rozwoju. Czysta moc popędu seksualnego jest boską siłą tkwiącą w człowieku, i to właśnie bodziec seksualny może tę moc wyzwolić, tak jak widok góry wywołuje przeżycie piękna. Człowieka winniśmy ujmować nie jako jedność, lecz jako nieustającą walkę pomiędzy wyższym i niższym "ja". Perwersja seksualna, jak to stwierdził de Sade, reprezentuje jedno i drugie "ja" zamknięte razem i znajdujące się w ciągłym konflikcie; są

one tak ściśle ze sobą szczone, że nie można ich rozdzielić. Niższe "ja" korzysta rozmyślnie z energii wyższego "ja" i używa jej do swych własnych celów.

W tym miejscu wtrącił się Reich:

- Jak pan zatem wytłumaczy gwałtowny wzrost perwersji seksualnych w tym kraju?

- No właśnie - odparł Fleishman ponuro. - Ludzkie niższe "ja", jak się wydaje, jest wspomagane sztucznie z zewnątrz. Być może mamy do czynienia ze schyłkiem naszej cywilizacji, która, pozbawiona żywotnych sił, nie jest w stanie wspomagać swego wyższego "ja".

Nie, w to nie mógł uwierzyć. Podobnie nie wierzył, że źródło współczesnych nerwic tkwi w fakcie, iż człowiek nie jest w stanie zaakceptować tego, że jest cywilizowanym zwierzęciem; w rzeczywistości zwierzęciem poddanym intensywnym procesom uprzemysłowienia. Człowiek dysponował wystarczającą ilością czasu, by przystosować się do życia w wielkich miastach. Nie, wyjaśnienie tego zjawiska jest z pewnością odmienne...

W tym momencie ziewnąłem i stwierdziłem, że chętnie bym kontynuował dyskusję, ale jutro, przy śniadaniu. Jeśli nie wezmą mi tego za złe, to udam się na spoczynek. Mamy bowiem przed sobą jeszcze długi dzień, który specjalnie zaplanowaliśmy poświęcić Fleishmanowi... Reich poparł mnie w tym względzie. Dyskusja była zbyt interesująca, by ją kontynuować, gdy byliśmy zmęczeni. Tak więc pożegnaliśmy się i udaliśmy na spoczynek.

Następnego ranka, przy śniadaniu, z zadowoleniem stwierdziliśmy, że Fleishman jest w znakomitym nastroju. Nie ulegało wątpliwości, że weekend był dla niego niezwykle stymulujący. Na pytanie, co planujemy na dziś, odpowiedzieliśmy, że chcielibyśmy porozmawiać z nim o czymś po śniadaniu. Przeszliśmy później do pokoju Reicha, który kontynuował przerwana w nocy dyskusję dokładnie w tym miejscu, gdzie ją zakończyliśmy. Reich przywołał stwierdzenie Fleishmana, że "ludzkie niższe «ja» wydaje się być wspomagane skądś z zewnątrz". Następnie oddał głos mi, abym opowiedział historię Karela Weissmana oraz odkrycia przez nas pasożytów.

Zajął nam to ze dwie godziny, ale już na początku wiedzieliśmy, że kierujemy słowa do właściwego człowieka. Przez pierwsze dwadzieścia minut podejrzewał jakąś mistyfikację z naszej strony. Dziennik Karela przekonał go jednak definitywnie do tego, o czym mówiliśmy. Od tego momentu dał się przekonać zupełnie. Gdy jednak zaczął się zbyt ekscytować tym faktem, Reich szybko zwrócił mu uwagę, że jest na najlepszej drodze, by zaalarmować pasożyty. Następnie wyjaśnił, dlaczego czekaliśmy do rana, by go wtajemniczyć w nasze odkrycie. Później słuchał nas już spokojnie i rozważnie, a z zaciętej linii jego ust widać było dobitnie, że pasożyty znalazły następnego, groźnego przeciwnika.

W pewnym sensie Fleishmana łatwiej było przekonać niż Reicha. Wystarczy wspomnieć, że studiował filozofię i poświęcił jeden semestr Wilsonowi i Husserlowi. Później szczególnie przekonujące okazały się nasze pokazy zdolności PK.

Fleishman kupił dla swej wnuczki piłkę z kolorowej skóry, którą Reich odbijał siłą swego umysłu po całym pokoju. Natężyłem własne i po pokoju zaczęła fruwać książka. Następnie przyspiliłem do stołu pszczołę, która wściekle bzyczała, nie mogąc się poruszyć ani na cal. Podczas gdy kontynuowaliśmy wyjaśnienia, Fleishman wciąż powtarzał:

- Mój Boże, wszystko się zgadza...

Jedną z zasadniczych tez jego koncepcji było pojęcie "opodatkowania świadomości". Wykazaliśmy mu, że ów podatek był w dużej mierze ściągany przez pasożyty.

Fleishman był naszym pierwszym uczniem. Cały dzień spędziliśmy na tym, by go nauczyć tego wszystkiego, co sami wiedzieliśmy: jak wyczuwać obecność pasożytów, jak zamknąć przed nimi umysł, gdy się pojawiają. Na razie nie było potrzeby, aby przekazywać mu coś więcej. Natychmiast wyprowadził najistotniejszy wniosek - poprzez chytrą sztuczkę stosowaną przez pasożyty, człowiek nie był w stanie objąć w posiadanie obszarów, które mu się jak najbardziej należały, a które były krainą umysłu; i że wystarczy przejrzeć ich zamiary, by zniszczyć wszelkie przeszkody uniemożliwiające objęcie jej w posiadanie. Mgła, rozciągnięta nad krainą umysłu rozpraszala się, a człowiek rozpoczynał podróż po nowo odkrytym kontynencie tak, jak wcześniej był podróżnikiem na morzach, w powietrzu i w przestrzeni. Co uczyni potem, zależy wyłącznie od niego samego. Może po prostu udać się na wycieczkę po nowej krainie dla czystej przyjemności, może też wyruszyć, by zbadać nową krainę, kreśląc jej mapę. Wyjaśniliśmy, dlaczego nie odważyliśmy się użyć środków psychodelicznych, a także o co możemy wzbogacić fenomenologię.

Zjedliśmy obfity lunch; jednak poranny wysiłek spowodował, że poczuliśmy głód. Później nadeszła kolej na to, aby Fleishman mówił. Jako psycholog znał wielu ludzi, którzy stawiali sobie te same pytania co i on. W samym Berlinie było ich dwóch: Alvin Curtis z Instytutu Hirschfelda i Vincent Gioberti, jego były student, obecnie profesor na uniwersytecie. Wspomnił nam wówczas o Amesie i Thompsonie z Nowego Jorku, o Spencefieldzie i Aleksieju Remizowie z Yale, o Shlafie i Herzogu, Klebnikowie i Didringu z Massachusetts Institute. Wtedy też wspomnił o Georges'u Ribot, osobie, która o mały włos nas nie zniszczyła...

Podczas tego właśnie wieczoru usłyszeliśmy także po raz pierwszy nazwisko Feliksa Hazarda. Ani Reich, ani ja nie wiedzieliśmy zbyt wiele o literaturze współczesnej; zainteresowanie Hazarda problematyką seksu skierowało na niego uwagę Fleishmana. Dowiedzieliśmy się, że Hazard cieszy się wśród awangardy wysokim uznaniem za prezentowanie w swych poglądach dziwacznej mieszanki sadyzmu, science-fiction i znudzonego światem pesymizmu.

Najprawdopodobniej był opłacany przez pewien nocny lokal w Berlinie skupiający zbrojeńców. Nie wymaga od niego niczego więcej, prócz przebywania tam przez określoną liczbę godzin w miesiącu i dawania bywalcom klubu okazji do podziwiania siebie. Fleishman opowiedział nam o jego książkach i dodał ciekawą informację: a mianowicie, że był on wcześniej narkomanem, który, jak twierdził, sam się wyleczył z tego nałogu. Wszystko, co mówił o Hazardzie wskazywało, że był on kolejnym "zombi", opanowanym przez pasożyty. Fleishman spotkał się z nim tylko jeden jedyny raz i nie było to przyjemne doświadczenie. Opisał go, jak nam powiedział, w swym dzienniku następująco: "Umysł Hazarda jest jak świeżo otwarty grób..." Przez wiele dni po tym spotkaniu czuł się, jak twierdził, przygnębiony.

Nasuwało się teraz pytanie: czy powinniśmy ściśle współpracować ze sobą, czy też pozostawić pozyskiwanie nowych sojuszników Fleishmanowi? Zgodziliśmy się, że to drugie rozwiązanie mogło być niebezpieczne; byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy decyzje mogli podejmować we trójkę. Z drugiej jednak strony mieliśmy mniej czasu, niż sądziliśmy. Było rzeczą bardzo ważną, aby zebrać małą armię ludzi o wysokich walorach intelektualnych. Każda nowa osoba w naszych szeregach przybliżała realizację zadania. Łatwo było co do tego przekonać Fleishmana, gdyż nas było dwóch, a on jeden. Jeśli będzie nas wystarczająco dużo, przekonamy cały świat. A wówczas rozpocznie się prawdziwa walka...

W świetle tego, co się zdarzyło, nasza ówczesna pewność siebie była wprost niewiarygodna. Trzeba jednak pamiętać że, jak dotąd, szczęście nam sprzyjało. Uwierzyliśmy, że pasożyty są bezbronne wobec ludzi, którzy zdali sobie sprawę z ich istnienia.

Pamiętam, jak w drodze na lotnisko, gdzie odwieźliśmy Fleishmana, patrząc na tłumy na cudownie oświetlonych ulicach Ankary, powiedział:

- Czuję się, jakbym podczas tego weekendu umarł i narodził się na nowo jako zupełnie inna osoba...

Na lotnisku z kolei zauważył:

- To dziwne, ale ci wszyscy ludzie robią na mnie wrażenie uspiionych; wszyscy oni są somnambulikami.

Wiedzieliśmy, że nie ma potrzeby martwić się o Fleishmana. Właśnie obejmował w posiadanie "krainę umysłu".

Teraz wszystko zaczęło się toczyć tak szybko, że całe tygodnie wydawały się nieustannym ciągiem wydarzeń. Trzy dni później Fleishman wrócił, przywożąc ze sobą Alvina Curtisa i Vincenta Gioberti. Przyleciał w czwartek rano, a odleciał tego samego dnia, o piątej po południu. Curtis i Gioberti byli wymarzonymi dla nas osobami. Szczególnie Curtis, który, jak się wydawało, doszedł do interesującego nas problemu poprzez studiowanie filozofii egzystencjalnej i który,

dzięki własnym badaniom, wyprowadził wnioski bardzo bliskie odkryciu istnienia pasożytów. Jedno nas tylko zmartwiło: Curtis również wspominał o Feliksie Hazardzie, co utwierdziło nas w podejrzeniu, że Hazard może być bezpośrednim agentem pasożytów, "zombi", którego umysł opanowany został całkowicie podczas jednego z narkotycznych stuporów. Najwidoczniej Hazard zarażał złem wielu ludzi, a niektóre neurotyczne młode dziewczęta uznawały kontakt z nim za niezwykle stymulujący. Na Curtisie zrobił to samo przynębiające wrażenie co na Fleishmanie. Co gorsza, Hazard dwukrotnie wyszydził prace Curtisa w jednym z awangardowych czasopism, wydawanych w Berlinie. Curtis musiał więc być bardziej ostrożny niż my wszyscy, gdyż w oczach pasożytów był już podejrzany.

Gdybyśmy nie byli tacy naiwni, jak byliśmy, to zrobilibyśmy coś, aby zabić Hazarda. Nie byłoby to przecież nic trudnego. Fleishman rozwinął już w takim stopniu zdolności PK, że odrobina treningu pozwoliłaby je na tyle udoskonalić, by tak pokierować Hazardem, aby wpadł pod przejeżdżający samochód kierowany, dajmy na to, przez Curtisa lub Giobertiego. Mielibyśmy jednak skrupuły. Trudno było bowiem tak do końca uświadomić sobie, że Hazard był już martwy i że istniała tylko kwestia tego, jak wyrwać jego ciało spod kontroli pasożytów.

Przez następne trzy tygodnie Fleishman pojawiał się w każdy weekend, zawsze przywoząc ze sobą jakichś nowych sprzymierzeńców: Spencefielda, Amesa, Cassella, Remizova, Lascaratosa (z Uniwersytetu Ateńskiego), braci Grau, Jonesa, Didringa oraz pierwszą pośród nas kobietę, Sigrid Elgström z Instytutu Sztokholmskiego. Wszyscy przeszli przez nasze ręce w ciągu dwudziestu dni. Z mieszanymi uczuciami oceniałem to wszystko, co się działo. Z jednej strony z dużą ulgą przyjmowaliśmy fakt, że tajemnica nasza zatacza coraz większe kręgi i nie jesteśmy już z Reichem jej jedynymi strażnikami; z drugiej strony ciągle obawiałem się, że ktoś może popełnić jakiś błąd i wzbudzić podejrzenia pasożytów. Mimo iż ciągle przekonywałem sam siebie, że nie są one w rzeczywistości groźne, instynkt podpowiadał mi, by przykładac wagę do utrzymywania całej naszej akcji w tajemnicy.

Rozwój wypadków był czasami niezwykle fascynujący. Bracia Grau, Louis i Heinrich, byli sobie zawsze bliscy, łączyła ich więź telepatyczna. Prześcigali nas wszystkich w nabywaniu umiejętności psychokinetycznych i wykazywali, że - być może - nie docenialiśmy wagi PK. Sam byłem świadkiem, gdy w sali antyków w British Museum przesunęli marmurowy blok, ważący trzydzieści ton, koncentrując się wspólnie. Obecni przy tym byli także Jannis Lascaratos, Emlyn Jones, Georges Ribot i Kenneth Furneaux (dyrektor sekcji archeologicznej, którego "inicjacji" dokonałem ja sam). Bracia wyjaśnili nam, że dokonali tego dzięki pewnego rodzaju wzajemnemu wzmocnieniu swych wysiłków. Wtedy zupełnie nie byliśmy w stanie ich pojąć.

Nim przejdę do opisu pierwszego nieszczęścia, jakie nam się przydarzyło, powinienem powiedzieć coś więcej o zjawisku PK, jako że gra ono pewną rolę w mej opowieści. Jest to, oczywiście, prosta i naturalna konsekwencja naszego odkrycia, dana nam, byśmy mogli walczyć z pasożytami. Kiedy rozpocząłem praktykować Husserlowskie wytyczne, zdałem sobie od razu sprawę, że ludzie pomijają coś niezwykle istotnego, a odnoszącego się do życia, mimo iż jest to fakt na tyle oczywisty, by każdy mógł go dostrzec. Tajemnica ta jest następująca: niezadowolająca jakość ludzkiego życia - i świadomości - wynika z tego, że strumień uwagi, jaką kierujemy ku światu, jest dość kiepski. Wyobraźmy sobie, że mamy reflektor o wielkiej mocy, posiadający zwierciadła. Kiedy go włączymy, uzyskujemy silne światło, ale rozprasza się ono we wszystkich kierunkach, a znaczna jego część zostaje zaabsorbowana przez wnętrze reflektora. Kiedy zainstalujemy w nim zwierciadło wklęsłe, strumień ulegnie polaryzacji i utworzy wiązkę mknącą przed siebie jak pocisk czy włócznia. Strumień światła natychmiast staje się dziesięciokrotnie silniejszy... Ale i to stanowi jedynie półśrodek, ponieważ - mimo iż wszystkie promienie biegną w jednym kierunku - fale świetlne "nie biegną w równym rytmie"; zachowują się jak niezdyscyplinowana armia idąca ulicą. Jeśli przepuścimy teraz światło przez laser, rezultat będzie taki, że fale "pomaszują w jednym rytmie", a ich moc wzrośnie tysiąckrotnie; podobne będą armii, której krok rytmicznie maszerujących żołnierzy spowodował, że rozpadły się mury Jerycha.

Umysł ludzki stanowi rodzaj takiego reflektora, który wysyła ku światłu strumień "uwagi". Ale zawsze był to reflektor bez zwierciadła; uwaga nasza przeskakuje co sekundę z miejsca na miejsce. Nie posiadamy umiejętności ogniskowania i koncentrowania tego strumienia, mimo że zdarza się nam to często. Fleishman, na przykład, stwierdził, że orgazm seksualny jest właśnie takim skoncentrowanym i zogniskowanym "strumieniem" świadomości (lub uwagi). Strumień uwagi staje się nagle mocniejszy, co w efekcie przynosi intensywne uczucie przyjemności. "Natchnienie" poetów polega dokładnie na tym samym. Czasem, szczęśliwym trafem, następuje jakieś przypadkowe nastrojenie umysłu i strumień uwagi polaryzuje się na chwilę; wówczas, niezależnie od tego co jest przedmiotem uwagi, wydaje nam się przemienione, nosi znamię wspaniałości i świeżości marzenia. Nie ma chyba potrzeby dodawać, że tak zwane "wizje mistyczne" właśnie na tym polegają - na przypadkowym zastosowaniu lasera. Kiedy Jakub Boehme zobaczył odbite od cynowej misy światło i oświadczył, że widział niebiańskie przestrzenie, to mówił szczerą prawdę.

Ludzie nigdy nie zdali sobie sprawy z tego, że życie ich jest dlatego szare, gdyż strumień ich uwagi jest rozproszony; jakkolwiek, powtarzam, sekret ten znajdował się od stuleci w zasięgu wyciągniętej ręki. A od roku 1800, przed jego odkryciem - które wydawało się nieuniknione po Beethovenie, Goethem i Wordsworth'ie - skutecznie przeszkadzały nam pasożyty. Osiągnęły to

głównie dzięki wykorzystaniu ludzkiej tendencji do rozpraszania i marnowania czasu na rzeczy trywialne. Czasem zaświta komuś nagle jakaś wielka myśl i wówczas przez chwilę umysł jego ulega zogniskowaniu. Ale w tym momencie wkracza nawyk. Brzuch zaczyna burczeć, gardło ogarnia suchość, a cichy, fałszywy głosik szepce: "Idź i najpierw zaspokój swe potrzeby fizyczne, dopiero potem będziesz mógł skoncentrować się lepiej na tej kwestii". Człowiek jest mu posłuszny i natychmiast zapomina o wielkiej idei, która mu zaświtała.

Z chwilą, gdy jednostka uświadomi sobie fakt, że uwaga jego jest "strumieniem" (albo - jak to ujął Husserl - świadomość jest "intencjonalna"), odkrywa fundamentalny sekret umysłu. Teraz musi się tylko nauczyć tego, jak ów strumień polaryzować. To właśnie tak "spolaryzowany" strumień wywołuje zjawisko PK.

Tym, co odkryli bracia Grau, całkiem zresztą przypadkowo, był sposób wzajemnego wykorzystywania swych umysłów jako laseru, aby dokonać "fazowania" tego strumienia. Nie byli w tej kwestii wcale mistrzami: marnowali około 99% mocy strumienia. Ale nawet ten pozostały 1% wystarczył, aby z ogromną łatwością przesunąć blok ważący pięćset ton, gdyby znajdował się pod ręką.

Aż nadeszła noc, 14 października, kiedy spotkała nas katastrofa. Nie wiem, kto jest odpowiedzialny za zaalarmowanie pasożytów. Prawdopodobnie Georges Ribot - dość dziwny mały facet, wprowadzony przez Giobertiego. Ribot pisał rozmaite książki na temat telepatii, magii, spirytyzmu i tym podobnych zjawisk o tytułach takich, jak np.: Ukryty Zakon albo Od Atlantydy do Hiroshimy; założył także czasopismo "Les Horizons de L'Avenir". Być może nie byłoby rzeczą zbyt uczciwą nie powiedzieć, że Gioberti źle ocenił tego człowieka. Ribot był osobą o bystrym intelekcie i dobrym matematykiem. Jego książki wskazywały na to, że był bardzo bliski odkrycia istnienia pasożytów. Z drugiej jednak strony, były one zbyt spekulatywne, zbyt mało naukowe. Przechodził z łatwością od Atlantydy do fizyki atomowej, od prymitywnych obrzędów plemiennych do cybernetyki. Na pewno zepsułby solidną argumentację na rzecz teorii ewolucji, przemycając jakiś nie sprawdzony "fakt" z literatury spirytystycznej. Cytował jednym tchem szaleńców i naukowców. Przyjechał do Diyarbakiru specjalnie, żeby zobaczyć się ze mną: drobny mężczyzna o szczupłej, nerwowej twarzy i intensywnie przenikliwych, czarnych oczach. Zrobił na mnie natychmiast wrażenie osoby, na której nie można polegać w takim samym stopniu jak na pozostałych, pomimo posiadanej inteligencji i wiedzy. Jego ruchy były zbyt nerwowe i szybkie. Miałem poczucie, że jest w porównaniu z innymi mniej stabilny, słabszy umysłowo. Reich wyraził to słowami: "Nie jest wystarczająco obiektywny".

O dziesiątej wieczorem robiłem w swoim pokoju notatki. Nagle ogarnęło mnie rozdygotanie, które wskazywało na pojawienie się pasożytów. Czułem się dokładnie tak, jak w moim pokoju na Percy Street. Sądziłem, że robią coś w rodzaju okresowego testu na mnie, tak więc po prostu pozwoliłem swej nowej osobowości wsiąknąć w starą i zacząłem rozmyślać nad pewnym szachowym problemem. Specjalnie myślałem powoli, studiując każdy aspekt problemu, choć umysł mógł dojść do końcowej konkluzji natychmiast. Tymczasem pozwoliłem, aby mój tok myślowy został zakłócony; wstałem i nalałem sobie soku pomarańczowego (przestałem w ogóle pić alkohol, ten sam efekt bez trudu mogłem osiągnąć dzięki chwilowej koncentracji). Później udałem, że zgubiłem wątek i pracowicie zacząłem od początku. Po pół godzinie - czy coś koło tego - ziewnąłem i pozwoliłem umysłowi na zmęczenie. Przez cały ten czas byłem świadom tego, że obserwują mnie i to na wyższym poziomie świadomości niż wówczas na Percy Street. Rok wcześniej nie odczułbym nawet przygnębienia wynikającego z takiej obserwacji. Była ona całkowicie poza kategoriami świadomego czy nieświadomego.

Kiedy po dziesięciu minutach leżenia w łóżku stwierdziłem, że odeszły, zacząłem zastanawiać się, co też mogłyby mi zrobić, gdyby zdecydowały się na zaatakowanie. Trudno było przewidzieć, lecz czułem, że mój umysł jest wystarczająco silny, aby odeprzeć nawet wyjątkowo silny atak.

O północy zadzwonił wideotelefon. Był to Reich; wyglądał na zmartwionego.

- Były u ciebie?

- Tak. Odeszły pół godziny temu.

Reich powiedział:

- Mi dały spokój dopiero przed chwilą. Doświadczyłem ich, tak naprawdę, po raz pierwszy i niezbyt mi się to podobało. Są silne, silniejsze, niż sądziliśmy.

- Nie wiem... Sądzę, że jest to rodzaj rutynowego testu. Udało ci się ukryć myśli?

- O, tak. Tak się szczęśliwie złożyło, że pracowałem nad inskrypcjami Abhotha. Po prostu musiałem intensywnie skupić się na tym problemie i myśleć dwa razy wolniej.

- Dzwon, jeśli będziesz potrzebował jakiejś pomocy. Myślę, że moglibyśmy spróbować zsynchronizować nasze umysły tak, jak bracia Grau. Może to się okazać pomocne.

Poszedłem spać. Przewornie pozwoliłem świadomości powoli zapadać w sen, jak za dawnych lat, zamiast wyłączyć ją natychmiast tak, jak się wyłącza światło.

Przebudziłem się z uczuciem ucisku, zbliżonym do kaca albo początków choroby. Czułem, że mój umysł został jakby otamowany i skrępowany; było to uczucie podobne do tego, jakiego doświadczałoby moje ciało, gdybym zasnął w jakimś mokrym i zimnym pomieszczeniu. Natychmiast zorientowałem się, że czas gry w ciuciubabkę minął. Weszły w mój umysł

niepostrzeżenie, kiedy spałem i byłem obecnie ich więźniem. Podobny byłem do człowieka, któremu ciasno skrepowano ręce i nogi.

A jednak nie było to tak nieprzyjemne, jak mi się wcześniej wydawało. Ich obecność nie wzbudzała we mnie, jak wcześniej sądziłem, obrzydzenia. Były czymś dla mnie obcym i miały w sobie coś, jakbym to wyraził, "metalicznego".

Nie miałem pojęcia, jak się bronić. Znajdowałem się jakby w areszcie domowym, gdzie jedyną szansą przetrwania jest przekonanie swych oprawców, że się pomylili. Zareagowałem tak, jakbym zareagował na nie wcześniej: pewną dozą strachu, zaskoczenia, ale bez paniki. Tak jakbym wiedział, że to, czego doświadczam, zwalczę określoną dawką aspiryny. Zacząłem analizować przebieg poprzedniego dnia, aby stwierdzić, czemu mam przypisać ową chorobę.

Przez ponad pół godziny nie wydarzyło się nic nowego. Po prostu leżałem, zupełnie biernie, nie przejmując się zbytnio tym, co się ze mną dzieje; zastanawiałem się tylko, czy ich uchwyt zelżeje. Czułem, że jeśli będzie to konieczne, zbiorę w sobie dość siły, aby zrzucić je z siebie.

Potem zdałem sobie sprawę, że takie zachowanie nie miało najmniejszego sensu. Wiedziały doskonale, że udaję, iż nic nie wiem... Gdy tylko to sobie uzmysłowiłem, rozpoczął się następny etap. Tak jak gdyby to wyczuły. Zaczęły wywierać na mój umysł presję, rodzaj nacisku, który dawnej doprowadziłyby mnie do obłądzenia. Podobnie jak fizyczne mdłości powodują uczucie fizycznego przygnębienia, tak też ten nacisk wywoływał wrażenie przygnębienia umysłowego.

Oczywiście, musiałem się bronić, ale postanowiłem jeszcze nie ujawniać całej swej siły. Przyjąłem taktykę biernej obrony udając, że nie dotarł do mnie jeszcze fakt ich ataku. Prawdopodobnie miały wrażenie, że powstrzymuję nacisk stutonowego bloku. Mimo iż atak ich przybierał na sile, byłem spokojny o rezultat starcia. Doskonale wiedziałem, że potrafię znieść nacisk pięćdziesiąt razy większy...

Ale już pół godziny później czułem, że mój umysł dźwiga ładunek o ciężarze Mount Everestu. Wciąż jeszcze dysponowałem rezerwami, ale jeśli atak potrwałby dłużej, mogłyby się wyczerpać. Nie pozostało mi nic innego, niż zaatakować. Naprężyłem się jak człowiek zrywający okowy i zrzuciłem je. Zogniskowałem strumień uwagi, równy w swej intensywności orgazmowi seksualnemu i skierowałem go na nie. Mogłem swą moc zwiększyć dziesięciokrotnie, ale chciałem wciąż trzymać je w niepewności co do mej siły. Nadal byłem spokojny i daleki od paniki. W jakimś sensie walka ta sprawiała mi przyjemność. Jeśli zwyciężę, nie będę musiał w przyszłości tak starannie skrywać swej siły, ponieważ i tak ją poznają.

Wyniki pierwszego starcia nie były w pełni zadowalające. Mimo iż ciężar znikł, a pasożyty prysły, to miałem wrażenie, że nie doznały żadnego uszczerbku. Przypominało to walkę z cieniem.

Czułbym się w pełni usatysfakcjonowany, gdybym wiedział, że je trafiłem, tak jak bokser, kiedy widzi, jak cios jego pięści trafia w przeciwnika; ale jasne było, że chybiłem.

Kontratak z ich strony nastąpił prawie natychmiast. Tym razem był tak nagły i gwałtowny, że zmuszony byłem odierać ciosy - całkiem na to nie przygotowany. Można powiedzieć, że wyglądało to tak, jakby właściciel domu walczył z hordą włóczęgów, próbujących wdrzeć się do jego domu. Czułem, że istoty te są czymś podrzędnym, na podobieństwo robactwa, dla którego nie ma miejsca w moim umyśle. Były jak szczury z kanałów, które urosły w siłę i postanowiły zaatakować, a moim zadaniem było pokazać im, że nie będą pod żadnym pozorem tolerowane. Nie bałem się; czułem, że jestem u siebie i że to one są intruzami. Kiedy wróciły ponownie, zaatakowałem czując, że znowu się rozpierzchają.

Czasem niewtajemniczeni zadają mi pytanie, czy "widziałem" je albo, czy czułem, jaki mają kształt. Odpowiedź brzmi: "nie". By zilustrować to, co czułem najlepiej wyobrazić sobie, że jest się spoconym i zmęczonym, a wszystko wokół źle idzie. Ilekroć próbuje się przejść przez ulicę, zawsze, tuż przed nosem, przejeżdża z ogromną szybkością autobus. Ma się poczucie, że świat jest wrogi, a życie jest jak bieg pomiędzy dwoma szpalerami chłoszczących nas bandytów. Znika poczucie bezpieczeństwa, zaś wszystko w życiu zaczyna się wydawać straszliwie kruche i nietrwałe. Daje to pewne pojęcie o tym, czym jest taki atak. Dawniej uznałbym go za zwykły przyptyw pesymizmu i żalu nad sobą. Szybko znalazłbym jakieś konkretne zmartwienie, aby nadać tym uczuciom praktyczny sens. Wszyscy stacamy takie walki sto razy dziennie: ostatecznymi zwycięzcami zostają ci, którzy porzucają negatywne myślenie i nie zamartwiają się na śmierć, a zaczynają myśleć o realizacji jakichś ważnych celów. (Wszyscy stosowaliśmy sztuczkę z ucieczką w swój wewnętrzny świat). Trening kilku ostatnich miesięcy spowodował, że świat ten stał się dla mnie o wiele bardziej dostępny; moja siła miała swe źródło w optymizmie i "myśleniu pozytywnym", jeśli wolno mi użyć tego sformułowania.

Walczyłem z nimi jeszcze prawie godzinę. Nie dopuszczałem do siebie myśli o tym, co będzie, jeśli pojawią się ich miriady; że będą mogły atakować mnie tygodniami tak długo, dopóki mój umysł nie wyczerpie całkowicie swych sił. Kiedy myśl taka się pojawiła, czym prędzej ją zdławiłem. Była ona bowiem głównym źródłem niebezpieczeństwa.

O piątej, mimo lekkiego zmęczenia, nie byłem ani na krztynę przygnębiony. Odniosłem wówczas wrażenie, że otrzymały nowe posiłki i szykują się do ponownego, zmasowanego ataku. Tym razem postanowiłem zaryzykować i pozwolić im podejść bliżej. Chciałem zobaczyć, czy uda mi się je zranić. Pozwoliłem im więc, aby napały na mnie w masie. Pozwoliłem im podejść tak blisko, że poczułem, iż się duszę. Było to odczucie pełne przerażenia, tak jakby pozwolić komuś zacisnąć na szyi pętlę. Ciężar wzrastał; nadal nie stawiałem oporu. Kiedy nacisk stał się zupełnie

nie do zniesienia, zebrałem wszystkie siły i uderzyłem, jakbym strzelił z armaty w sam środek tłumu. Tym razem nie chybiłem. Nawet jeśli były lekkie jak rój much, to zagęszczenie było tak wielkie, że nie mogły wycofać się wystarczająco szybko. Czułem olbrzymią satysfakcję z tego, że zniszczyłem ich ogromną ilość.

Teraz, przez pół godziny, panował spokój. Ciągle tam jeszcze były, ale jasne było, że znajdowały się w szoku. Później odkryłem, co było tego przyczyną. Dzięki miesiącom przygotowań nauczyłem się aktywizować wewnętrzne siły mogące stanowić umysłowy odpowiednik bomby wodorowej. Użyłem jej po raz pierwszy, tak więc nie mogłem mieć pojęcia o jej mocy. Rzuciły się na mnie jak horda szczurów na małego kodaka i nagle przekonały się, że atakują tygrysa w sile wieku. Nic dziwnego, że tak mocno to nimi wstrząsnęło. Czułem wielką satysfakcję. Mimo że użyłem wszystkiego, czym dysponowałem, nie byłem jednak wyczerpany. Czułem się świeży i silny jak zwykle, a radość ze zwycięstwa dodawała mi skrzydeł; tak że mógłbym kontynuować walkę jeszcze tygodniami.

Jednak kiedy światło dnia zaczęło się sączyć poprzez zasłony, zrozumiałem, że stoję w obliczu czegoś, na co nie jestem przygotowany. Było to przedziwne uczucie; tak jakbym nagle poczuł pod stopami zimną wodę, która zaczęła się podnosić. Musiało minąć trochę czasu, nim zdałem sobie sprawę, że atakują mnie z miejsca znajdującego się w umyśle, którego istnienia nie bytem zupełnie świadom. Byłem silny, gdyż posiłkowałem się w walce z nimi wiedzą, ale powinienem mieć świadomość, że moja wiedza o umyśle jest żałośnie nikła. Byłem podobny do astronoma, który zna jedynie Układ Słoneczny, a sądzi, że posiadał wiedzę na temat całego wszechświata.

Atak pasożytów wyprowadzony został z obszaru, znajdującego się poniżej poziomu samowiedzy. To prawda, niewiele czasu poświęciłem tej warstwie, ale - zresztą słusznie - uznałem, że należy to odłożyć do czasu, gdy się bardziej podszkolę. Już wcześniej często stwierdzałem, że nasze ludzkie życie oparte jest całkowicie na "przesłankach", które uznajemy za niepodważalne. Dziecko uważa, że rodzice i jego dom są czymś absolutnie pewnym; później za coś równie pewnego przyjmuje się kraj i społeczeństwo. Potrzebujemy takiej pewności, aby od czegoś zacząć. Dziecko bez rodziców i normalnego domu nie rozwinię w sobie poczucia bezpieczeństwa. To, które miało normalny dom, może później nauczyć się krytykować rodziców albo całkowicie ich odrzucić (choć jest to mało prawdopodobne), ale czyni tak dopiero wtedy, gdy jest wystarczająco pewne siebie.

Oryginalność wybitnych myślicieli polega na odrzucaniu takich właśnie "podpórek", jedna po drugiej. Mogą nadal kochać rodziców, swój kraj, ale kochają z pozycji siły, mocy, której początkiem była negacja.

W rzeczywistości istoty ludzkie nigdy, tak naprawdę, nie stają się w pełni samodzielne. Są leniwe i wolą . zawsze czymś się podierać. Można być absolutnie oryginalnym matematykiem, a jednocześnie pozostawać niewolniczo zależnym od żony. Można być wielkim wolnomyslicielem, a jednocześnie czerpać znacznie więcej psychicznego komfortu, niżby się mogło wydawać, z podziwu kilku przyjaciół czy uczniów. Krótko mówiąc: ludzie nigdy nie kwestionują wszystkich swych "podpórek"; podważają tylko niektóre z nich, a resztę traktują nadal jako niewzruszoną bazę.

Byłem tak bardzo zaabsorbowany przygodą polegającą na odkrywaniu nowych obszarów umysłu oraz negowaniu swej starej osobowości i jej podstaw, że pozostałem zupełnie nieświadomy tego, że nadal podpieram się dziesiątkami rozmaitych potocznych założeń. Przykładowo, pomimo że czułem, iż moje "ja" ulega zmianie, nadal miałem silne poczucie tożsamości. Nasze najbardziej fundamentalne poczucie tożsamości polega na zakotwiczeniu własnego "ja" na dnie bardzo głębokiego morza. Ciągłe patrzyłem na siebie jako na mieszkańca Układu Słonecznego, zakotwiczonego w konkretnym czasie i przestrzeni. Czas i przestrzeń traktowałem jako coś niepodważalnego. Nie zadawałem sobie pytań, gdzie byłem przed narodzinami i gdzie będę po śmierci. Nie postawiłem nawet problemu śmierci; pozostawiłem to wszystko "do zbadania" później.

Obecnie pasożyty dotarły do owych fundamentalnych cum, kotwiczących moją tożsamość i potrzęsały nimi. Jaśniej tego nie potrafię wyrazić. Na razie, że tak powiem, nie zaczęły wyciągać kotwic; było to bowiem ponad ich siły. Ale trzęsły łańcuchami kotwicznymi, co spowodowało, że nagle straciłem poczucie bezpieczeństwa i to tam, gdzie czułem się najbardziej pewnie.

Nagle zadałem sobie pytanie: Kim jestem? - I to w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Tak, jak zuchwały myśliciel porzuca miłość do ojczyzny i religię, tak ja odrzuciłem to wszystko, co zwykle buduje ludzką tożsamość, a więc czas i miejsce moich narodzin. To, że jestem człowiekiem, a nie psem czy rybą, a także mój potężny pęd ku życiu, było jakże przypadkowe. Odrzuciwszy cały ten niepotrzebny "sztafaż" stanąłem nagi, jak czysta, niczym nie skażona świadomość naprzeciw wszechświata. Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że tak zwana "czysta świadomość" jest czymś równie arbitralnym jak nazwisko, które noszę. Nie była ona bowiem zdolna podjąć wysiłku konfrontacji ze wszechświatem bez przyklejania rozmaitych etykiet na to, co ten świat stanowiło. Jak mogła to być "czysta świadomość", jeśli widziałem jakiś przedmiot jako książkę właśnie, a inny jako stół? Wciąż na świat moimi oczami spoglądała mała, ludzka tożsamość. A kiedy próbowałem wydostać się z niej, wszystko stawało się pustką.

Nie podejmowałem całego tego wysiłku jedynie jako czczej zabawy. Usiłowałem przedrzeć się w głąb, by odnaleźć jakąś niewzruszoną podstawę, na której mógłbym oprzeć swą walkę

przeciw pasożytom. Były wystarczająco chytre, aby pokazać mi, że stoję nad otchłanią. Mój umysł w następnym kroku stwierdził, że również czas i przestrzeń traktujemy jako coś pewnego - gdy tymczasem śmierć porywa nas poza te kategorie. Pojąłem, że to co nazywałem "istnieniem", oznacza istnienie w czasie i przestrzeni, oraz że wszechświat czasu i przestrzeni nie jest absolutem. Nagle wszystko stało się absurdem. Po raz pierwszy obrzydliwe poczucie braku bezpieczeństwa i słabość ścisnęły mi żołądek. Zobaczyłem, że wszystko co brałem za niewzruszone we wszechświecie, można zakwestionować, że wszystko może być złudzeniem. Jako myśliciel wpadłem w stary, romantyczny nawyk traktowania umysłu w oderwaniu od przypadkowości ciała. Sądziłem, że jest on w jakiś sposób wieczny i wolny; że ciało, będące czymś trywialnym i jednostkowym, pozostaje w opozycji wobec umysłu, który jest uniwersalny i ponadindywidualny. Podejście takie czyni z umysłu wiecznego widza, uwolnionego od lęku. Ale teraz, nagle pojąłem: "Jeśli wszechświat jest sam w sobie arbitralny, to mój umysł jest również przypadkowy i równie podatny na zniszczenie jak ciało". Moment ten był podobny do chwil, jakie przeżywa się w trakcie wymiotów i delirium, kiedy umysł wydaje się być czymś trudniejszym do zniesienia niż ciało; gdy człowiek podejrzewa, że umysł nie rozpada się tylko dzięki kłamrom, nakładanym na niego przez ciało.

Nagle pod moimi stopami rozwarła się otchłań pustki. Nawet nie zareagowałem na nią lękiem - byłaby to zbyt ludzka reakcja. Było to jakby zetknięcie się z lodowatą rzeczywistością, dla której wszystko, co ludzkie wydaje się być jedynie maskaradą. Był to cios wymierzony w samo serce mego życia; w coś, co dotąd uznawałem za nietykalne. Czułem się jak król wydający rozkazy, które zawsze wykonywano, a który nagle dostał się w ręce barbarzyńców przebijających mu mieczem wnętrze. Wszystko to było tak przerażające i bezpośrednio realne, że negowało wszystko, czymkolwiek kiedyś byłem; wszystko obracało się w perzynę. W tym momencie zupełnie nieważne stało się dla mnie to, czy pasożyty wygrywają czy też nie. Cała moja siła, cała odwaga pierzchła. Byłem jak statek, który nadział się na skałę i doświadczył tego, że nie na wszystko jest odporny.

Pasożyty nie atakowały. Obserwowały mnie tak, jak obserwuje się konwulsje otrutego zwierzęcia. Usiłowałem zebrać siły, aby przygotować się na atak, ale czułem się porażony i wyczerpany. Siła mego umysłu zwróciła się przeciwko mnie. Zamiast, jak dawniej, nieuważnie przerzucać się z jednej myśli w drugą, tym razem kontemplowałem w bezruchu tę pustkę.

Popęlniły błąd, że wówczas mnie nie zaatakowały. Zwyciężyłyby, gdyż opadłem z sił i nie miałem czasu, by je odzyskać. Tak właśnie zabiły Karela Weissmana; wiem to z całą pewnością. Taka wizja bezsensu i nicości niesie ze sobą myśl, że śmierć nie może być czymś gorszym od tego, co nas czeka. Człowiek czuje, że życie oznacza przywiązanie do ciała i jego iluzji. Patrzy na ciało

tak, jak patrzy się na Ziemię z pokładu statku kosmicznego, ale w tym wypadku ma się jeszcze do tego poczucie, że powrót nie ma sensu.

Tak, powinny wtedy zaatakować. Być może śmierć Karela przekonała je, że umrę w ten sam sposób, popełniając samobójstwo. Ale w moim przypadku nie istniała taka pokusa, gdyż umysł mój był wolny od neurotycznych lęków, od których pragnąłbym się uwolnić. Tylko neurotyczna kobieta mdleje na widok agresora; kobieta o silnym umyśle wie, że zachowanie takie nie jest żadnym rozwiązaniem.

Teraz nadeszła myśl, która pozwoliła mi wyjść z matni. Była ona taka: "Jeśli te istoty umyślnie wywołały u mnie owo poczucie totalnego bezsensu, to same muszą być w jakiś sposób poza nim". Kiedy tylko zaświtała mi ta myśl, zaczęły powracać siły. Zrozumiałem, że postanowiły doprowadzić mnie do tego stanu tak, jak łowcy przewracają zółwie na wznak; wiedziały, że w tej pozycji człowiek jest najbardziej bezbronny. Jeśli jednak było tak, jak sądziłem, to przypuszczalnie one same zdawały sobie sprawę z tego, że to wrażenie pustki jest po prostu iluzją. Mój umysł dawał z siebie wszystko, ale zrobił błąd. Dorosły może z łatwością manipulować małym dzieckiem, czerpiąc swą przewagę z jego niewiedzy; może na przykład wpędzić dziecko w obłąd, wypełniając jego umysł historiami pełnymi horroru - mieszaniną opowiadań o Draculi i Frankensteinie - by następnie, wskazując na Buchenwald i Belsen, udowodnić mu, że świat jest jeszcze większym horrorem. I, w jakimś sensie, byłaby to prawda... Ale trzeba być dorosłym, by dostrzec fałsz w dowodzie: z tego, że Belsen i Buchenwald są horrorem, nie musi koniecznie wynikać, że horror ten leży w naturze Wszechświata; można go bowiem zwalczać ludzką uczciwością. Być może stworzenia te wykorzystywały, w ten sam sposób, moją ignorancję? Mój wywód wydawał się być poprawny: nasza zdolność do życia jest uzależniona od całego zespołu podpórek, których natura jest wątpliwa. Ale dziecko może przestać wierzyć w to, że rodzice są nieomylni. Nie musi to jednak oznaczać, że przestanie ich kochać. Innymi słowy - nawet kiedy znikają iluzje, pozostaje realność miłości. Czy możliwe, by ta przerażająca agonia, lub raczej ów przerażający brak agonii, owo uczucie absolutnego zimna, doświadczenie absolutnej rzeczywistości nie było groźniejsze od bólu dziecka, które się przewróciło?

Chwyliłem się kurczowo tej myśli. Później przyszła następna, która dodała mi sił. Zdałem sobie bowiem sprawę, że kontemplując ów obcy wszechświat, który wydawał mi się arbitralny i absurdalny, popełniłem najstarszy z ludzkich błędów: uwierzyłem w to, że "wszechświat" oznacza "wszechświat na zewnątrz". A przecież umysł, jak to już dobrze wiedziałem, był sam dla siebie wszechświatem.

Nie atakując mnie, popełniły swój pierwszy błąd: byłem wówczas roztrzęsiony i wyczerpany. Teraz zrobiły jeszcze większy: zobaczyły, że jakoś dochodzę do siebie i z wielką siłą zaatakowały.

Wpadłem w panikę; wiedziałem, że brak mi sił, aby je odeprzeć. Tamto spojrzenie w otchłań wyssało ze mnie odwagę; musiałem czekać, aż znów wolno napłynie...

Dopiero wtedy w pełni zrozumiałem znaczenie przykładu z dzieckiem. Dzieckiem można manipulować wykorzystując jego ignorancję, bowiem nie docenia ono swej siły. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest potencjalnym dorosłym, naukowcem, poetą czy politykiem.

Myśl ta olśniła mnie: Może i ja robię ten sam błąd? Nagle przypomniały mi się słowa Karela dotyczące jego pierwszej bitwy z pasożytami; że jego własne, najgłębsze pokłady sił witalnych zadecydowały o zwycięstwie w walce. Czy istniały owe głębokie pokłady sił witalnych, do których jeszcze nie dotarłem? W tej samej chwili przypomniałem sobie towarzyszące mi często w ostatnich miesiącach uczucie, że w naszych zmaganiach wspomaga nas jakaś siła, "szczęśliwy traf", który nazwałem "bożkiem archeologii": jakaś dobroczynna moc, której zadaniem jest ochrona życia.

Bez wątplenia osoba wierząca utożsamiałaby tę siłę z Bogiem; dla mnie nie miało to znaczenia. Wiedziałem tylko, że mógłbym zyskać nieoczekiwane sprzymierzeńca w mej walce. Kiedy tylko to pomyślałem, usłyszałem bez mała trąbę armii, idącej mi z odsieczą. Ogarnęło mnie szaleńcze uniesienie, jakiego dotąd nigdy nie doznałem. Nie ma odpowiedniej formy ekspresji emocjonalnej, aby wyrazić adekwatnie owo uczucie ulgi i triumfu; płacz, śmiech czy krzyk byłyby czymś absurdalnym, czymś takim jak próba opróżnienia morza dłońmi. W momencie, kiedy się to rozpoczęło, eksplodował wybuch równy bombie atomowej. Fakt ogromu tej mocy wzbudził we mnie, bez mała, większe obawy niż u pasożytów. Ale wiedziałem także, że to ja sam uwolniłem tę moc. Nie była to, w gruncie rzeczy, żadna "trzecia siła" będąca poza mną i pasożytami. Wszedłem w kontakt z przeogromną, bierną mocą dobra, czymś co nie mogło samodzielnie działać, ale do czego należało dotrzeć i czego można by użyć.

Przemogłem swój strach i ujarzmiłem go; zacisnąłem zęby i chwyciłem się tej mocy siłą mej woli. Ku memu zdziwieniu, mogłem ją kontrolować. Skierowałem strumień uwagi na wroga, a następnie uwolniłem tę moc, przypuszczając atak na pasożyty. Oślepiiony i pijany użytą siłą dostrzegłem możliwości, których istnienia nigdy bym nie podejrzewał i których wcześniej nie byłem w stanie uchwycić. Wszystkie moje słowa, idee, koncepcje były jak liście, miotane huraganem. Pasożyty dostrzegły niebezpieczeństwo zbyt późno. Było oczywiste, że w pewnym sensie miały z tą mocą równie mało doświadczeń jak ja. Była to walka pomiędzy ślepcami. Potężny wybuch, jak z miotacza ognia uderzył w nie, niszcząc je niczym robactwo. Nie chciałem stosować

tej broni dłużej niż kilka sekund. Jej użycie wydawało mi się jakoś niestosowne, jak użycie broni maszynowej wobec dzieci. Z rozmysłem wyłączyłem jej strumień i poczułem w sobie kolejne fale jej ryku, podobne do iskrzącej się elektryczności. Były jak trzaski w głowie. Widziałem rodzaj niebieskozielonej poświaty ponad moją klatką piersiową. Ciągłe grzmiącymi falami przechodziła przeze mnie, ale nie czyniłem z niej więcej użytku. Wiedziałem, że nie ma ku temu większych powodów. Zamknąłem oczy i pozwoliłem, aby moje ciało ją wchłonęło, mimo że byłem świadom tego, iż mogła mnie ona zniszczyć. Stopniowo fala opadała i, mimo ekstazy i wdzięczności, cieszyłem się widząc jak znika. Była zbyt potężna.

Znowu znalazłem się w swoim pokoju, bo przez wiele godzin byłem gdzie indziej; z dołu dobiegły mnie odgłosy ruchu ulicznego. Zegar elektryczny wskazywał wpół do dziesiątej. Łóżko było pełne potu, tak mokre, jakbym wylał na nie wannę wody. Mój wzrok był jakoś zmieniony: widziałem trochę podwójnie, jakby wszystko miało zewnętrzną, świetlistą otoczkę. Przedmioty były niewiarygodnie jasne i wyraziste. Po raz pierwszy zrozumiałem efekty, jakie u Aldousa Huxley'a wywołała meskalina.

Wiedziałem także, że zagraża mi inny rodzaj niebezpieczeństwa: nie wolno mi myśleć o tym, co się wydarzyło, ponieważ stałbym się beznadziejnie zdezorientowany i przybity. Niebezpieczeństwo było w gruncie rzeczy nawet większe niż to sprzed pół godziny, kiedy patrzyłem w otchłań. Tak więc zdecydowanie skierowałem swe myśli gdzie indziej, ku sprawom codziennym. Nie chciałem zadawać sobie pytania, dlaczego musiałem walczyć z pasożytami. Jeśli posiadam aż tak wielką siłę, dlaczego istoty ludzkie muszą walczyć o życie, jeśli mogłyby rozwiązać natychmiast każdy problem? Nie chciałem spekulować, czy wszystko to stanowiło rodzaj gry. Pospieszyłem do łazienki, aby umyć twarz. Zdziwiło mnie, że wyglądam w lustrze tak świeżo i normalnie. Nie było żadnego fizycznego śladu walki za wyjątkiem tego, że wyglądałem odrobinę szczuplej. Wszedłem na łazienkową wagę i tu spotkała mnie następna niespodzianka: byłem lżejszy o 28 funtów!

Zadzwoił wideotelefon. Był to naczelnik A.I.U. Patrzyłem na niego, jak gdyby był z innego świata. Zauważyłem na jego twarzy wyraz ulgi, kiedy mnie zobaczył. Powiedział, że od ósmej usiłują się do mnie dodzwonić dziennikarze, ponieważ tej nocy zmarło dwunastu moich przyjaciół: Gioberti, Curtis, Remizów, Shlaf, Herzog, Klebniow, Ames, Thomson, Diding, Lasacaratos, Spencefield, Sigrid Elgström. Nie żyli wszyscy za wyjątkiem braci Grau, Fleishmana, Reicha i mnie oraz Georges'a Ribota.

Pierwsi czterej najwyraźniej zmarli na atak serca. Sigrid Elgström podcięła sobie żyły, a później poderżnęła gardło. Klebniow i Lascaratos wyskoczyli przez okno. Thomson złamał kark

w trakcie czegoś, co było rodzajem ataku epileptycznego. Herzog zastrzelił całą swą rodzinę, a następnie samego siebie. Inni otruli się albo przedawkowali narkotyki. Dwóch zmarło z powodu uszkodzeń mózgu.

Reubke był zdenerwowany z powodu nadszarpnięcia dobrej opinii A.I.U., jako że wszystkie ofiary były w ciągu ostatnich tygodni gośćmi koncertu. Sam Reubke spotkał się z większością z nich. Uspokoilem go, jak mogłem - sam byłem wstrząśnięty - i powiedziałem, aby nie wpuszczał żadnych dziennikarzy. Kiedy stwierdził, że usiłował się dodzwonić do Reicha, ale nikt mu nie odpowiadał, poczułem jak żołądek podchodzi mi do gardła. Reakcja ta pogłębiała się; pragnąłem zasnąć. Użyłem naszego specjalnego kodu i wykręciłem numer Reicha. Kiedy ujrzałem jego twarz na ekranie, poczułem niewysłowioną ulgę. Pierwsze słowa Reicha brzmiały:

- Dzięki Bogu, nic ci nie jest?

- Nie. A co z tobą? Wyglądasz okropnie. - Czy były u ciebie ponownie w nocy?

- Tak. Przez całą noc. Przyszły do nas wszystkich.

Po pięciu minutach byłem u niego - wcześniej zatrzymałem się tylko po to, aby zawiadomić Reubkego, że z Reichem jest wszystko w porządku. Jednak kiedy go zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, że przesadziłem nieco, mówiąc o jego dobrym samopoczuciu. Wyglądał jak rekonwalescent po sześciomiesięcznej chorobie. Jego ciało miało kolor ugotowanej cielęciny, postarzał się.

Przeżycia Reicha były bardzo podobne do moich - z jedną istotną różnicą. Nie poddały go próbie "totalnego zwątpienia"; wywierały jedynie przez całą noc na niego nacisk, falami, jedna po drugiej. Nad ranem udało im się dokonać wyłomu w jego systemie obronnym, powodując wyciek z jego zbiorników energetycznych. Właśnie to go tak wyczerpało. A potem, kiedy poczuł, że porażka jest nieunikniona, nagle atak został przerwany.

Nie miałem wątpliwości, kiedy to się stało. Miało to miejsce w chwili, gdy poraziłem je swym "energetycznym blasterem". Reich to potwierdził: zdarzyło się to około pół godziny wcześniej, zanim zadzwoniłem. Słyszałem potem, że dzwonił Fleishman, ale byłem zbyt wyczerpany, by zareagować.

Wiadomość o losie naszych przyjaciół przygnębiła go, ale późniejsza opowieść o moich zmaganiach znowu wlała w niego nadzieję i odwagę. Starłem się, tak jak mogłem najlepiej, wyjaśnić mu jak udało się pasożytom mnie podejść i jak wezwałem moce boskie, aby je zwyciężyć. I takiej wiadomości właśnie mu było potrzeba; wiedzy, iż mylił się sądząc, że w tej walce jesteśmy wobec pasożytów bezbronni. Cechą "wtajemniczonych" w metodę fenomenologii jest to, że potrafią bardzo szybko odzyskiwać siły po fizycznych czy umysłowych klęskach. Wynika to z faktu, że stykają się bezpośrednio ze źródłami mocy, kierującymi wszystkimi istotami ludzkimi. Po

upływie pół godziny Reich w ogóle nie wyglądał na takiego, który kiedykolwiek chorował; rozmawiał z równą ekscytacją, co ja.

Większą część ranka zajęło mi wyjaśnianie tego, jak podeszły mnie pasożyty i w jaki sposób można tego uniknąć. Chciałem przekonać Reicha, by sam, dobrowolnie, poddał się próbie przebadania fundamentów swej tożsamości. Stwierdziłem jednak, że jego temperament zasadniczo różnił się od mojego: pod pewnymi względami był ode mnie silniejszy, a pod innymi słabszy.

Naszą rozmowę przerwał w południe Reubke, który przyszedł nas zobaczyć. Wszystkie gazety świata na pierwszych stronach opisywały "noc samobójców"; snuły rozmaite spekulacje na temat roli Reicha i mojej w tym wydarzeniu. Powiedziano mi, że całe przedsiębiorstwo - obejmujące osiemset akrów - stało się niedostępne z powodu tysięcy helikopterów dziennikarskich czekających na zewnątrz.

Krótką sonda umysłowa wykazała, że Reubke nie był wystarczająco silny, aby można mu było powiedzieć całą prawdę. Kusiło mnie, by zapanować całkowicie nad jego umysłem; mógłbym to zrobić już wczesnym rankiem. Jednak uczucie "szacunku dla jednostki" powstrzymywało mnie od uczynienia tego. W zamian opowiedzieliśmy mu historyjkę bardzo bliską prawdy, ale łatwiejszą dla niego do przyjęcia.

Sprowadzało się to do stwierdzenia, że Towarzystwo "Anty-Kadath" miało rację: wykopaliska w Karatepe spowodowały uwolnienie potężnych i niebezpiecznych sił Wielkich Dawnych... Pozostała część była już zgodna, mniej lub bardziej, z prawdą: że stworzenia te dysponują nadnaturalnymi mocami, które mogą doprowadzić ludzi do obłądu. Powiedzieliśmy mu, że ich celem jest zniszczenie gatunku ludzkiego, lub co najmniej przemienienie go w niewolników tak, by rasa Dawnych ponownie zawładnęła Układem Słonecznym. Jak dotąd jednak nie dysponują wystarczającą siłą, aby tego dokonać. Gdybyśmy zdążyli, moglibyśmy wyprzeć ich z naszej galaktyki, albo nawet zupełnie zniszczyć.

Prawdę o pasożytach ubraliśmy w strój bajki dla dzieci po to, żeby była w ten sposób łatwiejsza do uchwycenia i mniej przerażająca. Nadaliśmy tym stworzeniom nazwę - Tsathogguany - zapożyczoną z mitologii Lovecrafta.

Na zakończenie postanowiliśmy postawić go przed dylematem: czy należy poinformować świat o zaistniałym niebezpieczeństwie, czy też nie, mając na uwadze fakt, że wzbudzimy tym panikę stanowiącą jeszcze większe zagrożenie? Reubke zbladł jak ściana; z trudem łapiąc oddech, przemierzał pokój; usiłował powstrzymać atak astmy; w końcu oświadczył, iż sądzi, że musimy jednak przedstawić całą prawdę światu. Ciekawe było to, że nie wątpił w ani jedno wypowiedziane słowo; nasze umysły miały go całkowicie w swej mocy.

Ale "Tsathogguany" wprzedały nas o jeden krok, jak to stwierdziliśmy w godzinę później. Georges Ribot oświadczył dla "United Press", że całą winę za zaistniałą sytuację ponosimy my i oskarżył Rekha wraz ze mną o to, że jesteśmy mordercami i oszustami, zręcznie wykorzystującymi cudze zaufanie. Część z jego oświadczenia brzmiała następująco: "Miesiąc temu Vincent Gioberti, asystent profesora Sigmunda Fleishmana z Uniwersytetu Berlińskiego powiadomił mnie, że niewielka grupa naukowców utworzyła Światową Ligę Bezpieczeństwa - i proponuje mi członkostwo w niej. W związku z tym zostałem przedstawiony innym członkom (tu wymienia nazwiska tych innych) oraz twórcom Ligi: Wolfgangowi Reichowi i Gilbertowi Austinowi, odkrywcom Kadathu. Odkrycie to nasunęło im pomysł uratowania świata: uznali, że wszyscy muszą zjednoczyć się przeciwko wspólnemu wrogowi; tym wspólnym wrogiem mieli być Wielcy Dawni z Kadath. Wszyscy musieli zgodzić się popierać to oszustwo, niezależnie od tego, co by się stało. Reich i Austin sądzili, że tylko powszechnie znani naukowcy mogą przekonać świat o prawdziwości ich zupełnie fantastycznej koncepcji... Zaproponowano mi, abym - jak pozostali - poddał się hipnozie, ale odmówiłem. W końcu, pod groźbą utraty życia, zgodziłem się na jedną sesję. Ponieważ posiadam zdolności hipnotyczne, udało mi się udawać przekonująco, że stałem się ich niewolnikiem..."

Krótko mówiąc, Ribot utrzymywał, że to co wydarzyło się w nocy, stanowiło rezultat myśli samobójczej narzuconej przez nas członkom zespołu w transie hipnotycznym. Naszym celem było bezwzględnie przekonanie świata, że stoi on w obliczu groźnego wroga. Utrzymywaliśmy rzekomo z Reichem, że umrzemy razem z innymi, a po naszej śmierci opublikowane zostaną materiały dotyczące Wielkich Dawnych.

Wszystko to było wysrane z palca, choć zrobione genialnie. Brzmiało niewiarygodnie, ale śmierć dwunastu największych naukowców była równie nieprawdopodobna, tak jak i nasza wersja wydarzeń była w równym stopniu fantastyczna i mało prawdopodobna.

Gdyby nie nasze zwycięstwo nad pasożytami, właśnie to byłoby najbardziej przygnębiającym zdarzeniem. Dwadzieścia cztery godziny temu wszystko szło doskonale... liczyliśmy, że za jakiś miesiąc będziemy gotowi, by przedstawić światu nasze doświadczenie; wówczas bylibyśmy już zgranym zespołem. Teraz wszystko legło w gruzach, a Ribot stał się sprzymierzeńcem (albo ofiarą) pasożytów, obracając nasze własne, świetnie przemyślane plany przeciwko nam. Gdy chodzi o przekonanie świata, z całą pewnością pasożyty były górą. Nie dysponowaliśmy żadnymi dowodami na ich istnienie, a one dołożą wszelkich starań, aby żaden taki dowód nie był możliwy. Gdybyśmy teraz ogłosili nasze oświadczenie o Tsathogguanach, Ribot po prostu zażądałby dowodu na to, że sami ich nie wymyśliliśmy. Jedynymi, którzy mogliby nam uwierzyć, byli członkowie Towarzystwa "Anty-Kadath"!

Tym, który nagle przerwał ciszę, był Reich:

- Nie ma sensu siedzieć tu i roztrząsać tego, co się stało. Działamy zbyt wolno i pozwalamy się im wyprzedzać. Szybkość zachowania jest tu sprawą najistotniejszą.

- Co, zatem, proponujesz?

- Musimy sprawdzić co z Fleishmanem, braćmi Grau i spotkać się z nimi. Jeśli są wyczerpani, tak jak ja byłem cztery godzin temu, to pasożyty mogą ich zniszczyć.

Próbowaliśmy skontaktować się za pomocą wideo-telefonu z Berlinem, ale nie było to możliwe. Ilość połączeń, możliwych do zrealizowania w Diyarbakirze, zablokowała realizację rozmów zamiejscowych.

Zadzwoniliśmy do Reubkego i oświadczyliśmy mu, że potrzebna jest nam natychmiast rakietą, aby polecieć do Berlina, a fakt ten musi zachować w całkowitej tajemnicy. Było jasne, że Reubke zaniepokojony był "wyznaniami" Ribota - straciliśmy z dziesięć minut na to, by "doenergetyzować" jego umysł. Było to niewdzięczne zadanie: umysł Reubkego był zupełnie pozbawiony wyrazu, tak że nasze działanie przypominało wypełnianie wodą dziurawego wiadra. Udało się nam w końcu to osiągnąć, odwołując się do jego chciwości i żądzy sławy; wykazaliśmy mu, że jego nazwisko - jako naszego głównego sprzymierzeńca - przejdzie do historii, a jego firma na pewno na tym nie ucierpi. Wspólnie z Reubkiem zaaranżowaliśmy małe oszustwo, aby skierować dziennikarzy na fałszywy trop. Nakręciliśmy scenę, w której Reich rozmawia przez wideotelefon, a ja jestem widoczny w tle. Reich z irytacją krzychał na pracownika centrali, by ten nie łączył żadnych rozmów z zewnątrz. Nagranie miało być pokazane pół godziny po naszym odlocie przez "przypadek" jakiemuś dziennikarzowi, który wykorzystywałby akurat łącza.

Podstęp się udał; kiedy dotarliśmy do Berlina, mogliśmy zobaczyć samych siebie na ekranie telewizora zamontowanego w rakiecie. Dziennikarz, któremu trafiła się taka gratka, nagrał tę rozmowę, a w ciągu dwudziestu minut nadała ją telewizja w Diyarbakirze. Zdaje się, że było moc spekulacji na temat tego, iż zostaliśmy przy życiu pomimo oświadczenia Ribota dla prasy - tak, że informację tę natychmiast szybko rozpowszechniono. W rezultacie jedna czy dwie osoby, którym wydawało się wcześniej, że nas rozpoznają, uznały to za pomyłkę.

Kiedy dotarliśmy do domu Fleishmana, nie mieliśmy innego wyjścia jak ujawnić, kim jesteśmy. Był tak obstawiony dziennikarzami, że nigdy nie dostalibyśmy się do środka. Obydwoj odkryliśmy nowy, użyteczny aspekt naszych psychokinetycznych umiejętności: ponieważ musieliśmy w jakiś sposób stać się "niewidzialnymi" - byliśmy w stanie odwrócić od siebie wszelką uwagę i skierować ją gdzie indziej, tak że ludzie po prostu nas nie zauważyli. Zdołaliśmy dotrzeć do samych drzwi i zadzwonić, nim nas rozpoznano. Na szczęście usłyszeliśmy przez domofon głos Fleishmana i w momencie, gdy ten zidentyfikował nas, uchyliły się drzwi. Chwilę

później byliśmy już w środku, a dziennikarze stukali w drzwi i wykrzykiwali przez otwór od skrzynki na listy jakieś wiadomości.

Fleishman wyglądał lepiej, niż się spodziewaliśmy, ale widać było, że jest wyczerpany. W ciągu paru minut dowiedzieliśmy się, że jego zmagania z pasożytami były identyczne z przeżyciami Reicha - całonocna potyczka i nagła ulga dokładnie o ósmej dwadzieścia pięć rano, wzięwszy pod uwagę dwugodzinną różnicę czasu pomiędzy Berlinem a Diyarbakirem. Bardzo podniosło to mój nastrój: uratowałem życie przynajmniej dwóm moim kolegom, dzięki czemu cała ta okropna noc nie była zupełną klęską.

Fleishman wiedział także o braciach Grau, którzy byli w swym domu w Poczdamie. Zdołał się z nimi skontaktować rano, zanim dziennikarze zablokowali wszelkie połączenia zamiejscowe. Jak się okazało, swe bezpieczeństwo zawdzięczali temu, że byli powiązani telepatycznie. Tak jak potrafili używać wzajemnie swych umysłów jako wzmacniaczy zdolności PK, tak tym razem dodali sobie wzajemnie sił podczas nocnej walki. Jak dowiedział się Fleishman, pasożyty usiłowały również "podkopać" ich umysłowe fundamenty - podobnie jak to czyniły ze mną - ale znowu ich telepatyczny związek stanowił główną broń. Później poznałem różnicę - nie stanęli oni wobec problemu pozbawienia tożsamości, tak jak ja. Po prostu jeden drugiemu dodawał otuchy, aby nie podejmować tej kwestii i skoncentrować się na czymś innym. Powodzenie techniki "podkopywania" w dużej mierze zależy więc od tego, czy ofiara jest sama. Następny problem wydał się nam nie do rozwiązania: jak dostać się do Poczdamu i zabrać braci Grau, albo przynajmniej sprawić, by ci dostali się natychmiast do Diyarbakiru. Dom otoczony był dziennikarzami, a tuzin helikopterów wisiał nam nad głowami. Kiedy rozeszła się wiadomość o naszej obecności, ich liczba wzrosła do stu. Każda próba telefonicznego skontaktowania się z Poczdamem wywołałaby natychmiast ich pielgrzymkę tam, jako że łatwiej jest podsłuchać rozmowę lokalną, niż zamiejscową. O ile wiedzieliśmy, nazwisko braci Grau nie zostało dotąd przypisane do całego wydarzenia, w rezultacie prawdopodobnie mieli wciąż jeszcze swobodę poruszania się. To Fleishman wpadł na rozwiązanie problemu. Po godzinie spędzonej z nami czuł się już trochę lepiej; proces reenergetyzacji jego umysłu przebiegał szybciej niż w przypadku Reubkego. Historia mojego zwycięstwa wywołała u niego podobny efekt, co i u Reicha - przywróciła w pełni dawny optymizm i podstawowy cel działania. Nagle Fleishman zauważył:

- Dowiedzieliśmy się ciekawej rzeczy o pasożytach. Ich istnienie nie jest związane w żaden sposób z przestrzenią. Tłum, który mnie tutaj zaatakował, musiał być w jakimś stopniu tym samym tłumem, który zaatakował was obu w Diyarbakirze, w przeciwnym bowiem razie nie ustąpiłyby wszystkie w tym samym momencie.

Już wcześniej zastanawialiśmy się nad tym problem. Fleishman dostrzegł jeszcze inną tego konsekwencję.

- W takim razie myliliśmy się ujmując pasożyty w kategoriach fizykalnych. Przedstawiając Wszechświat w kategoriach umysłowych można powiedzieć, że jest on rozmiaru punktu. Pasożyty nie muszą podróżować, by dostać się do Diyarbakiru. Są one w obydwu tych punktach jednocześnie.

- I w Poczdamie też - dodał Reich.

Wszyscy natychmiast zrozumieliśmy konsekwencje tego faktu. Jeśli, w pewnym sensie, pasożyty były tu i w Poczdamie równocześnie, to i my byliśmy równocześnie tam i tu.

Już dawno powinno to być dla nas oczywiste! Istoty ludzkie istnieją wyłącznie w świecie fizycznym tylko w takim stopniu, w jakim brakuje im odwagi, by wejść do krainy swego umysłu. Człowiek, który może podążyć do swego wnętrza podczas długiej podróży pociągiem, wymyka się spod władzy czasu i przestrzeni, podczas gdy podróżny gapiący się w okno i ziewający z nudy musi przeżyć każdą minutę i każdą milę. Nasza zdolność do zwalczania pasożytów również zależała od zdolności zanurzania się w sobie i podjęcia walki na ich własnym terenie. Człowiek pływający na powierzchni łatwo pada łupem rekinów, ale nurek wyposażony w skafander i pływający w głębinach z harpunem staje się równorzędnym partnerem dla rekina. Stopień, w jakim potrafilibyśmy zanurzyć się w swój umysł, oznaczał zarazem poziom naszych umiejętności pozwalających wkroczyć nam w tę samą co pasożyty, bezkresną i ponadczasową, rzeczywistość. Ponieważ bracia byli w stanie telepatycznie kontaktować się między sobą, to dlaczego my sami nie moglibyśmy nawiązać w ten sam sposób z nimi kontaktu?

Pomysł był prosty, ale jak to zrobić? Każdy, kto wszedłby do naszego pokoju, pomyślałby, że bierzemy udział w jakimś seansie spirytystycznym, siedzieliśmy bowiem z pochylonymi głowami wzajemnie dotykając swych rąk.

Zacząłem pierwszy. Kiedy usiedliśmy, wysłałem mentalnie sygnał:

- Czy jesteście gotowi? - Nie uzyskałem odpowiedzi. Nagle, z ogromnym zadowoleniem usłyszałem w klatce piersiowej jakby głos Reicha pytający:

- Czy jesteś gotów?

Wysłałem mu odpowiedź: - Tak. Czy słyszysz mnie?

Jego głos znowu się pojawił: - Niezbyt dobrze.

Fleishman potrzebował dziesięciu minut, by włączyć się do naszej gry. Przez ten czas potrafiliśmy z Reichem komunikować się dość dobrze. Pewnie dlatego, że jak bracia Grau, wzajemnie się zgraliśmy. Po jakimś czasie potrafiliśmy uchwycić myśli Fleishmana, które podobne

były do krzyku z oddali. Stwierdziliśmy, że potrafimy komunikować się między sobą. Ale czy uda nam się nawiązać kontakt z braćmi Grau?

Minęła pełna intensywnego wysiłku godzina, czułem się jakbym zagubił się w górach i wołał ciągle bezskutecznie o pomoc. Cały czas wysyłałem mentalne sygnały do Louisa i Heinricha Grauów, ale przekształcały się one jedynie w puste słowa, jak gdybym wykrzykiwał tylko ich imiona. Należało wysłać czysty, wyraźny impuls, pozbawiony werbalnej otoczki.

Nagle Reich powiedział:

- Chyba coś mam.

Wszyscy skoncentrowaliśmy się na tym, by odesłać wiadomość, że "odebraliśmy sygnał". I wtedy, z zadziwiającą czystością, która spowodowała, że nieomal podskoczyliśmy, wprost do ucha krzyknął nam:

- Słyszę was. Czego chcecie?

Spojrzelśmy po sobie zdziwieni triumfem. Następnie zamknęliśmy oczy ponownie i skoncentrowaliśmy się jeszcze bardziej. Czysty, jasny głos powiedział:

- Nie wszyscy naraz. Mówcie pojedynczo. Reich, czy ty możesz nadawać? Ciebie słysząc najwyraźniej.

Rozmowa nasza podobna była do jednostronnej komunikacji na trasie Poczdam-Berlin, która raptem udrożniła się i stała się obustronna. Czuliśmy, jak Reich pompuje w kierunku braci Grau informacje na podobieństwo stacji wysyłającej impulsy energii.

- Czy możecie dostać się do Diyarbakiru? - Musiał to powtórzyć z tuzin razy. Słuchając go, bezwiednie wzmacnialiśmy jego sygnały. W pewnej chwili bracia Grau zaprotestowali:

- Pojedynczo!

Po pewnym czasie udało nam się wejść jakby w rytm nadawania Reicha, tak że bez problemu mogliśmy wzmacniać jego sygnały i przesyłać dalej. Natychmiast głos braci przekazał nam słowa:

- Już lepiej. Teraz słyszę was wyraźnie.

Od tego momentu nie mieliśmy już żadnych problemów we wzajemnym porozumieniu. Byliśmy nawet w stanie opisać im sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, tak jakbyśmy rozmawiali przez telefon. Przez cały ten czas pozostawaliśmy w pokoju nieobecni duchem. Byliśmy całkowicie zatopieni w sobie, jak ludzie w trakcie głębokiej modlitwy. Nagle zdałem sobie sprawę, że powód zakłóceń w nadawaniu to fakt, że niewystarczająco zanurzyłem się w swoim umyśle, byłem zbyt blisko powierzchni. Wynikało to z tego, że jeśli zatapiałem się zbyt głęboko w swym umyśle, to po prostu zasypiałem. Język i znaczenie należą do rzeczywistości ciała. Trudno jest je wnieść w głębiny umysłu, tak jak trudno jest wnieść logikę do marzenia sennego. Wspominam o tym,

bowiem wówczas po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z ogromu mej niewiedzy. Owe głęboko skryte obszary mego umysłu zamieszkiwane są głównie przez wspomnienia i marzenia, które dryfują w oceanie umysłu jak ryby. Na tej głębokości niezwykle trudno jest zachować poczucie celu działania, odróżnić rzeczywistość od iluzji. Jednak by skutecznie przekazywać informacje drogą telepatyczną, trzeba "nadawać" właśnie z tej głębokości.

W naszym przypadku nie miało to żadnego praktycznego znaczenia. Fleishman, Reich i ja wzajemnie wzmacnialiśmy się. Takie właśnie doświadczenie - wzajemnego powiązania i wzmacniania - pozwala w pełni zrozumieć słowa "jesteśmy członkami jedni drugich".

Kiedy skończyliśmy rozmowę z braćmi Grau, poczuliśmy się dziwnie szczęśliwi, jakbyśmy obudzili się z jakiegoś głębokiego i spokojnego snu. Fleishman powrócił do dawnego wyglądu. Jego żona, która przyniosła kawę, usiłowała ukryć swą wrogość do mnie i Reicha. Patrzyła na niego ze zdziwieniem i z pewnością zrewidowała swój pogląd na nas. Nawiasem mówiąc, ciekawe jest, że czułość, jaką darzył Fleishman swoją żonę - a była ona od niego o trzydzieści lat młodsza, zaś pobrali się dopiero rok temu - udzielała się Reichowi i mnie, tak że patrzyliśmy na nią z uczuciem będącym mieszaniną pożądania i intymnej wiedzy o jej ciele. Po prostu wpadła w nasz telepatyczny krąg i w pewnym sensie stała się żoną nas trzech (nawiasem mówiąc, pożądanie, którego wówczas z Reichem doświadczyliśmy, nie było zwykłym męskim pragnieniem posiadania kobiety, gdyż - że się tak wyrażę - myśmy ją już przez Fleishmana posiadli).

Około trzeciej nad ranem dziennikarze w helikopterach poczuli się zmęczeni czekaniem na nas. Poza tym liczba ich przekroczyła dopuszczalne normy wyznaczone przez miejskie przepisy bezpieczeństwa powietrznego. Jednak tłum na zewnątrz zbytnio nie zmniejszył się. Ulica zastawiona była samochodami, w których spali dziennikarze. Weszliśmy na poddasze i przystawiliśmy drabinę do świetlika. Około godziny trzeciej dwadzieścia usłyszeliśmy nad domem warkot helikoptera. Szybko otworzyliśmy okno. Po chwili manewrowania spuszczone z helikoptera drabinę sznurową i wówczas Fleishman, Reich i ja wspięliśmy się po niej jak najszybciej, by nie zauważyli nas dziennikarze. Bracia Grau pomogli nam dostać się na pokład i wciągnęli drabinę. Wówczas helikopter z maksymalną prędkością ruszył ku lotnisku... Operacja udała się doskonale. Dziennikarze byli pewni, że nie dysponujemy żadnymi możliwościami wezwania helikoptera, gdyż w samochodach dysponowali urządzeniami podsłuchowymi (zresztą zupełnie nielegalnie). Tak więc, jeśli któryś z nich zauważył helikopter, uznał, że leci nim inny dziennikarz czy też patrol z Sił Bezpieczeństwa Powietrznego. Dotarliśmy na lotnisko bez śladu pogoni. Pilot połączył się drogą radiową z pilotem rakiety. O trzeciej trzydzieści pięć byliśmy w drodze do Paryża. Uznaliśmy, że sprawą wymagającą natychmiastowego rozwiązania jest problem Georgesa Ribota.

Kiedy wylądowaliśmy na Le Bourget, właśnie świtało. Mogliśmy lądować na bardziej dogodnym lotnisku, znajdującym się na Polach Elizejskich, ale wymagało to uzyskania zgody drogą radiową, co z kolei mogło zdekonspirować nas przed dziennikarzami. Zamiast tego wzięliśmy z Le Bourget taksówkę powietrzną. Podróż do centrum zajęła nam dwadzieścia minut.

Było nas teraz pięciu. Nie baliśmy się przypadkowego rozpoznania, bowiem całkowicie panowaliśmy nad sytuacją. Nasze "powiązane" umysły były w stanie utworzyć coś w rodzaju ściany odbijającej uwagę każdego, kto by na nas spojrzeł. Rozumienie czy uchwycenie czegoś jest następstwem spostrzegania (można na przykład "widzieć" czytając coś, ale być nieobecny duchem). Większość rzeczy, na które patrzymy, nie zostaje zapamiętanych, ponieważ nie są tego warte. Właściwie wystarczyło spowodować, by uwaga przypadkowych "obserwatorów" nie zatrzymywała się na nas - przypominało to wciśnięcie kija do pyska psa, by nie gryzł. Byliśmy naprawdę niewidzialni, idąc ulicami Paryża.

Naszą jedyną nadzieją było to, że działamy przez zaskoczenie. Jeśli pasożyty obserwowały nas wcześniej, z pewnością zapobiegłyby spotkaniu z Ribotem. Mógł bowiem zostać ostrzeżony na wiele godzin przed naszym przybyciem. Z drugiej jednak strony poniosły znaczne straty poprzedniej nocy i przez to mogły być mniej czujne. I na to właśnie liczyliśmy.

Wystarczyło sięgnąć po gazetę, by dowiedzieć się gdzie przebywał Ribot. Był bowiem osobą ważną jak nigdy dotąd. W zgubionym przez kogoś egzemplarzu "Paris-Soir" znaleźliśmy informację, że przebywał on w klinice Curel na Boulevard Haussman. Hospitalizowany był z powodu jakiegoś załamania nerwowego. Doskonale wiedzieliśmy, co to oznacza.

Teraz trzeba było tylko użyć siły, choć byliśmy przeciwni takiemu rozwiązaniu. Klinika była zbyt mała, byśmy mogli niepostrzeżenie do niej się dostać. Jednak godzina naszego przybycia - piąta rano - sprzyjała nam. Była nadzieja, że nie spotkamy zbyt wielu ludzi. Zaspany portier patrzył na nas zdumiony zza szyby, pięć umysłów dopadło go i trzymało znacznie mocniej niż pięć rąk. Gapił się na nas niezdolny pojąć, co się dzieje. Fleishman zapytał go łagodnie:

- Czy nie wie Pan, w jakim pokoju znajduje się Ribot?

Skinął głową oszołomiony. Musieliśmy zwolnić uchwyt, by pozwolić mu odpowiedzieć na nasze pytanie.

- Proszę nas do niego zaprowadzić - powiedział Fleishman.

Mężczyzna nacisnął przycisk automatycznego otwierania drzwi i wpuszciliśmy nas. Któraś z pielęgniarek wybiegła nam na spotkanie pytając:

- A dokąd to?

Chwilę później z wdziękiem prowadziła nas korytarzami. Zapytaliśmy, czemu nie ma tu dziennikarzy.

- Pan Ribot ma konferencję prasową o dziewiątej - miała na tyle przytomności umysłu, by dodać:

- Sądzę, że moglibyście do tej godziny poczekać.

Spotkaliśmy dwie pielęgniarki ze zmiany nocnej, które zupełnie nie zdziwiły się na nasz widok, pewnie uznały naszą wizytę za coś normalnego. Specjalny, prywatny pokój Ribota mieścił się na samej górze budynku. Drzwi do niego otwierały się jedynie za pomocą specjalnego kodu. Na szczęście portier znał go. Fleishman powiedział bardzo łagodnie:

- A teraz muszę panią prosić, by zechciała pani poczekać na nas w pokoju obok i nie próbowała uciekać. Nie uczynimy pacjentowi żadnej krzywdy.

Nie było to tak oczywiste, ale trzeba ją było jakoś uspokoić.

Reich odsunął zasłonę, hałas obudził Ribota. Był nieogolony i wyglądał na bardzo chorego. Kiedy nas zobaczył, przez chwilę niemo wpatrywał się w nas, by potem powiedzieć:

- No tak, panowie. Wiedziałem, że mnie odwiedzicie.

Zajrzałem do jego umysłu i to, co zobaczyłem, przeraziło mnie. Był on jak miasto, którego mieszkańcy zostali zmasakrowani, a następnie zastąpieni przez wojsko. Nie było w nim żadnych pasożytów, ich obecność nie była konieczna. Ribot poddał się pasożytom ze strachu. Wkroczyły do jego umysłu i opanowały wszystkie jego struktury nawykowe. Po ich zdewastowaniu był już całkowicie bezbronny, przecież teraz każda czynność musiała być wykonywana z ogromnym wysiłkiem. Większość czynności życiowych wykonujemy w oparciu o nawyki - oddychanie, jedzenie, trawienie, czytanie, reagowanie na innych ludzi. U pewnych osób - na przykład u aktorów - nawyki stanowią rezultat pracy całego życia. Im lepszy aktor, tym bardziej rozbudowane struktury nawykowe, tak że tylko sam szczyt jego sztuki pozostawiony jest wolnej woli. Zniszczyć komuś jego nawyki na jego oczach jest czymś okrutniejszym niż zamordowanie mu żony i dzieci. Oznacza to odarcie go ze wszystkiego. Życie staje się równie niemożliwe, jak gdyby obdarło go ze skóry.

Pasożyty zniszczyły mu nawyki, a następnie zastąpiły je nowymi. Pewne zespoły nawyków zostały zachowane: oddychanie, mówienie, jak również swoisty dla danej osoby styl bycia (co było konieczne, aby przekonać otoczenie, że ma do czynienia z tą samą osobą, że jest w pełni władz umysłowych). Jednak pewne nawyki ulegają pełnej likwidacji - na przykład nawyk głębokiego myślenia. Na to miejsce umieszcza się nową serię reakcji. Byliśmy wrogami i wzbudziliśmy w nim bezgraniczną nienawiść oraz wstręt. Wpływało to, w pewnym sensie, z niego samego: gdyby nie zdecydował się na te uczucia, połowa z zespołów obumarłaby ponownie. Innymi słowy, kiedy poddał się pasożytom, pozostał nadal "wolnym" człowiekiem tylko w tym sensie, że pozostawał przy życiu i mógł dokonywać wyborów między różnymi działaniami. Ale była to świadomość

funkcjonująca na ich warunkach - albo ta, albo w ogóle żadna świadomość. Był posłuszny jak ktoś, kto ma przytknięty do głowy pistolet.

Stojąc przy jego łóżku, nie patrzyliśmy na niego oczami mścicieli. Czuliśmy litość i przerażenie, tak jakbyśmy patrzyli na okaleczone ciało.

Nie odzywaliśmy się. Czterech z nas zmusiło go, przy użyciu sił PK, do leżenia. W tym czasie Fleishman szybko badał zawartość jego umysłu. Nie sposób było stwierdzić, czy może powrócić do stanu poprzedniego, gdyż w dużej mierze zależało to od tego, jakimi siłami dysponuje i czy jest odważny. Jedno było pewne, musiałyby wykrzesać z siebie niezwykle dużo siły i woli, znacznie więcej, niż dysponował w walce przeciw pasożytom, nim skapitulował.

Nie mieliśmy czasu na długie rozważania. Nasza siła przekonała go, że jesteśmy dla niego nie mniej groźni niż pasożyty. Każdy z nas bez trudu wkraczał w struktury jego umysłu, które kontrolowały mechanizmy motoryczne i poznawał je. (Trudno jest to wyjaśnić komuś, kto nie ma zdolności telepatycznych, komunikacja z innymi umysłami zależy od poznania określonej kombinacji, która stanowi odpowiednik długości ich fał mózgowych. Umożliwia to kontrolę na odległość).

Fleishman powiedział mi łagodnie, że jesteśmy nadal jego przyjaciółmi i zdajemy sobie sprawę, iż "pranie mózgu", jakie przeszedł, nie było jego winą. Jeśli nam zaufa, to uwolnimy go od pasożytów.

Następnie wyszliśmy. Pielęgniarka i portier eskortowali nas do samego wyjścia. Wręczyliśmy portierowi napiwek w dolarach (były one w owym czasie obiegową walutą na świecie). Nie minęło pół godziny, gdy byliśmy już w połowie drogi do Diyarbakiru.

Dzięki utrzymaniu mentalnego kontaktu z Ribotem, udało nam się stwierdzić, co stało się po naszym wyjściu. Ani pielęgniarka, ani portier nie mogli w pełni pojąć, jak dali się skłonić do tego, by zaprowadzić nas do Ribota; nie wierzyli, że zrobili to z własnej woli. Nie było więc lamentów ani pościgu. Pielęgniarka poszła z powrotem do Ribota, który nie spał i jak się wydawało, czuł się dobrze. Postanowiła nic nie mówić o naszej wizycie.

Kiedy wylądowaliśmy w Diyarbakirze, Reich powiedział:

- Jest siódma. Za dwie godziny odbędzie się konferencja prasowa. Miejmy nadzieję, że one nie...

Przerwał mu krzyk Fleishmana, który utrzymywał kontakt telepaty czyny z Ribotem. Powiedział:

- Odkryły, co się stało. Atakują!

- Co możemy zrobić? - zapytałem.

Usiłowałem skoncentrować się, wykorzystując wiedzę o mózgu Ribota i próbując nawiązać z nim kontakt, ale bez rezultatu. Jakbym usiłował odnaleźć jakąś stację radiową w aparacie, którego nie włączyłem do sieci.

Zapytałem Fleishmana:

- Czy nadal masz z nim kontakt?

Potrząsnął przecząco głową. Próbowaliśmy kolejno wszyscy, jednak bez rezultatu.

Godzinę później wiedzieliśmy już, co się stało. W wiadomościach telewizyjnych podano, że Ribot popełnił samobójstwo, wyskakując z okna swego pokoju. Czy była to nasza porażka? Trudno powiedzieć. Samobójstwo uniemożliwiło ujawnienie całej sprawy na konferencji prasowej i odwołanie przez niego wcześniejszego "wyznania". Ale zapobiegło także ewentualnym szkodom, jakie mógłby nam jeszcze wyrządzić. Z drugiej strony, gdyby nasza wizyta w szpitalu wyszła na jaw, z pewnością oskarżono by nas o morderstwo...

Nigdy jednak nie wyszła na jaw. Prawdopodobnie pielęgniarka myślała, że byliśmy po prostu natrętnymi dziennikarzami. Widziała po naszym wyjściu Ribota znajdującego się w dobrym nastroju. Tak więc nic o naszej wizycie nie mówiła.

Tego samego ranka, o godzinie jedenastej, zaaranżowaliśmy w specjalnie przygotowanej na ten cel wynajętej sali konferencyjnej spotkanie z prasą. Po obu stronach drzwi stali bracia Grau, Fleishman i Reich, którzy sondowali każdego z wchodzących. To nam się opłaciło. Jedną z ostatnich osób wchodzących do sali był potężny, łysy mężczyzna. Nazywał się Kilbridge i pracował dla "Washington Examiner". Reich skinął w kierunku jednego ze strażników A.I.U. Podszedł on do Kilbridge'a i poprosił go, by poddał się kontroli. Ten jednak zaczął gwałtownie i hałaśliwie protestować wykrzykując, że postępowanie takie wobec niego jest obrazą. Nagle wyrwał się strażnikowi i podbiegł do mnie, sięgając do kieszeni. Całą siłą mego umysłu powstrzymałem go. Trzech strażników rzuciło się na niego i wywlekło go z sali. Znalaziono w jego kieszeni pistolet automatyczny walter załadowany sześcioma nabojami i z jednym znajdującym się z lufie. Kilbridge protestował twierdząc, że broń nosi zawsze dla swojej ochrony, ale jego ewidentną próbę zastrzelenia mnie widzieli wszyscy. (Później sondowaliśmy jego umysł i stwierdziliśmy, że został on zaatakowany przez pasożyty dzień wcześniej, gdy był pijany - miał opinię alkoholika).

Wydarzenie to spowodowało napiętą atmosferę oczekiwania. Na konferencji obecnych było około pięciuset dziennikarzy - tyle tylko mogła pomieścić sala. Reszta obserwowała spotkanie na zewnątrz na ekranach monitorów telewizji przemysłowej. Na podium dołączyli do mnie Reich, Fleishman i bracia Grau - w rzeczywistości ich celem było przebadanie, czy na sali nie ma jeszcze innych potencjalnych zamachowców, a ja głośno przeczytałem oświadczenie następującej treści:

“Dziś celem naszym jest ostateczne ostrzeżenie ludzkości o zagrożeniu większym niż te, w obliczu których kiedykolwiek dotąd stawała. Planeta nasza jest w chwili obecnej obiektem inwazji ogromnej liczby inteligentnych obcych, których celem jest zniszczenie naszego gatunku lub zniewolenie go.

Kilka miesięcy temu, kiedy kierowaliśmy pierwszymi badaniami na Czarnej Górze w Karatepe, profesor Reich i ja dostrześliśmy, że towarzyszą nam niepokojące zjawiska. Byliśmy świadomi siły, która stawiała aktywny opór naszym wysiłkom zmierzającym do odkrycia tajemnicy tego, co znajduje się pod ziemią. W tym czasie zakładaliśmy, że moce te mogą mieć naturę pola sił wywołanego przez paranormalne zjawiska indukowane przez dawno zmarłych mieszkańców, a pozostawione zostały, by chronić ich groby. Obydwaj, ja i Reich, przez długi czas przekonani byliśmy co do tego, że wyjaśnia to, na przykład, trudności, na jakie natknęli się odkrywcy grobu Tutenchamona. Byliśmy przygotowani na ryzyko wywołania tej klątwy, jeśli taka była jej natura, i kontynuowaliśmy badania.

W ostatnich tygodniach przekonaliśmy się jednak, że stoimy w obliczu czegoś znacznie bardziej niebezpiecznego niż klątwa. Jesteśmy przekonani, że uruchomiliśmy siły panujące kiedyś na Ziemi, a obecnie chcące ową dominację przywrócić. Siły te są bardziej niebezpieczne, niż znane dotąd gatunkowi ludzkiemu, ponieważ są niewidzialne i mogą zaatakować bezpośrednio umysł ludzki. Potrafią doprowadzić do obłędu każdą osobę, którą zaatakują i doprowadzić ją do samobójstwa. Są również zdolne do zniewolenia pewnych ludzi i używania ich zgodnie ze swoimi celami.

Jednocześnie wierzymy, że ludzkość nie ma powodu do paniki: w porównaniu z nami jest ich niewiele i jesteśmy świadomi zagrożenia. Walka może być długa, ale, jak sądzę, mamy wszelkie podstawy do tego, by ją wygrać.

Spróbuję obecnie podsumować to, co udało nam się dowiedzieć o pasożytach umysłu...”

Mówiłem przez jakieś pół godziny i opisałem pokrótce większość wydarzeń, wcześniej tu omówionych. Opowiedziałem historię zniszczenia naszych kolegów i to, w jaki sposób został zmuszony do zdrady Ribot. Następnie wyjaśniłem, jak to się dzieje, że jeśli ktoś uświadamia sobie obecność pasożytów, to jest w stanie je pokonać. Zadałem sobie wiele trudu, by uwydatnić fakt, że siły te nie są jeszcze aktywne, że są ślepe i instynktowne. Ważną rzeczą jest to, by uniknąć paniki. Większej części ludzkości pasożyty nie zagrażają i najlepiej byłoby, gdyby się całą sprawą nie przejmowali. Ostatnie piętnaście minut mojej godzinnej przemowy poświęciłem na podkreślanie napawających optymizmem aspektów tej sprawy. Dowodziłem, że zostaliśmy teraz ostrzeżeni, a zniszczenie pasożytów powinno być tylko kwestią czasu.

Spotkanie zakończyło się pytaniami. Niestety, większość z dziennikarzy starała się energicznie dotrzeć do najbliższego videotelefonu, tak że czas pytań był bardzo krótki. Dwie godziny później wiadomości te były na pierwszych stronach gazet.

Prawdę mówiąc, to cała sprawa zaczęła mnie nużyć. Nasza piątka była badaczami przygotowującymi się do odkrycia nowego i fascynującego świata, nie miała żadnej ochoty na marnowanie czasu dla jakichś dziennikarzy. Było to męczące. Uznaliśmy jednak, że jest to najlepszy sposób zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Sądziliśmy, że dla pasożytów najlepszym wyjściem będzie próba zdyskredytowania nas - gdy wszystko będzie toczyło się normalnie przez miesiąc albo przez rok, wówczas wszyscy uznają to za mistyfikację. Ogłaszając nasze oświadczenie właśnie teraz kupowaliśmy czas, a w każdym razie było to naszym zamiarem. Sporo czasu musiało upłynąć, nim zdaliśmy sobie sprawę, że pasożyty były w stanie "wpuścić nas w maliny".

Nasz cel był oczywisty - nie chcieliśmy tracić czasu na pasożyty. Wyobraźmy sobie bibliofila, który otrzymał właśnie paczkę zawierającą długo poszukiwaną książkę; wyobraźmy sobie, że nim zdążył ją otworzyć, przyzywa go jakiś nudziarz i namawia na rozmowę... Pasożyty mogły być największym zagrożeniem, w obliczu którego stanęła kiedykolwiek ludzkość, ale dla nas były one po prostu śmiertelnie nudne.

Ludzie przyzwyczaili się do swych umysłowych ograniczeń, podobnie jak ludzie sprzed trzech wieków do ogromnych uciążliwości w trakcie podróży. Jak czułby się Mozart, gdyby po wyczerpującej, trwającej cały tydzień podróży, ktoś powiedział mu, że w dwudziestym pierwszym wieku tę podróż mógłby odbyć w kwadrans? Tak, byliśmy w sytuacji Mozarta, którego przeniesiono trzy wieki naprzód. Owe podróże umysłowe, które kiedyś były dla nas tak uciążliwe i bolesne, obecnie stały się tylko kwestią kilku minut. Nareszcie zrozumieliśmy, co miał na myśli Teilhard de Chardin, mówiąc, że człowiek znajduje się w przededniu nowej fazy swej ewolucji. My byliśmy już w tej nowej fazie ewolucji. Umysł był jak dziewicza ziemia, jak ziemia obiecana Izraelitów. A jedyne co należało zrobić, to zająć ją... i oczywiście wyrzucić jej aktualnych mieszkańców. Tak więc pomimo naszych obaw i problemów, przed jakimi staliśmy, w ciągu tych dni towarzyszył nam nastrój bliski wręcz ekstazie.

Jak sądziliśmy, mieliśmy przed sobą dwa główne zadania. Pierwsze - to znalezienie nowych "uczniów", ludzi, którzy wspomogliby nas w tej walce. Drugie - to znalezienie sposobu przeprowadzenia ofensywy przeciw pasożytom. W tamtej chwili nie potrafiliśmy sięgnąć ku niższym regionom naszego umysłu, tam gdzie zamieszkiwały pasożyty. Moja nocna bitwa nauczyła mnie, że mogą wezwać moce, mające swe źródła bardzo głęboko. Czy można byłoby zbliżyć się do tego źródła, by przenieść bitwę do obozu przeciwnika?

Reakcjom prasy światowej poświęciłem niewiele miejsca. Jak można było się spodziewać, w większości były one sceptyczne i wrogie. Wiedeńska "World Free Press" napisała wprost, że naszą piątkę powinno się zamknąć w ścisłym areszcie, dopóki nie zostanie wyjaśniona kwestia samobójstw. Z drugiej strony londyński "Daily Express" sugerował, że powinniśmy objąć kierownictwo Ministerstwa Obrony Stanów Zjednoczonych i otrzymać do dyspozycji wszelkie, skuteczne w walce z pasożytami środki.

Jeden z artykułów zaniepokoił nas szczególnie. Ukazał się w "Berliner Tagblatt", a napisany był przez Feliksa Hazarda. Nie ośmieszał całej sprawy, jak się spodziewaliśmy, ani nie bronił "wyznania" Ribota. Sprawiał wrażenie, jakby wierzył w to wszystko, co przekazaliśmy. Ale zadawał jednocześnie pytanie. Jeśli ów wróg ludzkości mógł "opanować" umysł ludzki, to jaką mamy gwarancję, że to my nie jesteśmy niewolnikami pasożytów? Przedstawiliśmy dowody na ich istnienie, ale nie dowodziło to jeszcze niczego. Takie dowody musieliśmy przedstawić. Po tym, co powiedział Ribot, jest wysoce prawdopodobne, że zajmie się nami policja kryminalna... Artykuł był utrzymany w niezbyt poważnym tonie. Hazard sugerował, by potraktować całą sprawę jako żart. Skutek, jaki mógł wyrzucić artykuł, mógł być dla nas niezbyt korzystny. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że Hazard jest agentem wroga.

Jeszcze jedna sprawa wymagała natychmiastowego rozważenia. Jak dotąd nie dopuszczano dziennikarzy do wykopalisk na Czarnej Górze. Ale bez problemu mogliby skontaktować się z robotnikami i żołnierzami tam pracującymi. Należało, o ile to możliwe, uprzedzić ich. Tak więc Reich i ja zaproponowaliśmy wybranym dziennikarzom wizytę na terenie wykopalisk. Zezwoliliśmy na zabranie przez nich kamer. Wydaliśmy instrukcję, by zapewnić wszelkie środki ostrożności przed naszym przybyciem i aby nie wpuszczać wcześniej dziennikarzy na teren wykopalisk.

O godzinie dziesiątej wieczorem pięćdziesięciu dziennikarzy czekało na nas w helikopterach transportowych. Podróż do Karatepe tymi ciężkimi maszynami zabrała nam około godziny. Kiedy przybyliśmy, cały teren był gęsto oświetlony. Dziesięć minut przed naszym lądowaniem ustawiono przenośne kamery telewizyjne.

Nasz plan wydawał się być niezawodny. Planowaliśmy poprowadzić dziennikarzy w dół do bloku Abhotha, który został już w pełni wyeksponowany, i przy użyciu sił PK stworzyć atmosferę zagrożenia i napięcia. Następnie mieliśmy celowo wybrać spośród dziennikarzy osoby najbardziej wrażliwe i nerwowe oraz wywołać wśród nich panikę. To był właśnie powód, dla którego wcześniej nie wspomnieliśmy o naszych zdolnościach paranormalnych. Zdaliśmy sobie bowiem sprawę, że mogą one posłużyć do "zademonstrowania" istnienia pasożytów.

Nie wzięliśmy jednak pod uwagę pasożytów. Tuż przed lądowaniem wydawało mi się, że z drugiego helikoptera, zajmowanego przez dziennikarzy, dobiegają śpiewy. Było to dość dziwne. Przypuszczalnie byli pijani. Bracia Grau, Fleishman, Reich i ja lecieliśmy w pierwszym helikopterze. Kiedy jednak wylądowaliśmy, wyczuliśmy obecność pasożytów i zrozumieliśmy, co się dzieje. Zmieniły metodę swego działania. Zamiast wysysać energię ze swych ofiar, wręcz przeciwnie - dodali jej. Wielu z tych ludzi dużo piło i, jak większość dziennikarzy, nie grzeszyło inteligencją. Z powodu ich "nawyków", "dozowana" im energia umysłowa wywołała taki sam efekt jak alkohol. Kiedy dziennikarze z naszego helikoptera dołączyli do tamtych, udzielił im się ten sam euforyczny nastrój. Słyszałem, jak komentator telewizyjny mówił:

- Tak, Ci chłopcy nie wyglądają na przestraszonych pasożytami. Wydaje się, że traktują całą sprawę jako żart.

Powiedziałem kierownikowi programu, że nastąpi pewne opóźnienie i cofnąłem się wraz z innymi do budynku brygadzysty, położonego po drugiej stronie wykopalisk. Zamknęliśmy drzwi na klucz i skoncentrowaliśmy się na tym, jak można wybrnąć z powstałej sytuacji. Bez trudności weszliśmy ze sobą w kontakt i przygotowaliśmy się do penetracji mózgowi niektórych dziennikarzy. Początkowo trudno było stwierdzić, co się dzieje, nigdy przedtem nie mieliśmy z niczym podobnym do czynienia. Później szczęśliwym trafem natrafiliśmy na dziennikarza, którego częstotliwość fal była identyczna z falami Ribota. Umożliwiło to nam dokładniejsze przebadanie jego procesów mózgowych. Mózg posiada około tuzina ważniejszych ośrodków związanych z zadowoleniem, spośród nich najbardziej znane to: ośrodek seksualny, emocjonalny i społeczny. Istnieje także ośrodek przyjemności intelektualnej oraz subtelniejszy ośrodek związany z samokontrolą i samopoznaniem. Jest jeszcze pięć innych ośrodków, które są prawie nierozwinięte u istot ludzkich, a związane z twórczością poetycką, religijną czy mistyczną.

Pasożyty doenergetyzowały u większości z tych ludzi ośrodki odpowiedzialne za zachowania społeczne i emocjonalne. Fakt, że było ich pięćdziesięciu, dokonał reszty: mechanizm "tłumu" wzmocnił to zjawisko.

Cała nasza piątka skoncentrowała się na dziennikarzu, którego badaliśmy. Bez trudu rozładowaliśmy napięcie w tym obwodzie, redukując je i sprowadzając go do stanu nagłego przygnębienia. Gdy jednak przestaliśmy na niego oddziaływać, powrócił do poprzedniego stanu.

Spróbowaliśmy bezpośrednio zaatakować pasożyty. Był to jednak syzyfowy wysiłek. Znajdowały się poza naszym zasięgiem i nie zamierzały tej kryjówki opuścić. Czuliśmy, że energia skierowana przeciwko nim była bezużytecznie trwoniona. Kpiły sobie z nas.

Sytuacja okazała się poważna. Postanowiliśmy ją opanować poprzez całkowite zdanie się na energię PK. A oznaczało to, że będziemy musieli działać w bezpośredniej bliskości dziennikarzy.

Ktoś zaczął walić w drzwi krzycząc:

- Hej, długo jeszcze będziecie nam czekać?

Tak więc wyszliśmy mówiąc, że jesteśmy już gotowi.

Razem z Reichem szliśmy przodem. Za nami podążali dziennikarze, śmiejąc się radośnie. W tle nieustannie pobrzmiwał głos telewizyjnego komentatora. Fleishman i bracia Grau, zamykający grupę, koncentrowali się na komentatorze. Słyszeliśmy, jak mówił:

- Tak, wszyscy wydają się dość lekceważąco traktować całą sprawę, ale zastanawiam się, na ile jest to poza. Jest tej nocy odczuwane jakieś dziwne napięcie.

W tym momencie wszyscy dziennikarze wybuchnęli śmiechem. Wówczas zaczęliśmy wywierać na nich nacisk swą wolą, wywołując wśród nich uczucie niepewności i nieokreślony lęk. Natychmiast śmiech ustał. Powiedziałem głośno:

- Nie przejmujcie się. Powietrze, co prawda, nie jest tak czyste na tej głębokości, jakby mogło być, ale nie jest też trujące.

Tunel miał wysokość siedmiu stóp i opadał pod kątem około dwudziestu stopni. Na głębokości stu jardów pod ziemią mogliśmy wsiąść do kilku niewielkich, poruszających się po szynach, wagonów. Podczas dziesięciominutowej jazdy nie było słychać nic poza turkotem kół. W czasie jazdy w dół nie potrzebowaliśmy obniżać ich nastroju poprzez naszą ingerencję. Tunel miał w przybliżeniu kształt korkociągu - alternatywą dla tego rozwiązania było tylko przesunięcie jego wlotu o wiele mil od Czarnej Góry i utworzenie następnej bazy, przez co kwestia zapewnienia bezpieczeństwa byłaby podwójnie trudna. Przy każdym zakręcie czuliśmy napięcie bijące od grupy. Bali się, że wibracja wywołana przez przejazd wagonów może spowodować zawalenie tunelu.

Droga do bloku Abhotha zajęła prawie pół godziny. Sam jego wygląd wywierał silne wrażenie - ogromne, czarno-szare bloki wznosiły się nad nami jak skalna ściana.

Teraz z rozmysłem tworzyliśmy atmosferę zagrożenia. Oczywiście, najlepiej byłoby pozwolić działać ich wyobraźni i co najwyżej delikatnie stymulować lęk. Ale pasożyty pompowały w nich energię i rzeczą konieczną stało się paraliżowanie tej części mózgu, która na to reagowała. Wywołaliśmy u nich stan silnego lęku oraz poczucie niechęci. Komentator telewizyjny był najwyraźniej zakłopotany tym, że musiał mówić w tak przerażającej ciszy; szeptał wręcz do mikrofonu:

- Tu na dole panuje nieprzyjemne uczucie duszności. Być może jest to kwestia powietrza.

I wtedy zaatakowały pasożyty. Tym razem nie całą masą, ale w pojedynkę lub co najwyżej dwójkami. Najwyraźniej miały zamiar niepokoić nas, byśmy rozluźnili chwyt. Kiedy tylko skoncentrowaliśmy uwagę na walce z nimi, atmosfera wśród dziennikarzy poprawiła się: wszyscy stali się pogodni. Było to zjawisko niekorzystne dla nas, gdyż traciliśmy kontrolę nad sytuacją. Atakujących w małych grupkach pasożytów prawie nic się nie imało. Nasze zmagania przypominały walkę z cieniem. Najlepszym wyjściem byłoby zignorowanie ich, ale było to równie trudne, jak ignorowanie kąsania kundla po łydkach.

Właśnie wtedy równocześnie wpadliśmy na pomysł wyjścia z sytuacji. Ponieważ byliśmy ze sobą mentalnie powiązani, trudno powiedzieć, kto pierwszy wpadł na niego. Spojrzeliśmy na blok Abhotha oraz na sufit, który znajdował się około trzydzieści stóp powyżej niego. Blok ważył trzy tysiące ton. Bracia Grau unieśli trzydziestotonowy blok w British Museum. Stwierdziliśmy, że warto spróbować. Tak więc po wywołaniu lęku u dziennikarzy zaczęliśmy jednoczyć nasze siły, by podnieść blok.

Początkowo wydawało się to zupełnie niemożliwe, tak samo jak uniesienie go jedynie naszymi rękami. Bracia Grau podsunęli nam jednak klucz, jak można sobie poradzić z tym problemem. Zamiast jednoczyć wysiłki, robili to zamiennie, na początku powoli, później coraz szybciej i szybciej. Zrozumieliśmy, o co im chodzi i włączyliśmy się do tej operacji. W momencie kiedy opanowaliśmy tę sztuczkę, uniesienie bloku stało się dziecinnie łatwe. Moc, którą uzyskaliśmy w ten sposób, działaniem całej piątki, była potężna. Wystarczyła, by unieść dwie mile ziemi, które mieliśmy nad głowami. Blok nagle uniósł się w powietrze i popłynął ku sufitowi. W momencie kiedy blok otarł się o kabel, zaczęło migotać światło. Natychmiast wybuchła panika, a część tych idiotów wbiegła pod blok, inni zaś zostali tam wepchnięci. Przesunęliśmy go na bok, lecz wówczas wszystko spowiła ciemność, gdyż zerwaliśmy kabel. Koniec kabla opadł na ziemię i usłyszeliśmy gardłowy krzyk mężczyzny, który wpadł na niego. Smród palonego ciała wypełnił pomieszczenie i wywołał u wszystkich mdłości.

Ważne było, aby nie poddać się panice. Jeden z nas musiał wycofać swe siły i zepchnąć dziennikarzy w kąt pomieszczenia, tak aby można było jak najszybciej opuścić blok. Nie było to łatwe, gdyż nasze siły były splecione razem, by utrzymać blok w powietrzu. Działaliśmy, że się tak wyrażę, równolegle, a nie szeregowo, podtrzymując blok za pomocą pięcioramiennej alternacji.

Wówczas pasożyty postanowiły przypuścić zmasowany atak. Byliśmy, rzecz jasna, bezbronni. Sytuacja byłaby zabawna, gdyby nie to, że była tak niebezpieczna i gdyby to nie kosztowało już jedno życie ludzkie.

To właśnie Reich zaproponował:

- A czy nie moglibyśmy rozbić go w proch?

Przez chwilę w ogólnym zamęcie nie zrozumieliśmy go. Pasożyty otaczały nas jak armia cieni. Gdy zorientowaliśmy się, o co mu chodzi, pojęliśmy, że jest to jedyne wyjście z sytuacji. Uwolniona przez nas moc była wystarczająca, by unieść bez trudu tysiąc bloków tej wielkości; ale czy starczy jej, by zniszczyć właśnie ten jeden? Próbowaliśmy tego dokonać ściskając go i niszcząc myślą. Automatycznie zwiększyliśmy poziom alternacji. Byliśmy tak pobudzeni, że przestaliśmy prawie zauważać nacisk, jaki na nas wywierają pasożyty. Wtem poczuliśmy, jak blok kruszy się i rozpada na podobieństwo olbrzymiego kawałka kredy miazdzonego w imadle. W ciągu paru sekund to co trzymaliśmy w powietrzu, przeobraziło się w miałki pył. W takiej postaci bez trudu można było wepchnąć blok w tunel. Uczyniliśmy to z taką prędkością, że wytworzony ciąg powietrza wessał nas z powrotem do tunelu, a powietrze wypełniło się na chwilę kurzem.

Z chwilą gdy usunęliśmy blok, zgromadziliśmy siłę, by odeprzeć pasożyty z niecierpliwością człowieka usiłującego zabić muchę. Rezultat był pomyślny - znowu nie miały czasu na odwrót, a my odnosiliśmy wrażenie, że palimy je tak, jak miotacz połamieni pali zeschnięte liście. Następnie Reich wycofał swe siły, unioś luźny koniec kabla i połączył go z drugim końcem. Zapaliło się światło i naszym oczom ukazał się obraz zupełnie zagubionych dziennikarzy. Zablockowany został u nich wszystkich "ośrodek społeczny" w mózgu, tak że czuli się samotni i przerażeni. Powietrze pełne było czarnego pyłu, który wywoływał kaszel. (Musieliśmy odczekać chwilę, by osadził się na podłodze korytarza; abyśmy mogli ruszyć w drogę powrotną, musiał nastąpić dopływ świeżego powietrza). Przyklejone do wiszącego nad naszymi głowami kabla szczątki martwego mężczyzny nadal wydzierały zapach palonego ciała. Atmosfera paniki była przerażająca. Nikt z dziennikarzy nie wierzył, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy powierzchnię Ziemi.

Oddziaływując na nich wspólnie, zdołaliśmy opanować panikę. Następnie kazaliśmy im uformować dwuszeręg i powrócić do kolejki. Reich skoncentrował się na trzech komentatorach telewizyjnych, upewniając się, że ponownie włączyli swe kamery. (Odcięcie prądu naturalnie wyłączyło je). W tym czasie pozostali z nas oczyścili tunel z kurzu, przenosząc go wolno w kierunku powierzchni, gdzie wzniósł się ku niebu. Na szczęście noc była ciemna, a kurz mógł opaść na dużej przestrzeni.

Kiedy znowu wyszliśmy na powierzchnię, wiedzieliśmy, że odnieśliśmy nad pasożytami wielkie zwycięstwo - głównie dzięki przypadkowi. Oczywiście, nie poddały się. Nadal pompowały energię w dziennikarzy. Zdołaliśmy na razie całkowicie przeciwdziałać temu, ale było oczywiste, że nie będziemy w stanie robić tego nadal, gdy się rozejdą. Cały świat ujrzał, dzięki telewizji, co się stało. Na ekranach telewizorów widziano zniknięcie bloku. To co napiszą dziennikarze, nie będzie miało zbyt wielkiego znaczenia. Poza tym był jeszcze jeden czynnik. Owo sztuczne

pobudzenie ośrodków społecznych i emocjonalnych da z pewnością w efekcie reakcję zmęczenia, pewnego rodzaju kaca. Nie mogą trwać w stanie quasi-intoksykacji wiecznie, a ta reakcja będzie nam dobrze służyć.

Było już dobrze po północy, kiedy zasiedliśmy w pięciu do wspólnego posiłku. A.I.U. zapewnił nam specjalne pomieszczenie. Podjęliśmy decyzję, że od tej chwili, zarówno w dzień, jak i w nocy, będziemy razem. W pojedynkę dysponowaliśmy pewną siłą, ale razem siła ta była tysiącrotnie zwiększona, co wykazały zdarzenia minionego wieczoru.

Nie łudziliśmy się, że jesteśmy niepokonani. Byliśmy, być może, bezpieczni w obliczu bezpośredniego ataku pasożytów, lecz wiedziały one doskonale, jak skierować przeciwko nam innych ludzi i było to zagrożenie bardzo realne.

Kiedy następnego ranka przejrzelśmy poranne gazety, nie mogliśmy nie pogratulować sobie zwycięstwa. Ponieważ niemal wszyscy oglądali telewizję, to w pewnym sensie byli też obecni przy zniknięciu bloku. Obawialiśmy się, że niektóre gazety będą wietrzyły oszustwo w tym, co się zdarzyło - w końcu wszystko, czego dokonaliśmy, nie było niczym innym jak tylko wspaniałą, kuglarską sztuczką. Ale nikt nam takiego zarzutu nie postawił. Wiele było historycznych ataków na nas, ale dotyczyły one naszej głupoty w bezmyślnym "uwolnieniu" owych "przeróżających mocy". Wszyscy sądzili, że "Tsathogguany" (za nazwę tę odpowiedzialność ponoszą eksperci od Lovecrafta ze Stanów Zjednoczonych) zniszczyły blok, aby nie dopuścić do tego, by poznano dalsze tajemnice. Wszystkich przeszywał lęk o to, że jeśli były w stanie zniszczyć ważący trzy tysiące ton blok, to równie łatwo mogą zniszczyć całe współczesne miasto. Obawa wzrosła jeszcze, gdy naukowcy odkryli w dzień warstwę bazaltowego kurzu pokrywającego okoliczne zarośla i na tej podstawie słusznie wywnioskowali, że blok w jakiś niepojęty sposób został zdeintegrowany. Nie byli w stanie tego zupełnie wyjaśnić. Można było, oczywiście, dokonać dezintegracji bloku przy użyciu atomowego blastera, ale towarzysząca temu procesowi, uwolniona energia zabiłaby wszystkich znajdujących się w pomieszczeniach. Ponadto nie byli w stanie wyjaśnić, jak można dokonać dezintegracji materii bez podniesienia choćby o stopień temperatury panującej w pomieszczeniu.

Gunner Fangen, przewodniczący ONZ, przesłał nam telegram zawierający pytanie o to, jakie według nas powinno się podjąć kroki przeciwko pasożytom. Czy sądzimy, że należałoby zniszczyć Kadath za pomocą bomby atomowej? Jakiego rodzaju broń byłaby najskuteczniejsza przeciwko nim? Przesłaliśmy mu wiadomość z prośbą o przybycie, co też uczynił w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Tymczasem A.I.U. stało w obliczu poważnych problemów. Oczywiście, reklama jest czymś bardzo pożytecznym, lecz setki czekających na zewnątrz reporterów wytwarzały atmosferę

obleżonej twierdzy, która niezbyt sprzyjała prowadzeniu interesów. Sprawą nie cierpiącą zwłoki stało się znalezienie nowej kwatery. O tym problemie rozmawiałem bezpośrednio z prezydentem USA, Loydem C. Melvillem. Zapytałem go, czy nie mógłby znaleźć nam jakiegoś bezpiecznego miejsca, takiego by nikt nam nie przeszkadzał. Odpowiedział szybko - po godzinie dał nam znać, że możemy przenieść się do Amerykańskiej Bazy Raketowej nr 91 znajdującej się w Saratoga Springs, w stanie Nowy Jork. Wyruszyliśmy tam następnego dnia, to jest siedemnastego października.

Nasza nowa kwatery miała wiele zalet. Ciągłe mieliśmy jeszcze listę dwunastu Amerykanów, których zamierzaliśmy "wtajemniczyć" we właściwym czasie (nazwiska otrzymaliśmy od Remizowa i Spencefielda z Yale). Pięciu z nich mieszkało w stanie Nowy Jork. Zapytaliśmy prezydenta Melville'a, czy moglibyśmy spotkać się z nimi po przybyciu do Bazy nr 91. Byli to Oliver Fleming i Merrill Philips z Laboratorium Psychologicznego Columbia University, Russell Holcroft z Uniwersytetu w Syracuse oraz Edward Leaf i Victor Ebner z Instytutu Badawczego w Albany.

W przeddzień naszego wyjazdu z A.I.U., wieczorem, Fleishman wystąpił w transmitowanym z A.I.U. programie telewizyjnym, podkreślił w nim raz jeszcze, że nie ma powodu do paniki. Twierdził, że pasożyty nie są wystarczająco silne, by zagrozić gatunkowi ludzkiemu. Naszym zadaniem było nie dać im urosnąć w siłę.

Ta "widowiskowa" sfera naszej pracy była dla nas najmniej ważna. Niosła nam tylko zmęczenie. Pragnęliśmy przejść do konkretów - do zbadania siły naszej i pasożytów.

Szybka rakietą, jaką nam zapewnił A.I.U., dotarliśmy w ciągu godziny do Bazy nr 91. O naszej podróży poinformowała telewizja. Prezydent osobiście wyjaśnił powody, dla których umieszczono nas w Bazie. Była ona najlepiej chronionym obszarem Stanów Zjednoczonych - na ten temat istniał dowcip, że łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niż dostać się do Bazy nr 91. Stwierdził, że nasze bezpieczeństwo jest sprawą najwyższej wagi, a każda próba dziennikarzy, by skontaktować się z nami, będzie traktowana jako złamanie zasad bezpieczeństwa obowiązującego w Bazie. Rozwiązywało to, oczywiście, jeden z naszych głównych problemów. Od tego czasu nie musieliśmy już obawiać się śledzących nas helikopterów pełnych dziennikarzy.

Warunki panujące w Bazie nr 91 trudne były do porównania z dyrektorskim pomieszczeniem w A.I.U. Nasze kwatery były barakami zbudowanymi w dwadzieścia cztery godziny przed naszym przybyciem.

Czekało na nas pięć osób - Fleming, Philips, Holcroft, Leaf i Ebner. Wszyscy oni nie mieli skończonych czterdziestu lat. Holcroft nie wyglądał na naukowca. Ponad sześć stóp wzrostu, szczupły, o różowych policzkach i błękitnych oczach. Patrząc na niego, czułem pewne

zakłopotanie. Pozostali wyglądali mi na inteligentnych, panujących nad sobą i z poczuciem humoru. Wraz z dowódcą i szefem bezpieczeństwa Bazy wypiliśmy herbatę. Obydwaj wydali mi się typowymi żołnierzami - dość inteligentni, lecz jednocześnie w jakiś sposób ograniczeni (szef bezpieczeństwa koniecznie chciał wiedzieć, jakie środki ostrożności powinien zastosować wobec szpiegów Tsathogguanów). Postanowiłem im to tak wyjaśnić, by zrozumieli, kto jest naszym wrogiem. Powiedziałem im, że nie atakuje on ani z przodu, ani z tyłu - jest on już wewnątrz nas wszystkich. Sprawiali wrażenie kompletnie zbitych z tropu, aż do chwili gdy generał Winslow, dowódca Bazy, powiedział:

- Sądzę, że chce pan nam powiedzieć, że stworzenia te można przyrównać do zarazków, które dostają się do krwiobiegu?

Odparłem, że rzeczywiście można tak powiedzieć i od tej chwili miałem wrażenie, iż takie ujęcie w sumie ich zadowala. Na całe szczęście szef Bazy do spraw bezpieczeństwa nie podjął żadnych działań zmierzających do dezynfekcji.

Po wypiciu herbaty zabraliśmy naszych pięciu nowych "rekrutów" do zamieszkałego przez nas baraku. Umysł oficera odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Bazy zdradził mi, że pod cementową podłogą naszego pomieszczenia umieścił on na własną rękę wiele mikrofonów podsłuchowych - zaraz po wprowadzeniu się tam zlokalizowałem je i zniszczyłem. Były one, oczywiście, wmurowane w beton na głębokość cala, tak że teoretycznie nie można było ich zniszczyć bez wykucia ich z betonu. W ciągu następnego tygodnia, ilekroć widywałem tego oficera, zawsze patrzył na mnie w jakiś dziwny sposób.

Resztę wieczoru spędziliśmy wyjaśniając naszym "rekrutom" sytuację. Po pierwsze daliśmy im do przeczytania Refleksje Historyczne. Następnie pokrótce opowiedziałem im swą własną historię. Nagraliśmy ją na magnetofon, by w razie konieczności móc ją odtworzyć. Przytoczę tu ostatnie pięć minut tego nagrania, ponieważ jasno określa ono naturę problemu, w obliczu którego zostaliśmy postawieni:

"Tak więc sądzymy, że z zagrożeniem tym może walczyć człowiek posiadający podstawowe przygotowanie w zakresie fenomenologii. Wiemy także, iż główna siła pasożytów wydaje się tkwić w ich zdolności do zaburzenia równowagi panującej w umyśle. (Wyznałem im również, że rozbicie bloku Abhotha było naszym dziełem). Oznacza to, że musimy nauczyć się bronić przed nimi w każdym stanie umysłu. Rodzi to jednak nowy problem, konieczny do rozwiązania możliwie jak najszybciej. Wiemy tak niewiele o duszy ludzkiej. Nie wiemy co dzieje się, gdy człowiek rodzi się lub kiedy umiera. Nie pojmujemy zależności człowieka od czasu i przestrzeni.

Wielka wizja dziewiętnastowiecznych romantyków przyrównywała ludzi «do bogów». Obecnie wiemy, że jest to w zasięgu możliwości ludzkości. Moc potencjalnie tkwiąca w człowieku

jest tak wielka, iż nie możemy nawet jej pojąć. Być równym bogom, oznacza panowanie nad rzeczywistością, zamiast padania ofiarą przypadku. Należy jednak podkreślić, że nie może być mowy o całkowitej kontroli, dopóki istnieją wielkie pytania bez odpowiedzi. Łatwo schwytać w potrzask człowieka chodzącego z głową w chmurach. Dopóty nie zrozumiemy podstaw naszego bytu, dopóki pasożyty mogą planować atak na te właśnie podstawy i zniszczyć nas. Z tego co wiem, pasożyty są równie nieświadome tych kwestii, co i my. Ale nie wolno nam ryzykować przyjęcia takiego twierdzenia. Musimy poznać tajemnicę śmierci, przestrzeni i czasu. Jest to jedyna gwarancja zwycięstwa w tej walce".

Ku memu zdziwieniu - i zadowoleniu - Holcroft okazał się jednym z najpojętniej szych uczniów, jakich kiedykolwiek miałem. Ten jego wygląd niewiniątka był, w pewnym sensie, odzwierciedleniem prawdziwej natury. Wychowały go na wsi dwie niezamężne, uwielbiające go ciotki. W szkole uczył się dobrze. W jakiś naturalny sposób był wielkoduszny, pogodny i nie neurotyczny, a szczęśliwe dzieciństwo pozwoliło mu na zachowanie tych cech. Jako psycholog eksperymentalny nie był zbyt dobry, brakowało mu swoistego "nerwu", którym charakteryzują się wybitni naukowcy. Miał jednak coś znacznie ważniejszego - spontaniczne, instynktowne wyczucie natury. Posiadał osobliwy rodzaj "duchowego" radaru, który umożliwiał mu unikanie wszelkich zagrożeń.

W pewnym sensie wiedział już wcześniej to wszystko, o czym mu mówiłem, lecz dzięki wykładom, to co instynktownie wiedział, nabrało natychmiast dla niego wyraźnego sensu. Pozostali podchodzili do problemu intelektualnie, mozolnie jak pyton połykający szczura, trawili w stanie naukowej ekscytacji to wszystko, co powiedziałem. Holcroft wiedział to instynktownie.

Fakt ten miał o wiele większe znaczenie, niż się mogło początkowo wydawać. Ponieważ Reich, Fleishman, ja sam i bracia Grau byliśmy intelektualistami, nie mogliśmy pozbyć się do końca nawyku używania intelektu do badania umysłu. Prowadziło to do straty czasu - byliśmy jak armia dowodzona przez generała, która odmawia udziału w walce bez uprzedniego sporządzenia dokumentacji w trzech kopiach i o wszystko pyta zwierzchników. Holcroft okazał się rodzajem "medium", oczywiście nie medium spirytystycznym, choć są to sprawy ze sobą ściśle powiązane. Jego domeną nie był duch, lecz instynkt. Już tego samego wieczoru mogliśmy go włączyć do naszego telepatycznego kręgu. Posiadał rodzaj wewnętrznego ucha całkowicie z nami zestrojonego. Wzbudziło to w naszej piątce nową nadzieję. Czy zdoła on wejść głębiej w umysł, niż potrafiliśmy to my? Czy mógł nam dać jakieś pojęcie o tym, do czego zdolne były pasożyty?

Przez następne dwa czy trzy dni większość czasu spędziliśmy w naszym baraku, nauczając naszych "uczniów" tego wszystkiego, co sami wiedzieliśmy. Bardzo przydały się w tym nasze

zdolności telepatyczne. W trakcie zrozumieliśmy, że przeoczyliśmy jeden z najważniejszych problemów fenomenologii. Uczenie człowieka, który przez całe życie miał kompletnie mylny pogląd na swoją własną naturę, prowadzi do zaburzenia panującej wcześniej w jego umyśle równowagi! To tak samo jakby nagle podarować komuś milion funtów, albo też sfrustrowanemu seksualnie mężczyźnie kazać pilnować haremu. Nagle człowiek odkrywa, że przeżycie poetyckiego nastroju jest równie łatwe, jak odkręcenie kurka, albo że można rozpałić w sobie emocje do białości. Zdaje sobie ze zdumieniem graniczącym z szokiem sprawę, że otrzymał klucz do wielkości, a wszyscy - tak zwani - wielcy ludzie tego świata obdarzeni byli ledwie dalekim odbłaskiem mocy przepełniających go obecnie. Ale przez całe swe życie oceniał siebie dość skromnie. Jego stara osobowość posiada pewną spójność nabytą przez trzydzieści czy czterdzieści lat działania nawyków. Nie chce ona ustąpić z dnia na dzień. Jednocześnie nowa osobowość jest także wyjątkowo silna. Staje się on polem bitwy pomiędzy obydwu osobowościami. W zamęcie, jaki powstaje, traci ogromne ilości energii.

Jak już powiedziałem, Holcroft był wspaniałym uczniem, ale pozostali posiadali znacznie silniejszą dawną osobowość. Nie mieli też zupełnie poczucia zagrożenia i niebezpieczeństwa. W końcu, jeśli my przeżyliśmy atak pasożytów, czemu i im nie miałyby się także udać?

Wcale nie obwiniam tych czterech. Zjawisko to było w zasadzie nieuniknione. Każdy uniwersytet staje w obliczu tego problemu: studentów, dla których nowe życie jest tak fascynujące, że nie chcą go marnować na ciężką pracę.

Cała nasza piątka musiała włożyć poważny wysiłek umysłowy w to, aby nie dopuścić, by Fleming, Philips, Leaf i Ebner porzucili wszelką dyscyplinę. Nasze nowe idee miały potężną moc intoksykacji, umysły ich otrzymały taki bodziec, że najchętniej zanurzyliby się w nich, chlapiąc wodą wokół jak szczęśliwi uczniacy w rzece. Kiedy nauczyli się czytać Husserla i Merleau-Ponty'ego, przypomnieli im się scenki z dzieciństwa albo obrazy minionych przygód miłosnych. Ebner był miłośnikiem muzyki, znającym na pamięć wszystkie opery Wagnera i kiedy tylko pozostawiało go się samemu sobie, zaczynał nucić któryś z tematów "Pierścienia" i natychmiast wpadał w rodzaj biernej ekstazy. Philips, mający w sobie coś z Don Juana, wspominał swe przeszłe podboje, aż atmosfera nabrzmiała seksualną ekscytacją, co reszcie z nas zaczęło przeszkadzać. W obronie Philipsa powinienem dodać, że jego miłosne przygody zawsze były poszukiwaniem czegoś, czego nigdy w nich nie znalazł i co nagle teraz odnalazł, tak więc nie potrafił powstrzymać się od ciągłego analizowania przeszłości.

Trzeciego dnia po przybyciu do Bazy nr 91 przyszedł do mnie Holcroft, by porozmawiać:

- Mam wrażenie, że robimy z siebie durniów. Pełen złych przeczuć zapytałem, co przez to rozumie.

- Nie potrafię tego dokładnie określić. Kiedy próbuję złapać długość ich fal (miał na myśli pasożyty), czuję ich ogromną aktywność. Przygotowują się do czegoś.

Było to potwornie frustrujące. Poznaliśmy wielką tajemnicę, ostrzegliśmy świat. A jednak w zasadzie byliśmy nadal takimi samymi ignorantami jak poprzednio. Kim są te stworzenia? Skąd przybyły? Co jest ich ostatecznym celem? Czy są inteligentne, czy też były pozbawione inteligencji, tak jak jest jej pozbawione robactwo w kawałku sera?

Dość często stawialiśmy sobie to pytanie i udało nam się nawet sformułować kilka wstępnych hipotez. Inteligencja człowieka stanowi funkcję ludzkiego dążenia do ewolucji, naukowiec czy filozof łaknie prawdy z powodu zmęczenia wyłącznie ludzką kondycją. Czy wobec tego stworzenia te są inteligentne w takim właśnie sensie? Trudno było w to uwierzyć, jako że były naszymi wrogami. Historia jednak uczy nas, że inteligencja bynajmniej nie daje gwarancji życzliwości. W każdym razie jeśli są to inteligentne stworzenia, to może moglibyśmy zaproponować im ugodę? A może jeśli są inteligentne, to zdały sobie sprawę z tego, że zostały pokonane?

Ale czy zostały zwyciężone?

Po tym jak Holcroft przedstawił mi swoje wątpliwości, zwołałem całą resztę. Był wówczas piękny, ciepły i słoneczny poranek. Spotkaliśmy się zaraz po śniadaniu. Kilkaset jardów dalej grupa lotników w białych skafandrach odbywała ćwiczenia, z oddali dobiegały komendy sierżanta.

Wyjaśniłem im swoje obawy i powiedziałem, że według mnie musimy dołożyć starań, aby dowiedzieć się czegoś więcej o pasożytach. Poprosiliśmy naszych czterech "uczniów", aby spróbowali nawiązać z nami telepatyczny kontakt. Wszystko wskazywało na to, że będzie to niebezpieczne przedsięwzięcie i potrzebujemy wszelkiej, możliwej do uzyskania pomocy. Po półgodzinnych ćwiczeniach Leaf oświadczył nagle, że łapie nas całkiem wyraźnie. Pozostali byli tak wyczerpani, że kazaliśmy im przerwać próby i rozluźnić się. Nie powiedzieliśmy im tego co najbardziej leżało nam na sercu: w wypadku ataku pasożytów będą narażeni na największe niebezpieczeństwo, jako że nie mieli żadnego doświadczenia w korzystaniu z własnego umysłu.

Zastłoniliśmy okna, zamknęliśmy drzwi i siedliśmy wszyscy razem, by się skoncentrować. Byłem tak już do tego przyzwyczajony, że wykonywałem wszystko bez mała automatycznie. Pierwszy krok jest identyczny z tym, jaki podejmuję, gdy chcę zasnąć - jest to całkowite oderwanie się od zewnętrznego świata i zapomnienie o ciele. W kilka sekund później podążyłem już w ciemność mego umysłu. Następny krok wymagał pewnego doświadczenia. Musiałem oderwać się od zwykłej osobowości fizycznej. Inteligentna część mojej jaźni miała pozostać czynna i przytomna, by wejść w świat marzeń i wspomnień.

Operacja ta przypomina w pewnym sensie to co się dzieje podczas sennych koszmarów, kiedy mówimy sobie: "To tylko sen, przecież śpię w swoim własnym łóżku; tylko muszę się obudzić". Nasze dzienne "ja" jest obecne, ale czuje się zagubione w świecie fantasmagorii. Wkrótce odkryłem, że potrafię przedrzeć się przez warstwę snów, utrzymując przy tym pełną tego świadomość - jest to trudna sztuka, gdyż ludzie używają ciała jako osobliwego rodzaju reflektora świadomości. Warstwa marzeń sennych w umyśle stanowi dziwny, milczący świat; człowiek czuje się tam jakby pływał pod powierzchnią morza. Dla kogoś początkującego może to być najbardziej niebezpieczna część doświadczenia. Ciało zachowuje się jak kotwica umysłu. W jednym ze swych wierszy Yeats dziękuje Bogu za to, że "ma ciało wraz z jego głupotą", jako ochronę przed koszmarami sennymi. Ciało jest rodzajem ogromnego balastu powstrzymującego myśli przed rozprzecznięciem się na wszystkie strony. Przypomina to trochę spacer po Księżycu, gdzie waży się zaledwie kilka funtów. Jeśli postawi się normalny krok, to fruwa się po powierzchni jak balon. Myśli także mogą osiągnąć demoniczną energię, jeśli tylko uwolni się je od balastu ciała. Myśli osoby o chorobliwym umyśle stają się natychmiast przerażającymi diabłami. I dopóki nie dowie się ona, że są to jej własne myśli i że nie istnieją one bez niej, łatwo może wpaść w panikę, co tylko zdecydowanie pogorszy całą sytuację. Przypomina lotnika, który ma pikować, a który bezwiednie pcha drążek sterowniczy ku przodowi.

Podczas kiedy opadałem łagodnie w dół poprzez krainę moich snów i marzeń, usilnie starałem się być wobec nich obojętny, po prostu ignorować je. Gdybym popełnił błąd i skoncentrował się na którymś z nich, to rozrósłby się on natychmiast, stając się autonomicznym wszechświatem. Przykładowo napotkałem zapach tytoniu fajkowego "Ginger Tom", który palił mój dziadek. Upłynęło trochę czasu, nim sobie to przypomniałem, zatrzymałem się i pozwoliłem, by uwaga zatrzymała się na tym doświadczeniu. Natychmiast pojawił się obraz dziadka i jego ogrodu przy domu w Lincolnshire. Ponieważ w gruncie rzeczy byłem wówczas w tym ogrodzie, odtworzony był w takich szczegółach, że w innych okolicznościach dałbym się przekonać, iż jestem w nim rzeczywiście. Kosztowało mnie wiele wysiłku, by to wydarzenie wymazać i za moment opadłem w promieniującą ciepłem ciemność.

Ciemność jest pełna życia, które nie jest prostym odbiciem życia ciała. Jest to życie, które jak elektryczność przenika Wszechświat. Tak więc niższe pokłady umysłu traktuje się jako "wylęgarnię". Panuje tam wyczuwalny, intensywny nastrój ciepła i niewinności. Jest to osobliwy świat dzieci pozbawionych ciała.

Poniżej "wylęgarni" znajduje się pustka, podobna do pustki międzygwiazdnych przestrzeni. Jest to nicość. Obszar szczególnie przerażający, w którym łatwo się zagubić. W trakcie pierwszych eksperymentów osiągając go zawsze zasypiałem, budząc się dopiero po wielu godzinach. Nie ma

tam nic, co mogłoby w czymkolwiek być podobne do świata rzeczy i indywidualów, tak że wystarczy moment nieuwagi, by zerwać nić świadomości.

Dalej nie udało mi się dotrzeć. Co więcej, przebywając w tym świecie nicości, musiałem co pewien czas wznosić się ku "wylęgarni", by tam ponownie zogniskować swoją uwagę.

Przez cały ten czas nasze mózgi pozostawały w telepatycznej łączności. Nie oznacza to, że cała nasza siódemka płynęła, że tak się wyrażę, ramię w ramię. Oznacza to tyle, że byliśmy w stanie pomagać sobie wzajemnie dzięki osobliwej, wzajemnej kontroli na odległość. Gdybym zasnął w ogrodzie dziadka, pozostali mogliby mnie obudzić. Jeśli któryś z nas zostałby zaatakowany, wszyscy natychmiast "obudzilibyśmy się", by wspólnie odeprzeć atak. Lecz na tych głębokościach odbywało się podróż samotnie.

To właśnie wówczas - dzięki łączności z Holcroftem - dowiedziałem się, że schodzi on nadal w dół. Byłem pełen podziwu dla niego. Na tej głębokości pozbawiony byłem zupełnie balastu. Świadomość podobna była do bąbla, który samoistnie unosił się ku górze. Wiedziałem, że musi istnieć sposób na to, by zejść niżej, ale aby go poznać, potrzebowałem wielu prób i ćwiczeń. W sytuacji kiedy jedyne na co mnie było stać, to utrzymanie poczucia własnej świadomości, nie miałem możliwości na taką naukę. Holcroft najwyraźniej poznał ten sposób.

W tym rejonie umysłu nie istnieje w zasadzie poczucie czasu - czas tam płynie i jednocześnie stoi w miejscu (jeśli można to tak wyrazić). Ponieważ nie istnieje ciało, które by się niecierpliwiło, nie ma nic nienaturalnego w tym trwaniu w czasie. Stwierdziłem, że nigdzie w pobliżu nie ma pasożytów, tak więc po prostu uważnie czekałem. Wkrótce zorientowałem się, że Holcroft wraca. Uniosłem się łagodnie ku górze, poprzez krainę snów i wspomnień, i powróciłem do królestwa świadomości fizycznej po upływie pół godziny od czasu rozpoczęcia eksperymentu. Holcroft nadal był nieprzytomny. Otworzył oczy dopiero po dziesięciu minutach. Był błądy, ale oddychał spokojnie.

Patrzył ze spokojem, z którego wywnioskowaliśmy, że nie ma nam nic specjalnego do przekazania.

- Nie mogę zrozumieć. Tam na dole nie ma prawie nic, można by uznać, że chyba wyniosły się.

- Nie widziałeś ich w ogóle?

- Nie. Raz czy dwa miałem wrażenie, że są gdzieś w pobliżu, ale wydawało mi się, że jest ich niezwykle mało.

Wszyscy odnieśliśmy podobne wrażenia. Fakt ten powinien dodać nam otuchy, ale jakoś nikt z nas nie wydawał się z tego zbyt zadowolony.

W południe, po raz pierwszy od trzech dni, włączyliśmy telewizor, by wysłuchać wiadomości. I wówczas dowiedzieliśmy się, czym zajęte były przez ostatnie trzy dni pasożyty.

Okazało się, że Obafeme Gwambe zamordował Nkumbula, Prezydenta Zjednoczonej Afryki, oraz dokonał zamachu stanu, który uczynił go panem Capetown i Adenu. Następnie pokazano fragmenty przemówienia Gwambe, które wygłosił przez radio po przewrocie. Spojrzeliśmy na siebie. Jego głos był osobliwie ekspresyjny, tak jakby odczytywał tekst wyuczony na pamięć, a sam był na tyle zmęczony, że nie potrafił tego uczynić wystarczająco poprawnie.

“Przez zbyt wiele lat Czarni patrzyli na siebie jako na gorszy gatunek Białych. Należy z tym skończyć. Czarni wiedzą, że są lepsi od Białych pod każdym względem. Są silniejsi, lepsi pod względem seksualnym, a ich mózg może pracować dłużej bez zmęczenia. Wiek XXI będzie wiekiem Czarnych...”

I tak dalej. Niewątpliwie był to podżegający tekst, a Gwambe mówił w przekonujący sposób. Było coś hiperpoprawnego w głosie Gwambe i przypominało aktora, który odtwarza swą kwestię po wielokrotnym wyuczeniu.

Przemówienie kończyło się następującymi słowami adresowanymi do nas:

“Biali myślą, że odnaleźli nowy sposób na otumanienie Czarnych. Zmyślili historyjkę o strzygach, zwanych Sagothuans (Gwambe pomylił się w nazwie), które najechać miały Ziemię. No cóż, czy ktoś widział te strzygi? Nie! A to dlatego, że one nie istnieją. Oto jeszcze jeden sposób, za pomocą którego Biali pragną przeciwdziałać pojawieniu się w umysłach Czarnych ich żądań”.

Następnie Gwambe przeszedł do odczytywania listy “praw” Czarnych. Każdy kraj, w którym mieszkała liczna populacja czarnych, winien przekazać władzę nad częścią swego terytorium czarnym mieszkańcom i zezwolić im na utworzenie niezależnego rządu. Ameryka miała przekazać Teksas i Kalifornię. Anglia swe południowe terytoria wraz z Londynem. Czarni w Europie mieli otrzymać albo Włochy, albo Polskę, względnie Austrię.

Tymi detalami nikt, oczywiście, nie zwracał sobie głowy. Był to niewątpliwie z jego strony blef. To co nas niepokoiło, to fakt, że Gwambe był najwyraźniej pod kontrolą pasożytów. Zналиśmy je teraz wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że lekceważenie ich było najgroźniejszym z błędów.

Pojęliśmy ich zamysł: w końcu była to polityka sterowana przez nie z takim powodzeniem przez ostatnie dwa wieki. Odwrócenie uwagi ludzkości od istotnych spraw za pomocą wojen. Przez dwa stulecia ludzkość pracowała nad tym, by zmienić stan swej świadomości i od dwóch stuleci pasożyty zajmowały ich myśli czym innym.

Siedliśmy i do późnej nocy dyskutowaliśmy. Nowa sytuacja w oczywisty sposób domagała się natychmiastowego działania. Ale jakiego? Wszyscy mieliśmy złe przeczucia. O trzeciej nad ranem położyliśmy się spać. O piątej zbudził nas Holcroft i powiedział:

- One coś planują. Czuję to. Myślę, że lepiej będzie, jeśli opuścimy to miejsce.
- Dokąd mamy się udać?
- Do Waszyngtonu. Sądzę, że lepiej stanie się, jeśli porozmawiamy z prezydentem.
- Co to da?

Reich odparł:

- Nie wiem. Ale czuję, że siedząc tu marnujemy czas.

Nie było sensu odkładać tego na później. Mimo iż pozostała jeszcze godzina do świtu, udaliśmy się do helikoptera, który otrzymaliśmy do dyspozycji od rządu Stanów Zjednoczonych. Świt pozwolił nam dostrzec w dole proste i długie ulice Waszyngtonu. Wylądowaliśmy na ulicy obok Białego Domu. Podbiegł do nas żołnierz pełniący straż z atomową bronią, teraz skierowaną na nas. Był młodym człowiekiem i bez trudu przekonaliśmy go, że lepiej będzie, jeśli przyprowdzi swego zwierzchnika. Tymczasem przestawiliśmy helikopter na trawnik przed Białym Domem. Była to jedna z bardziej miłych stron posiadania mocy - zwykłe przeszkody po prostu zniknęły.

Przekazaliśmy oficerowi wiadomość dla prezydenta, a następnie udaliśmy się w poszukiwaniu miejsca, gdzie można byłoby napić się kawy. Dla przypadkowych przechodniów cała nasza jedenastka musiała wyglądać na jakąś delegację handlową. Znaleźliśmy dużą, przeszkloną restaurację, gdzie zajęliśmy dwa stoliki i gapiliśmy się na ulicę. Kiedy siedzieliśmy, zajrzałem w umysł Ebnera. Poczul to i uśmiechnął się do mnie:

- To śmieszne. Powiniennem myśleć o niebezpieczeństwie grożącym gatunkowi ludzkiemu i o mieście rodzinnym, urodziłem się w Waszyngtonie. Zamiast tego odczuwam rodzaj pogardy dla ludzi spacerujących ulicą. Wszyscy oni śpią. To co się z nimi stanie, wydaje się być bez znaczenia...

Reich odparł z uśmiechem:

- Nie zapomnij, że tydzień temu byłeś jednym z nich.

Zatelefonowałem do Białego Domu i dowiedziałem się, że jesteśmy zaproszeni na śniadanie z prezydentem na dziewiątą. W drodze powrotnej, idąc przez tłum zmierzający do pracy, poczuliśmy nagle lekkie drganie chodnika. Spojrzeliśmy na siebie, a Ebner zapytał:

- Trzęsienie ziemi?

Reich odparł:

- Nie. To wybuch.

Przyśpieszyliśmy kroku i dotarliśmy do Białego Domu o 8.45. Zapytałem oficera, który wyszedł nam na spotkanie, czy ma jakieś informacje o eksplozji. Pokręcił głową i zapytał:

- Jaki wybuch?

Odpowiedź na nasze pytanie uzyskaliśmy dwadzieścia minut później, zaraz po tym, jak siedliśmy do śniadania. Wywołano prezydenta. Kiedy wrócił, był blady, a głos mu drżał. Powiedział:

- Panowie, pół godziny temu zniszczono Bazę nr 91.

Nikt z nas tego nie powiedział, ale ta sama myśl pojawiała się jednocześnie u wszystkich: Ile czasu upłynie, nim pasożyty nas dopadną?

Zarówno Reich, jak i Holcroft napisali szczegółowe sprawozdanie z owego spotkania u prezydenta, tak że ograniczę się do skróconego jego opisu. Widzieliśmy, że prezydent jest na granicy zapaści, tak więc za pomocą metod, do których tak często sięgaliśmy, uspokoiliśmy go. Melville nie był człowiekiem zdecydowanym. Był znakomitym prezydentem na czas spokoju, świetnie panował nad administracją, ale nie był człowiekiem potrafiącym stawiać czoła kryzysowi na skalę światową. Jak się okazało, był tak wstrząśnięty tymi informacjami, że zapomniał skontaktować się z dowództwem armii, aby zarządzić stan pełnej gotowości systemu obronnego Ameryki. Szybko podsunęliśmy mu tę myśl. Z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że system wczesnego ostrzegania gwarantuje wykrycie pocisku z głowicą atomową przemieszczającego się z szybkością mili na sekundę.

Melville łudził się, że eksplozja w Bazie nr 91 wywołana została przez jakiś wypadek, na przykład przez wybuch rakiety przeznaczonej do lotu na Marsa, którą właśnie tam konstruowano. (Paliwo zasilające miało siłę niszczenia równą bombie mogącej zniszczyć pół stanu Nowy Jork). Wyraźnie powiedzieliśmy mu, że taki przypadek jest bardzo mało prawdopodobny. Eksplozja była robotą pasożytów i z całą pewnością działały one rękami Gwambe. Odparł, że w takiej sytuacji Ameryka skazana jest na atomową wojnę z Afryką. Wyjaśniliśmy mu, że sprawy niekoniecznie muszą przybrać taki obrót. Eksplozja miała na celu zabicie nas. Tylko łut szczęścia nas uratował - i przecucie Holcrofta. Gwambe nie będzie miał już drugi raz takiej samej okazji. A więc, póki co, Melville może udawać, że wierzy, iż wybuch spowodowany był awarią rakiety przygotowanej do podróży na Marsa. Jedno jednak było oczywiste. Musimy skupić jak największą liczbę inteligentnych ludzi, zdolnych rozwiązać problem pasożytów umysłu, i uformować z nich pewnego rodzaju armię. Gdybyśmy dysponowali wystarczająco liczną grupą ludzi posiadających zdolności psychokinezy, to bylibyśmy w stanie zniszczyć rebelię Gwambe w zarodku. Na razie jednak musieliśmy znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pracować w spokoju.

Pokrzepiliśmy na duchu prezydenta życząc mu, by znalazł w sobie dość sił i moralnej odwagi w obliczu kryzysu. Zajęło to nam całe przedpołudnie. Melville musiał wystąpić przed kamerami telewizyjnymi i oświadczyć, iż sądzi, że eksplozja była dziełem przypadku. (Zniszczyła ona obszar o promieniu trzydziestu mil - nic więc dziwnego, że odczuwaliśmy wstrząsy w Waszyngtonie). Bardzo złagodziło to panujące wśród ludzi napięcie. Następnie cały amerykański system obronny musiał zostać starannie sprawdzony, a Gwambe - otrzymać poufne ostrzeżenie, że w wypadku kolejnego ataku nastąpi natychmiastowy odwet. Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli ujawnimy fakt, iż wszyscy pozostaliśmy przy życiu. Przed pasożytami nie sposób było tego ukryć. Oświadczenie zaś, że zginęliśmy, mogłoby wywołać niekorzystne nastroje ludzi, gdyż to właśnie od nas oczekiwali przywództwa w tej walce.

Do wczesnego obiadu usiedliśmy razem w ponurym nastroju. Nie wydawało się możliwe, abyśmy wygrali tę batalię. Jediną nadzieją było dopuszczenie kolejnych stu osób do naszego kręgu wtajemniczonych, a następnie próba zgładzenia Gwambe tą samą metodą, której użyliśmy wobec Georgesa Ribot. Najprawdopodobniej jednak byliśmy pod stałą obserwacją pasożytów. Nic nie mogło ich powstrzymać przed manipulacją zachowania przywódców innych państw, tak jak kierowały działaniem Gwambe. W gruncie rzeczy mogło to dotyczyć nawet Melvilla! Nie było co marzyć o tym, by i jego wtajemniczyć w sprawę. Podobnie jak dziewięćdziesiąt pięć procent przedstawicieli gatunku ludzkiego nie był on w stanie pojąć tego problemu. Cały czas groziło nam niebezpieczeństwo... Nawet podczas spaceru ulicą. Pasożyty mogły zdobyć władzę nad którymś z przechodniów i użyć go przeciwko nam jako pocisku. Jeden przechodzień posiadający atomowy pistolet, mógł zrobić z nami prędko porządek.

Wtedy odezwał się Reich:

- Szkoda, że nie możemy po prostu przenieść się na inną planetę i zapoczątkować nową rasę ludzi.

W zamierzeniu nie miała to być poważna uwaga. Wiedzieliśmy, że w naszym Układzie Słonecznym żadna planeta nie nadawała się do zamieszkania: zresztą Ziemia nie posiadała odpowiedniego statku kosmicznego, który mógłby przewieźć ludzi na odległość pięćdziesięciu milionów mil, jaka nas dzieliła od Marsa.

A jednak... czyż nie było to najlepsze rozwiązanie problemu naszego bezpieczeństwa? Ameryka dysponowała wieloma raketami, które mogłyby przewieźć pięćset osób na Księżyc. Ponadto istniały trzy stacje orbitalne. Pozostając na Ziemi, bylibyśmy ciągle zagrożeni przez pasożyty. Tam na zewnątrz, kiedy bylibyśmy sami w przestrzeni kosmicznej, zagrożenie to by zniknęło.

Tak, nie da się ukryć, było to najlepsze rozwiązanie. Natychmiast po obiedzie Reich, Fleishman i ja udaliśmy się do prezydenta, by wyjaśnić mu naszą koncepcję. Jeśli pasożytom uda się nas zniszczyć, Ziemia i tak byłaby zgubiona. Pasożyty, jeśli wygrają tę walkę, bez wątpienia zniszczą wszystkich, którzy staraliby się ponownie dotrzeć do naszej tajemnicy. Jedyna nadzieja Ziemi leżała w wyrażeniu zgody na to, by około pięćdziesięciu z nas wsiadło do rakiety i spędziło kilka najbliższych tygodni na jednej ze stacji. Być może udałoby nam się w tym czasie zdobyć wystarczającą siłę, by stawić czoła pasożytom. Jeśli nie, to podzielilibyśmy się na małe grupki szkoleniowe, z których każda wzięłaby następne pięćdziesiąt osób w Kosmos. W końcu stworzylibyśmy armię zdolną zwyciężyć.

Jeden z historyków zasugerował, abyśmy "przyjęli" władzę nad umysłem Melvilla, jak pasożyty uczyniły to z Gwambe, i zmusili go do wyrażenia zgody na wszystko, o co poprosimy. W sytuacji kryzysu, jaka zaistniała, krok taki byłby nawet uzasadniony; ale nie było potrzeby, by w tym kierunku podjąć jakiegokolwiek działania. Melville akceptował wszystkie nasze sugestie - kryzys po prostu go przeraził.

Wspomniałem już wcześniej, że Spencefield i Remizów dostarczyli nam listę dwunastu osób, które można by dopuścić do naszego kręgu. Jak dotąd zrealizowaliśmy ten zamysł tylko w połowie. Co więcej, Holcraft, Ebner i pozostali mieli własne sugestie w tym względzie. W rezultacie późnym popołudniem rozmawialiśmy z trzydziestoma osobami, z których wszyscy zgodzili się do nas przyłączyć. Siły powietrzne USA ściśle współpracowały z nami w kwestii przywiezienia ich do Waszyngtonu, tak że następnego ranka, o godzinie ósmej, nasza grupa rozrosła się do trzydziestu dziewięciu osób. Powinno nas być czterdziestu jeden, ale samolot wiozący dwóch psychologów z Los Angeles rozbił się nad Wielkim Kanionem. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co było przyczyną wypadku, ale łatwo było się tego domyślić.

Prezydent tak to zorganizował, że mogliśmy opuścić Ziemię następnego popołudnia z kosmodromu w Annapolis. Tymczasem przerobiliśmy z naszymi dwudziestoma ośmioma nowymi uczniami bardzo intensywny kurs fenomenologii. Jak stwierdziliśmy, praktyka zaowocowała tym, że byliśmy w tych sprawach doskonali albo prawie doskonali. Być może ogólna atmosfera kryzysu również i w tym względzie pomogła. (Z pewnością wywołała zdumiewającą zmianę u Merrla, Philipa, Leafa i Ebnera). Nim minął dzień jeden z naszych nowych rekrutów zademonstrował pierwsze efekty użycia PK na popiele z papierosa.

Jednak ciągle jeszcze mieliśmy złe przeczucia. Było to bardzo nieprzyjemne uczucie - tak jakby coś zagrażało nam zarówno z zewnątrz, jak i z wewnątrz. Czuliśmy się pewnie, gdyby chodziło o jakiegoś konkretnego wroga. Frustrująca była natomiast świadomość, że pasożyty

mogły użyć przeciwko nam jakiegokolwiek człowieka spośród kilku bilionów ludzi. Wywoływało to u nas swoisty efekt bezradności, taki jaki ma miejsce, gdy szuka się "igły w stogu siana". Muszę także przyznać się do tego, że przez cały czas pobytu w Waszyngtonie sprawowaliśmy ścisłą kontrolę nad prezydentem. Przejęcie kontroli nad jego ośrodkami w mózgu było zbyt łatwe dla pasożytów.

Tymczasem Gwambe odnosił przerażające sukcesy w Afryce. Ostrzeżenia Stanów Zjednoczonych użył po prostu do celów propagandowych - biali znowu usiłują zastraszyć czarnych. Tempo, z jakim rewolta ta się rozpowszechniła, wykazywało niezbitcie, że pasożyty uczyniły z Afryki obszar zmasowanej inwazji na umysł ludzki. Bez konsultacji ze swymi oddziałami generałowie murzyńscy podporządkowali się Gwambe. Trzy dni wystarczyły, aby został on niepisany panem Zjednoczonych Stanów Afryki.

Całą poprzedzającą opuszczenie Ziemi noc spędziłem na bezsennych rozmyślaniach. Ostatnio potrzebowałem zaledwie kilku godzin snu. Rezultatem zbyt długiego snu było osłabienie sił umysłowych i kontroli nad świadomością. Tym razem jednak musiałem stawić czoła problemowi, który drażnił mnie i męczył. Miałem wrażenie, że przeoczyłem coś bardzo ważnego.

Owo niejasne wrażenie towarzyszyło mi od czasu tej nocy, podczas której pasożyty zniszczyły wszystkich poza naszą piątką. Wydawało się, że w pewnym sensie od tego czasu utknęliśmy w martwym punkcie. Tak, wygraliśmy z nimi rozmaite pomniejsze bitwy, a jednak czuło się, że nasze największe sukcesy należą do przeszłości. Tym bardziej wydawało się to dziwne, że wszystko wskazywało na to, iż tamtej nocy, podczas której stoczyliśmy walkę, wycofały się.

Funkcjonowanie zwierząt podobne jest do maszyn, życie ich opiera się na odruchu i nawyku. Ludzie w znacznej mierze są także maszynami, ale posiadają również pewien poziom świadomości, który oznacza w istocie pozbycie się nawyku, umiejętność dokonywania czegoś nowego i oryginalnego. Dręczyło mnie więc przygnębiające wrażenie, że owe "coś", które przeoczyłem, jest jednym z tysięcy nawyków, które ciągle traktujemy jako coś niepodważalnego. Walczyłem o zwiększenie kontroli nad świadomością, ale przeoczyłem jakieś głęboko zakorzenione nawyki będące przeszkodą dla prawdziwej kontroli.

Spróbuję to bliżej wyjaśnić. To co mnie niepokoiło, związane było z tym przeogromnym napływem energii witalnej, dzięki której pokonałem pasożyty. Pomimo wysiłków, jakie podejmowałem, by uchwycić jej źródło, ciągle mi ono umykało. Większość ludzi stwierdza, że nagłe zagrożenie uruchamia wewnętrzne siły, których istnienia nigdy sobie nie uświadamiali. Wojna, na przykład, może przemienić hipochondryka w bohatera. Dzieje się tak dlatego, że siły życiowe większości ludzi kontrolowane są przez podświadomość, i są to siły, z których istnienia

nie zdają sobie oni sprawy. Ale ja wiedziałem o ich istnieniu. Mogłem zejść w głąb własnego umysłu, jak inżynier schodzący do maszynowni. A jednak nie mogłem przedostać się do źródła prawdziwej siły wewnętrznej. Dlaczego? Krytyczna sytuacja podczas mojej walki z pasożytami umożliwiła mi przywołanie tych potężnych energii. W fakcie, że nie potrafiłem dotrzeć do korzeni swej mocy witalnej, było coś niedorzecznego.

Przez całą noc zmagalem się z tą kwestią, próbowałem zanurzyć się coraz głębiej w umysł. Istniały jednak jakieś niewidzialne przeszkody albo być może była to po prostu moja słabość i brak konsekwencji. Zdawało się, że pasożyty nie mają z tym nic wspólnego, nie zauważyłem obecności ani jednego z nich. O świcie czułem się zmęczony, mimo to jednak udałem się z Reichem, Holcroftem i braćmi Grau na kosmodrom w Annapolis, aby dokonać ostatecznej lustracji. Całe szczęście, żeśmy to uczynili. Pod pretekstem zadania rutynowych pytań sprawdziliśmy cały personel przygotowujący raketę. Wydali się być w najwyższym stopniu przyjaciele i uczciwi. Pytaliśmy ich, jak przebiegały prace. Odpowiedzieli, że były to rutynowe czynności i przebiegały bez żadnych niespodzianek. Holcroft, który przez cały czas obserwował nas, sam nic nie mówiąc, w pewnym momencie nagle zapytał:

- Czy wszyscy członkowie zespołu są tu obecni?

Pułkownik Massey, odpowiedzialny za zespół, kiwnął głową:

- Wszyscy inżynierowie są obecni. Holcroft jednak dalej nalegał:

- A poza inżynierami?

- Brakuje tylko jednej osoby. Ale nie jest ona ważna, to Kellerman, asystent pułkownika Gosta. Ma dziś rano wizytę u psychiatry.

Głównym zadaniem Gosta było programowanie pokładowego komputera, który koordynował pracę rakiety: dozowanie paliwa, temperaturę, kontrolę powietrza, itd.

Powiedziałem wymijająco:

- Wiem, że nie jest to ważne, ale chcielibyśmy się z nim spotkać. To rutynowa sprawa.

- Ależ pułkownik Gosta wie znacznie więcej od niego. Jest w stanie udzielić odpowiedzi na każde pytanie.

- No tak, ale mimo wszystko chcielibyśmy go zobaczyć.

Połączono się więc z psychiatrą Bazy, który powiadomił nas, że Kellerman wyszedł od niego pół godziny temu. Sprawdzono to w wartowni i okazało się, że wyjechał na motorze dwadzieścia minut wcześniej. Zakłopotany Gosta powiedział:

- Ma dziewczynę, która mieszka w akademiku i czasami zezwalam mu na to, by spędził z nią przerwę na kawę. Przypuszczam, że tam właśnie się udał.

Reich rzucił niedbale:

- Byłoby nieźle, gdyby pan posłał tam kogoś, aby przywiózł go z powrotem. A tymczasem byłoby dobrze, gdyby sprawdził pan układy programujące robota.

Godzinę później okazało się, że komputer pokładowy był w nienagannym stanie. Jednak ordynans pułkownika, wysłany do uniwersyteckiego miasteczka, wrócił sam, bez Kellermana. Gosta powiedział:

- No tak, najprawdopodobniej pojechał do miasta, aby coś kupić. Nie ulega wątpliwości, że jest to złamanie regulaminu, ale pewnie sądził, że rano będziemy tak zajęci, że nikt tego nie zauważy...

Pułkownik Massey usiłował zmienić temat rozmowy, ale Reich dalej nalegał:

- Przykro mi pułkowniku, ale nie zamierzamy wsiąść do rakiety, nim nie porozmawiamy z Kellermanem. Czy nie zechciałby pan zarządzić poszukiwania?

Nasze zachowanie uznali, oczywiście, za nieuprzejme i szaleńcze, ale nie mieli innego wyjścia, niż zarządzić poszukiwania. Tak więc rozesłano z tuzin wozów żandarmerii wojskowej i postawiono w stan pogotowia całą policję na tym terenie. Kontrola lokalnego lotniska helikopterów doniosła, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi Kellermana odleciał kilka godzin wcześniej do Waszyngtonu. Pościg przeniósł się więc tam. W stolicy także postawiono na nogi całą policję stanową.

W końcu odnaleziono Kellermana o wpół do czwartej po południu - godzinę po naszym planowanym odlocie. Wracał z Waszyngtonu i został rozpoznany na lokalnym lotnisku. Twierdził, że wymknął się, by kupić pierścionek zaręczynowy dla swej dziewczyny i myślał, iż nikt jego nieobecności nie zauważy.

Kiedy tylko zobaczyliśmy go, wiedzieliśmy, że ostrożność nasza była w pełni uzasadniona. Był on dziwnym przypadkiem rozdwojenia osobowości, okazał się zupełnie niedojrzały psychicznie. Skorzystał z tego pasożyty. Nie było potrzeby opanowywania jego mózgu, zmiana kilku ośrodków całkowicie wystarczyła. Dziecinne dążenie do uznania dokonało reszty. Działał tu ten sam mechanizm, który czasem każe młodocianym przestępcom wykolejać pociągi dla przyjemności. Jest to pragnienie włączenia się w świat dorosłych poprzez zrobienie czegoś, co ma "dorosłe" konsekwencje.

Kiedy już mieliśmy Kellermana, wydobyć z niego prawdy nie było trudne. Dokonał on paru niewielkich zmian w systemie kontroli powietrza na statku, tak że temperatura wzrosłaby nieznacznie - na tyle mało, że nie zauważylibyśmy tego. Ale zmiana ta spowodowałaby automatyczną korektę funkcjonowania odpowiedniego robota. To z kolei miało wpływ na mechanizm funkcjonowania silników hamujących statku, tak że kiedy dotarlibyśmy do stacji, nasza

prędkość byłaby o wiele za duża. Wpadlibyśmy na stację, niszcząc ją i siebie. Zwykła kontrola obwodów komputera nie wykazała naturalnie tej modyfikacji. W końcu komputer ma kilka bilionów możliwych obwodów, a "kontrola" polega jedynie na upewnieniu się, że główne połączenia funkcjonują poprawnie.

Pozostawiliśmy Kellermana własnemu losowi; o ile wiem, był później postawiony przed sądem wojskowym, a następnie rozstrzelany. Ostatecznie wystartowaliśmy o wpół do piątej. O godzinie szóstej lecieliśmy już z prędkością czterech tysięcy mil na godzinę w kierunku Księżyca. Statek wyposażony był w mechanizm grawitacyjny starego typu. Magnetyczna podłoga przyciągała noszony przez nas ubiór, tak że dawało to wrażenie, iż posiadamy normalną wagę. Przez pierwsze dwie godziny wszyscy przechodziliśmy w konsekwencji charakterystyczny zawrót głowy.

Kiedy poczuliśmy się normalnie, zebraliśmy się w jadalni, gdzie Reich zrobił wstępny wykład o pasożytach i zastosowaniu metody Husserla w walce z nimi. Dalsze wykłady zostały przełożone na następny dzień, gdyż wszyscy czuliśmy się zbyt zdekoncentrowani i podekscytowani nowym otoczeniem (większość z nas była po raz pierwszy w przestrzeni kosmicznej). Nie byliśmy w stanie skupić się na "lekcjach".

Kiedy znajdowaliśmy się po "ziemskiej" stronie stacji, mogliśmy łapać program telewizyjny. Włączyliśmy na wiadomości o dziewiątej trzydzieści. Pierwsze co zobaczyłem, to twarz Feliksa Hazarda przemawiającego z wielką pasją do ogromnych tłumów ludzi.

Osiem godzin wcześniej - o siódmej trzydzieści czasu berlińskiego - Hazard po raz pierwszy przemówił w Monachium na temat doskonałości rasy aryjskiej i nawoływał obecny socjaldemokratyczny rząd oraz kanclerza Schrödera do ustąpienia. Słowa jego odbiły się szerokim echem wśród Niemców. Osiem godzin później Nowy Ruch Nacjonalistyczny ogłosił, że jego przywódca Ludwig Stehr dobrowolnie przekazał swe stanowisko Feliksowi Hazardowi. Cytowano słowa Stehra, że Hazard przywróci dawną świetność rasy aryjskiej i poprowadzi naród ku zwycięstwu. Wiele w przemówieniu mówiono o "butnych groźbach grup rasowo niższych" i przytaczano długie cytaty z Gobineau, Houstona Stewarda Chamberlaina i z Mitu dwudziestego wieku Rosenberga.

Nie ulegało wątpliwości, co się stało. Pasożyty dokonały swego dzieła w Afryce i utrwaliły "wywrotowe" struktury nawykowe. Teraz skierowały swą uwagę ku Europie. Jak dotąd świat dość spokojnie przyjął rewoltę Gwambe. Teraz pasożyty rozpoczęły akcję na rzecz wywołania silniejszych emocji - odrodzenia aryjskiego rasizmu. Mówi się, że wystarczy dwóch, aby rozpocząć kłótnię. Pasożyty dołożyły starań, by mieć pewność, że nie będzie ona jednostronna.

Muszę przyznać, że byłem w gorszym stanie ducha niż kiedykolwiek w ciągu kilku poprzedzających to wydarzenie miesięcy. Zadanie nasze wydawało się teraz zupełnie beznadziejne.

W tej sytuacji wojna na świecie mogła wybuchnąć w ciągu tygodnia i to jeszcze przed naszym powrotem na Ziemię. Wyglądało na to, że nic już nie da się zrobić. Nie było nawet pewności, czy w ogóle będzie jeszcze jakaś Ziemia, na którą moglibyśmy powrócić. Łatwo było przewidzieć dalszy bieg wydarzeń. Pasożyty osłabiają system obronny kolejnych państw poprzez opanowanie umysłów czołowych osobistości. Ameryka i Europa przestaną być bezpieczne, gdyż dokonany zostanie sabotaż systemów wczesnego ostrzegania.

Spałem tylko kilka godzin i wstałem o czwartej, by obejrzeć wiadomości nadawane z Londynu o dziewiątej rano czasu miejscowego (nasze zegarki były nastawione zgodnie z czasem amerykańskim). Były one złe. Miał miejsce zamach na kanclerza Niemiec, a Hazard ogłosił delegalizację rządu socjaldemokratycznego. Sam siebie, jako reprezentanta prawdziwej woli narodu niemieckiego, ogłosił kanclerzem. Jego partia miała przejąć rządy w Niemczech. Nowa główna kwatera rządu mieściła się w Reichstagu w Berlinie, zamiast w pałacu w Bonn. Wszyscy członkowie partii zostali upoważnieni do użycia broni wobec "zdradzieckiego rządu". (Jak się później okazało, było to niepotrzebne, gdyż socjaldemokraci zaakceptowali powstałą sytuację bez większych sprzeciwów i opowiedzieli się po stronie Hazarda). Ogłosił on teraz swoją koncepcję prymatu białych. Kiedy "niższe" rasy świata zostaną podbite, deportuje się je wszystkie na Wenus - to znaczy około miliarda Murzynów. Myśl ta wywołała olbrzymi entuzjazm w różnych krajach świata, włączając w to Wielką Brytanię i Amerykę. (Nikt jakoś nie zwrócił uwagi na fakt, że nawet gdyby udało się przystosować Wenus do życia, to kwestia przewozu miliarda ludzi na odległość trzydziestu milionów mil przekraczałaby możliwości ludzkości).

Mieliśmy przekroczyć punkt oznaczający połowę drogi na Księżyc o godzinie siódmej tego wieczora. W tym czasie musiała nastąpić utrata kontaktu telewizyjnego z Ziemią, choć nadal odbieraliśmy sygnały radiowe. Powstało więc pytanie: Czy powinniśmy zmienić kurs statku i pozostać w odległości jednego dnia lotu od Ziemi, czy kontynuować lot? Jeśli miałyby wybuchnąć wojna światowa, lepiej byłoby być na Ziemi, by aktywnie walczyć z pasożytami. Moglibyśmy przynajmniej zapobiec penetracji przez nie amerykańskiego systemu obronnego. Aby trzymać pasożyty na odległość, wystarczyłoby, by każdy z nas objął kontrolą jeden z punktów obronnych Ameryki i dodatkowo jeden z nas powinien przebywać w Pentagonie dla pewności, że zdrada nie zagnieździłaby się w naczelnym dowództwie.

Takie działania wydawały nam się jak najbardziej rozsądne, dlatego też gdy Holcroft przedstawił swą propozycję, byliśmy nią zupełnie zaskoczeni. Nie potrafił dla niej podać żadnego rozsądnego uzasadnienia. Po prostu powiedział, że ma "przecucie", iż należy tak postępować. Ponieważ ostatnie jego "przecucie" uratowało nam życie, skłonni byliśmy traktować je poważnie. Postanowiliśmy uważnie wysłuchać tego wszystkiego, co ma nam do powiedzenia. Później

nakłaniałem go, by głębiej uzasadnił swą propozycję. Po kilku próbach w końcu stwierdził, że czuje, iż im dalej od Ziemi się znajdujemy, tym lepiej dla nas. Muszę przyznać, że byłem takim wyjaśnieniem mocno rozczarowany. Jednak podjęliśmy już decyzję. Kontynuowaliśmy lot ku Księżycowi.

Nasza stara kadra w większości zdołała zapomnieć o wiszącym nad nami zagrożeniu i skoncentrowała się na problemach fenomenologicznych. Znacznie trudniej było z pozostałymi uczestnikami wyprawy. Wielu z nich zostawiło rodziny, o los których naturalnie bardzo się martwili. Prawie siłą doprowadziliśmy do tego, by pracowali po dziesięć godzin dziennie. Nie było to łatwe, ale po drugim dniu zaczęliśmy wygrywać tą osobliwą batalię. Kiedy już udało nam się wyperswadować im rozpamiętywanie tego, co zostawili na Ziemi, napięcie, które w nich tkwiło, zaczęło pracować na naszą korzyść. Dyscyplinowało bowiem ich wysiłki. Nie powtórzyły się już problemy, jakie wcześniej mieliśmy z Merrilem, Philipsem, Leafem i Ebnerem.

A jednak nie byłem w pełni zadowolony - po pięćdziesięciu godzinach lotu byliśmy w odległości czterdziestu tysięcy mil od Księżyca, a ja wyraźnie czułem, że pasożyty są bliżej nas niż kiedykolwiek wcześniej.

Po zakończeniu zajęć rozmawiałem na ten temat z Reichem, Fleishmanem i braćmi Grau. Otóż istnieją pewne niezbite fakty dotyczące pasożytów, które do końca nigdy nie były dla nas jasne. Teoretycznie nie powinno być żadnej różnicy w tym, czy znajdowaliśmy się w przestrzeni kosmicznej, czy na Ziemi. Istniały przecież w umyśle, a więc niemożliwa była ucieczka przed nimi. W każdym razie od czasu owej nocy, gdy pchnęły większość z nas do samobójstwa, nie niepokoiły nas bezpośrednio. Zdały sobie sprawę, że mogą nas osiągnąć pośrednio - poprzez rozpętanie wojny światowej.

A jednak - w pewnym sensie - istniały one także w przestrzeni, gdyż znalazłem je w moim mieszkaniu na Percy Street, gdzie pilnowały materiałów Karela Weissmana i czekały na mnie. Jak można było wyjaśnić ten paradoks? Cóż, były zarówno w przestrzeni, jak i poza nią. W końcu nasze umysły również są usytuowane w przestrzeni i poza nią. Nie można zlokalizować umysłu. Nie zajmuje on stałego miejsca w przestrzeni. Ale porusza się w niej wraz z naszym ciałem.

I znowu odniosłem wrażenie, że brakowało nam w rozumowaniu jakiegoś ogniwa. Siedzieliśmy omawiając całą sprawę wolno, krok po kroku. Wówczas powiedziałem:

- Pasożyty zlokalizowane są w przestrzeni, ponieważ są na Ziemi. Zjawiły się na Ziemi specjalnie, by karmić się gatunkiem ludzkim. Wiem, iż ludzie wydają się mieć izolowane umysły, ponieważ gdy każdy z nas zagłębia się we własnym umyśle, traci kontakt z innymi. Ale wiemy także, że w głębszym sensie ludzie posiadają pewien wspólny umysł, rodzaj umysłu gatunkowego.

Jesteśmy na podobieństwo kranów w sieci miejskiej, z każdego z nich wypływa oddzielnie woda, choć podłączone są do wspólnego zbiornika...

Przerwał mi Reich (cytuję dosłownie z nagrania, które wówczas zrobiliśmy):

- Ale powiedziałeś, że pokonałeś je poprzez odwołanie się do jakiegoś potężnego źródła energii. Czy byłby to właśnie ów pierwotny zbiornik?

- Tak przypuszczam - odparłem.

- Ale w takim wypadku, jeśli żyją w tym rezerwuarze, to dlaczego energia ta nie jest również dla nich dostępna. Jakbyś to wyjaśnił?

No tak, to było rozwiązanie! Zbliżyliśmy się do rozwiązania problemu. Oczywiście otchłań umysłu - gdzie one żyły - oraz rezerwuar energii witalnej, z której czerpałem wówczas, to były dwie różne rzeczy. Być może rezerwuar ten znajdował się w głębiach umysłu, ale nie na tym samym poziomie, gdzie zamieszkiwały pasożyty.

- Bardzo dobrze - rzekł Fleishman - ale co z tego wynika?

To Heinrich Grau powiedział wówczas bardzo wolno:

- Myślę, że zaczynam pojmować w czym rzecz. Mówimy o jakimś potężnym źródle energii, które Bernard Shaw nazwał Energią Życia. Jest to podstawowa energia, dzięki której żyjemy.

Jego brat Luis przerwał mu podekscytowany:

- Czemu więc pasożyty tracą czas na poszczególnych ludzi, zamiast brać tę energię bezpośrednio ze źródła? Najwidoczniej...

- Najwidoczniej nie mogą - powiedział Heinrich. - Muszą dostać się pomiędzy źródło a człowieka.

Nie pojmowaliśmy. Zapytałem więc:

- Co oznacza...?

- Co oznacza, że podstawowe źródło nie jest dla nich dostępne. Co więcej, prawdopodobnie jest im wręcz wrogię. Mówiąc innymi słowami, gdybyśmy jakoś mogli przedostać się do tego źródła, to prawdopodobnie mielibyśmy dość siły, by zniszczyć pasożyty.

Wyjaśniłem, że już wcześniej wpadłem na tę myśl, choć nigdy nie wyprowadziłem z niej tak jasnych jak teraz konkluzji. Problem polegał jednak na tym, że nie potrafiłem zejść na poziom, gdzie istnieje to źródło. Ilekroć próbowałem, miałem wrażenie bezsensu tego co robię.

Reich stwierdził:

- Jeśli jednak pomiędzy tobą a tym źródłem znajdują się pasożyty, to prawdopodobnie to one właśnie wstrzymują cię w jakiś sposób na tej drodze.

Zaczęliśmy teraz dostrzegać, że pojawiła się szansa wyjścia ze ślepej uliczki. Pasożyty zawsze używały tej "blokującej" metody przeciwko ludziom. Umyślnie odciągały umysł ludzki od

uchwycenia swych własnych tajemnic. Nauczyliśmy się temu zapobiegać poprzez penetrację tych obszarów umysłu, na których pasożyty zwyczajowo działały. W odpowiedzi zeszyły na głębokość, która była poza naszym zasięgiem. I najprawdopodobniej stosują te same metody blokowania co dawniej.

Dotąd uważałem, że istnieje jakaś "naturalna" przyczyna uniemożliwiająca mi penetrację umysłu poniżej pewnego poziomu. Nurek może zejść na określoną głębokość, gdzie ciężar wody, którą wypiera, jest równy ciężarowi jego ciała. Jeśli chciałbym zejść niżej, musiałbym bardziej obciążyć swój skafander. Niestety nie znałem żadnej metody, która by pozwoliła mi obciążyć mój umysł na tyle, bym mógł zejść głębiej. Jak sądziłem, w tym właśnie tkwiło źródło moich niepowodzeń. Obecnie uświadomiłem sobie, że tym co wstrzymywało mnie przed zanurzeniem się głębiej, był brak poczucia celowości tego co robię. Wydawało się, że umysł mój staje się pusty, moje poczucie indywidualności zostało zagrożone. Innymi słowy, rzeczywiście, prawdopodobne było, że zostałem zablokowany w swych działaniach.

Postanowiłem to sprawdzić, a inni zamierzali uczynić to samo. Zamknąłem oczy i jak zawsze popłynąłem poprzez warstwy pamięci. Teraz jednak trudno mi było przez nie przeniknąć. Wszystko tam było gwałtowne i niespokojne, podobne do nurkowania w wodzie zaraz po wybuchu miny podwodnej. Przypomniałem sobie, że poprzedniej nocy moje sny miały te same gwałtowne i niepokojące cechy.

Dlaczego? Wydawało mi się, że nie ma nigdzie pasożytów. Co więc było przedmiotem niepokoju?

Usilnie próbowałem zejść niżej. Udało mi się z ogromnym wysiłkiem dostać do wylęgarni. Ale tu było jeszcze gorzej. Dzika i niewinna energia stawała się przepelnioną nerwowością siłą. Zazwyczaj charakteryzuje się ją jako głęboko przesiąkniętą łagodnością i uporządkowaniem na podobieństwo łagodnych fal spokojnego morza. Teraz jednak morze było wyraźnie, wzburzone.

Wiedziałem, że niżej już zejść nie będę w stanie, więc pozwoliłem sobie na szybki powrót na powierzchnię. Reich wrócił przede mną. Przeżył dokładnie to samo co ja. Czekając na powrót pozostałych dyskutowaliśmy o tym, co się nam przydarzyło. Być może doświadczyliśmy jakiegoś rodzaju poważnych zaburzeń mentalnych, którymi dotknięty został cały gatunek ludzki? Albo...

Z poczuciem całkowitej bezradności podszedłem do luku i spojrzałem na wielką, jarzącą się w dole powierzchnię Księżyca. Był teraz oddalony ledwie o jakieś osiem godzin lotu. Spojrzałem na urządzenia kontrolne, by sprawdzić, czy silniki hamujące właściwie pracują. Robiłem to powoli, gdy nagle przyszła mi do głowy fantastyczna myśl. Przyciąganie... Księżyca. Odwróciłem się do Reicha i powiedziałem:

- Pewnie to głupie, co powiem, ale... czy nie mogłyby one mieć na Księżycu swej bazy?

- Księżyc jako baza? - był wyraźnie zakłopotany. - A to w jaki sposób? Nie mieszkają tam przecież ludzie. A pasożyty nie zamieszkują, o ile wiem, pustej przestrzeni.

Wzruszyłem ramionami:

- To tylko hipoteza, pomysł, który by... wyjaśniał niepokój panujący w naszych umysłach.

W tym momencie wszedł Holcroft. Zrelacjonowałem mu pokrótce, do czego doszliśmy. Zamknął oczy, siadł na łóżku i szybko potwierdził, że podświadome obszary umysłu znajdują się w stanie niezwykłego pobudzenia. Mimo iż nie słyszał mego pytania, odwrócił się i wskazał na Księżyc:

- To jest przyczyna. Oddziałuje na nas w jakiś sposób, tak samo jak wpływa na ruch powierzchni wód na Ziemi.

Zadałem pytanie:

- Skąd o tym wiesz?

Wzruszył ramionami:

- Po prostu wiem. Czuję jego przyciąganie.

Nie była to hipoteza zupełnie pozbawiona sensu. Przecież podobne zjawisko obserwujemy u lunatyków - ludzi, których umysły są pod wpływem przyciągania Księżyca. Ale jak tłumaczyć to zjawisko? Dlaczego Księżyc miałby wpływać na umysł?

Zapytałem Holcrofta:

- Czy sądzisz, że pasożyty zamieszkują Księżyc?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie sądzę, by tam były. Ale... to się jakoś z nimi wiąże.

Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli wciągniemy resztę w naszą dyskusję. Stanęliśmy w obliczu problemu i dla jego rozwiązania ważna była każda nowa myśl. Poprosiłem wszystkich na spotkanie. Najkrócej jak mogłem, wyjaśniłem im, o co chodzi.

Jedyną sensowną sugestię wysunął Berger, fizyk.

- Czy znacie prace filozofa Gurdżijewa? Twierdził, że istoty ludzkie są pożywką dla Księżyca. Porównywał gatunek ludzki do stada owiec tuczonych na użytek Księżyca.

Zapytałem Holcrofta:

- Czy widzisz w tym jakiś sens?

Odpowiedział z powagą:

- Myślę, że tak. Nie ulega wątpliwości, że Księżyc wywiera dziwny wpływ na umysł ludzi. Nie ma to nic wspólnego z grawitacją. Wydaje się także, że Księżyc nigdy nie był częścią Ziemi ani Słońca, że pochodzenie jego jest inne. Być może jest uwięzioną przez Ziemię kometą. Jego

skład chemiczny bardzo się różni od ziemskiego. Przypuśćmy, że Księżyc rzeczywiście kradnie ludzką energię... albo w jakiś sposób na nią wpływa.

Reich zapytał:

- Czy sądzisz, że mógłby on być bazą pasożytów?

- Nie, nie sądzę. Wierzę jednak, że pasożyty mogą w jakiś sposób wykorzystać właściwości Księżyca. Czuję, że emituje on jakiś rodzaj zaburzającej energii. Energii związanej ze zjawiskami paranormalnymi. Jest czymś w rodzaju gigantycznego przekaźnika, a Ziemia ogromnym odbiornikiem.

Pozostali zaczęli teraz przytaczać rozmaite nie znane mi legendy dotyczące Księżyca. Opowiedzieli mi o sekcie Hórbigera, do której należał Hitler. Utrzymywali oni, że Ziemia co dziesięć tysięcy lat "łapie" nowy Księżyc. Zgodnie z Hórbigerem nasz aktualny satelita jest siódmym z kolei. Sześć pozostałych kończyło swój żywot upadkiem na Ziemię, co w efekcie powodowało ogromne kataklizmy, niszczące zupełnie ludzkość. Potop biblijny miał być spowodowany upadkiem szóstego Księżyca.

Pozostali członkowie grupy przytaczali jeszcze inne teorie dotyczące Księżyca. Teorię Yelikowskiego, Bellamyn'ego, Saurata - które wskazywały, że dla wielu osób Księżyc był symbolem wrogiej człowiekowi siły. Większość z tych teorii brzmiała zbyt absurdalnie, by traktować je poważnie. Faktem jednak było, że miałem świadomość tego, iż Księżyc wywoływał określone zaburzenia w nieświadomych warstwach mego umysłu. Reich zwrócił też uwagę na to, że pasożyty, jak się wydaje, dysponowały największą mocą podczas nocy. Zawsze zakładaliśmy, że dzieje się to z powodu zmęczenia umysłu po całodziennym trudzie. Kiedy jednak czasami zdarzało mi się spać podczas dnia, a w nocy czuwać, miałem zawsze niejasne, ale wyraźne uczucie bezradności.

Zapytałem Holcrofta:

- Czy sądzisz, że jest możliwe, aby pasożyty wykorzystywały w jakiś sposób tę dziwną energię emitowaną przez Księżyc, by zaburzyć przebieg ludzkich procesów myślowych?

Ale Holcroft wiedział o tym równie mało jak my wszyscy.

Jedno było jasne. Należało ustalić, czy jesteśmy w stanie wydostać się poza obszar tych zaburzających wpływów. Jeśli było tak, jak sugerował Holcroft, a więc że Księżyc jest gigantycznym nadajnikiem, a Ziemia odbiornikiem, to musielibyśmy wydostać się poza zasięg jednego jak i drugiego. Znaczyło to, że musimy zmienić nasz aktualny kurs, ponieważ inaczej znaleźlibyśmy się na orbicie o promieniu dziesięciu tysięcy mil wokół Księżyca.

Połączyłem się drogą radiową z pułkownikiem Masseyem z Annapolis i wyjaśniłem mu, że chcemy się wyrwać ze sfery przyciągania Księżyca, kierując się mniej więcej pomiędzy aktualne

pozycje Jowisza i Saturna. Massey odpowiedział, że nie ma żadnych przeciwwskazań. Dysponowaliśmy paliwem na dwa tygodnie lotu. Oznaczało to, że możemy zaryzykować lot na odległość siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy mil, nim zawrócimy. Gdyby wiedział wcześniej - dodał - kazałby napełnić zbiorniki dodatkową ilością paliwa, tak abyśmy mogli osiągnąć połowę odległości dzielącej Ziemię od Marsa. Jest to odległość większa niż dwukrotna odległość pomiędzy Ziemią a Księżycem.

Zgodnie z instrukcją Massey'a dokonałem odpowiednich zmian w systemie nawigacyjnym. Następnie udałem się z całą resztą na kolację. Biorąc pod uwagę naszą aktualną pozycję, był to nadzwyczaj radosny posiłek. Uciekaliśmy poza Księżyc, przemierzając przestrzenie, do których ludzie jeszcze nie dotarli, z wyjątkiem pechowej załogi Proclis. Obawy dotyczące losu Ziemi jakoś nas opuściły, tak jak opuszczają nas troski zawodowe pierwszego dnia wakacji. Tej nocy spałem głębiej i spokojniej niż podczas wielu ostatnich dni.

Obudziłem się i spojrzałem na zegarek. Było wpół do ósmej. Usiłowałem przypomnieć sobie, czemu czułem się tak szczęśliwie. Czy miałem jakiś miły sen? Nie mogłem przypomnieć sobie żadnych marzeń sennych. Wstałem i podszedłem do tylnego luku. Księżyc był jak olbrzymi sierp pokryty wyraźnie widocznymi górami. Prawie ćwierć miliona mil za nami widniało wielkie zielone półkole Ziemi, podobne do wielkiego słońca. Słońce natomiast było oślepiająco białe, jakby miało za chwilę eksplodować, a gwiazdy jakby wielokrotnie większe od tych widzianych z Ziemi. Na ten widok odczułem tak intensywny zachwyt, że musiałem użyć całej siły woli, aby się uspokoić.

Zamknąłem oczy i pogrążyłem się we własnym umyśle. Był spokojniejszy niż wczoraj, choć pewien niepokój jeszcze tam panował. Teraz stało się dla mnie oczywiste, że był on wywołany przez Księżyc. Jego moc oddziaływania słabła. Rezultatem było cudowne uczucie spokoju i wyzwolenia, jakby uczucie powrotu do zdrowia po przebytej chorobie.

Poszedłem obudzić Holcrofta i Reicha. Przez kilka ostatnich tygodni ani razu nie widziałem ich w tak doskonałym stanie. Przeżywali to samo uczucie wyzwolenia. Nikt z nas nie mówił zbyt wiele, ale u wszystkich pojawiły się wielkie nadzieje.

Tego dnia nic się nie wydarzyło. Prawie cały czas siedzieliśmy, obserwując oddalający się Księżyc. Towarzyszyło temu narastające stale poczucie wolności. W pewnym sensie był to najbardziej wypełniony zdarzeniami dzień w moim życiu, a jednak prawie nic o nim nie potrafię powiedzieć.

To właśnie w tym punkcie wyjaśniania problemu pojawiają się trudności językowe. Słowa zaczynają zawodzić, ponieważ codzienny język nigdy nie musiał opisywać podobnych

doświadczeń. Mogę jedynie spróbować zasugerować pewną paralełę. Wyobraźmy sobie krainę maleńkich ludzików, które znają rozmaite słowa i wyrażenia dotyczące wielkości: duże, wielkie, ogromne, potężne, bezkresne i tak dalej. I ludziki te chcą opisać ideę bezkresności, mówią: "bezkresny jak człowiek". Co by się stało, gdyby jeden z nich został pochwycony przez orła, który by go uniósł ponad Mount Everest? Jak mógłby znaleźć odpowiednie słowo, za pomocą którego wyraziłby to, że szczyt ten jest tak wysoki, że nawet człowiek wydawał się być w porównaniu z nim maleńki?

Ale jest to mój problem. Nie zamierzam uciekać się do czczych frazesów o niemożliwości oddania tego za pomocą słów. Nie ma rzeczy, której nie można byłoby opisać słowami, trzeba tylko podjąć odpowiedni wysiłek i mieć odpowiednią ilość czasu. Jeśli ktoś stwierdza, że struktura jego języka jest nieadekwatna, to musi stworzyć nową, pojemniejszą.

Nie ma to jednak w tej chwili znaczenia. Adekwatny opis tego co się zdarzyło podczas następnych dziesięciu dni, wymagałby napisania grubej książki pełnej analogii. Muszę dać sobie jakoś radę za pomocą nie całkiem adekwatnych zasobów językowych, którymi dysponuję.

Wychodziliśmy poza zasięg działania pasożytów. Zrozumieliśmy to pierwszego dnia.

Były jeszcze obecne w moim umyśle. Mogłem to stwierdzić, jak tylko zamknąłem oczy i pogrążyłem się w sobie. Byłem teraz świadomy ich obecności poniżej wylęgarni. Nadal były poza moim zasięgiem, ale wyczuwałem panującą pośród nich panikę. Źle znosiły odległość pół miliona mil od Ziemi. A w miarę oddalania panika wśród nich rosła. Wówczas zrozu miałem, że były to stworzenia o małej inteligencji. Gdyby zdolne były do logicznego myślenia, wiedziałyby, że będziemy z powrotem na Ziemi w przeciągu dwóch tygodni. Przetrwałyby ten okres bez trudu. Ogarnęła je jednak całkowicie irracjonalna panika. Coś takiego czują czasami dzieci, kiedy opuszczają swój dom. Były od dawna na Ziemi, pływając w gęstych oparach ludzkich sił witalnych, bez trudu przemieszczając się od jednej osoby do drugiej, zawsze mając szeroki wybór ofiar. Teraz czuły, jak ich psychiczne związki z Ziemią stają się napięte i słabną, i napawało to je przerażeniem.

Nie wszyscy z naszej załogi czuli się z tym dobrze. Lęk pasożytów braliśmy za własny - co było naturalne, skoro czuliśmy, jak wypływa z instynktownych głębi naszych umysłów. Bardziej doświadczeni spośród nas musieli ciągle czuwać, by nie dopuścić do tego, aby któryś z nowych rekrutów wpadł w panikę. Zrozumieliśmy teraz naturę "gorączki przestrzeni", która tak bardzo blokowała wszelkie ludzkie wysiłki zmierzające do penetracji odległych przestrzeni kosmicznych.

Ale po upływie dni wiedzieliśmy już, że zwyciężyliśmy pasożyty, że w końcu ulegną panice. Każdy dzień przynosił kolejne sto dwadzieścia tysięcy mil odległości. Teraz pozostawał już tylko problem w jakiej odległości pasożyty rozpadną się.

Mogłem teraz zagłębić się we własny umysł z niezwykłą łatwością. Robiłem to bez wysiłku, nawet bez zamykania oczu. W końcu zacząłem pojmować, co miał na myśli Teilhard de Chardin, kiedy mówił, że prawdziwą ojczyzną człowieka jest jego umysł. Byłem w stanie przemierzać różne obszary swego mózgu z łatwością człowieka podróżującego samochodem. Potrafiłem też przedostać się przez wylęgarnię i zejść niżej do obszaru nicości. Teraz jednak uświadomiłem sobie, jak daleki był on od nicości. Z pewnością posiadał pewne atrybuty pustej przestrzeni - ciszę i całkowity brak napięć. Była to jednak cisza, jaka panuje na dnie Pacyfiku, gdzie ciśnienie jest tak ogromne, że wyklucza przetrwanie jakiegokolwiek formy życia. Nicość ta była czystą energią życia - choć słowa są tu tak nieadekwatne, że prawie pozbawione sensu.

W morzu tym spędzałem często długie godziny, zupełnie beczynn timer pozwalając się w nim po prostu unosić. Trudno to jakoś wyrazić, ponieważ jesteśmy tak bardzo przyzwyczajeni do ruchu, a pasożyty ze swej strony tak bardzo pomieszały nasze nawykowe procesy myślowe. Ale to właśnie cisza jest dla człowieka czymś naturalnym: cisza jest spokojem absolutnym. Wie o tym każdy poeta, ponieważ w ciszy zaczyna pojmować wielkość swych wewnętrznych mocy, "duszy" - jakby powiedział Wordsworth. Jeśli się rzuci kamyk we wzburzone morze, nie zobaczy się nic. Jeśli wrzuci się go w wodę spokojnego stawu, można zaobserwować każdą falę i usłyszeć, jak uderza ona o brzeg. Pasożyty utrzymywały umysły ludzkie w stanie ciągłego wzburzenia, wykorzystując do tego celu zakłócające wpływy Księżyca i to właśnie było powodem tego, że człowiek nie był nigdy w stanie spożytkować swych olbrzymich możliwości. Jedynymi, którzy w ogóle podejrzewali ich istnienie, byli poeci i tak zwani ludzie genialni.

Doszliśmy do punktu, w którym należało podjąć decyzję. Byliśmy już dziesięć dni poza Ziemią. Mieliśmy zapas paliwa wystarczający na to, by dostrzec do najbliższego sztucznego satelity. Pasożyty umysłu były bliskie załamania. Czy wolno nam ryzykować dalszy lot i być może bezpowrotne zagubienie się w przestrzeni? Przestaliśmy korzystać z wszelkich urządzeń elektrycznych wiedząc, że energia ta jeszcze będzie nam potrzebna. Statek nasz posiadał ogromne żagle fotonowe, które zostały rozwinięte zaraz po wyjściu z atmosfery ziemskiej, tak więc do pewnego stopnia byliśmy popychani przez ciśnienie światła słonecznego. Spora część energii poruszającej silniki statku również czerpana była ze Słońca. Oczywiście było jednak, że żagle fotonowe nie zdadzą się na nic w drodze powrotnej na Ziemię, jako że manewrowanie statkiem kosmicznym jest absolutnie bardziej skomplikowane niż manewrowanie jachtem. To prawda, że lecąc przed siebie zużywaliśmy bardzo mało energii. W przestrzeni nie napotykalismy na żaden opór, jedyną siłą, którą musieliśmy przezwyciężyć, było przyciąganie odległych planet i meteoroidów, które przelatowały wokół nas z częstotliwością dwóch czy trzech na godzinę.

Postanowiliśmy podjąć ryzyko. Jakoś dziwnie nie przychodziło nam na myśl to, że nie będziemy w stanie powrócić na Ziemię. Tak więc posuwaliśmy się systematycznie do przodu, ignorując wszelkie problemy i czekając, aż pasożyty rozluźnią ucisk.

Zdarzyło się to czternastego dnia podróży i nikt z nas nie podejrzewał, że tak to będzie wyglądało. Przez całe popołudnie wyczuwałem, jak wzbiera się w nich nienawiść i strach. Od czasu kiedy pozostawiliśmy w tyle Księżyc, nigdy jeszcze umysł mój nie był tak chmurny i niespokojny... Siedzieliśmy z Reichem blisko tylnego luku, gapiąc się w kierunku oddalającej się Ziemi. Nagle twarz jego wykrzywił strach, poczułem narastającą w sobie falę paniki. Spojrzałem przez luk, aby upewnić się, czy nie zobaczył tam czegoś przerażającego. Kiedy odwróciłem się, twarz jego była sina i wyglądał jakby był bardzo chory. Wstrząsały nim dreszcze i na chwilę zamknął oczy - i raptem nastąpiła w nim przemiana. Wybuchnął głośnym śmiechem, była to jednak zdrowa, wypływająca z głębokiego zadowolenia radość. I w tym momencie poczułem pochodzący z dna mego jestestwa rozdzierający, straszliwy ból, jakby jakieś żywe stworzenie wżerało się we mnie, by w ten sposób wydostać się na zewnątrz. Agonia fizyczna i umysłowa złąły się w jedno. Byłem pewien, że to już koniec. Usłyszałem wtedy wrzask Reicha nad uchem:

- Wszystko w porządku. Pokonaliśmy je. Odchodzą!

Wszystko co mnie otaczało było przepelnione ohydą. Coś nieskończenie złego i śliskiego wydobywało się z mego wnętrza. Na moment uświadomiłem sobie, że myliłem się traktując pasożyty jako odrębne istoty. Stanowiły jedno. Były "tym czymś", co można byłoby jedynie porównać do ogromnej galaretowatej ośmiornicy, której macki oddzielone są od ciała i mogą się niezależnie poruszać. Były niewiarygodnie wstrętne. Miałem uczucie, jakbym znalazł pod ubraniem wżartego w ciało mięsożernego ślimaka. Teraz to skrajnie podłe stworzenie wychodziło ze swej kryjówki, czułem jego nienawiść wobec mnie, nienawiść tak wszechogarniającą, że wymagałoby to znalezienia jakiejś zupełnie nowej dla niej nazwy.

Następnie przyszła przeogromna, niewyobrażalna ulga, że już po wszystkim. Moja reakcja była odmienna od Reicha. Szczęście i wdzięczność, które mnie wypełniały, były tak silne, że o mało co nie rozerwałyby mi serca, oczy zalały mi łzy, tak że światło słoneczne stało się jaśniejącą plamą, taką jaką widziałem pływając pod wodą, gdy byłem dzieckiem. Kiedy i to minęło, czułem się jak rekonwalescent, który przed chwilą był świadkiem tego, jak lekarze usunęli z jego wnętrza ohydny nowotwór.

Pozostali jedli w pokoju obok. Pospieszyliśmy tam, by powiedzieć, co stało. Wszyscy byli niezwykle podekscytowani i zaczęli zadawać nam mnóstwo pytań. Oprócz nas nikt więcej nie odczuwał tych wstępnych bólów. Wydaje mi się, że to nasze usytuowanie - spoglądaliśmy w tył ku Ziemi - było powodem tego, że pierwsi doznaliśmy tego. Poradziliśmy więc pozostałym, by

przeszli do sąsiedniego pomieszczenia i ostrzeżyliśmy ich mówiąc, co ich czeka. Następnie przeszliśmy z Reichem na drugi koniec statku, gdzie wszystko było pogrążone w ciemnościach, aby dokonać pierwszej podróży do nowej, wolnej już krainy umysłu.

Doszedłem teraz do punktu, w którym zdałem sobie sprawę, że cokolwiek powiem, będzie kłamstwem. Będzie więc lepiej, jeśli podejmę wysiłek wyjaśnienia tego co się zdarzyło, niż miałbym naginać codzienny język do wyrażenia czegoś, do czego nie był stworzony.

Wolność jest najważniejszym doświadczeniem, jakie może przydarzyć się człowiekowi. W naszym zwyczajnym życiu doświadczamy jej jedynie chwilowo, kiedy jakaś dramatyczna sytuacja wyzwala wszystkie nasze siły, po czym nagle zostaje ona zatracona. Umysł staje się wówczas orłem, a nie uwiązany jedynie do terażniejszości zwierzęciem.

Największym problemem człowieka jest jego uwięzienie w terażniejszości. Podobni bowiem jesteśmy do maszyny, a nasza wola jest czymś nieskończenie małym. Nasze ciało jest jak samochód albo, być może będzie to lepsze porównanie, jak "sztuczne kończyny", które są używane przez ludzi, którzy utracili nogę lub rękę. Kończyny te wyposażone są w niemal niezniszczalne "systemy zasilania" i reagują one tak jak prawdziwe ręce i nogi. Dowiedziałem się kiedyś, że po latach ich noszenia całkowicie zapomina się o ich istnieniu i o tym, że nie są prawdziwe. Jeśli jednak system zasilania zepsułby się, człowiek szybko przypomina sobie, że kończyna jest tylko maszyną i że jego wola odgrywa nader skromną rolę w jej funkcjonowaniu.

Prawda ta odnosi się też i do nas. Nasza wola jest znacznie słabsza, niż sądzimy. Co więcej, nie dysponujemy w zasadzie rzeczywistą wolnością. Fakt ten zazwyczaj nie ma większego znaczenia, bo "maszyneria" - nasze ciało i mózg - i tak robi to, czego chcemy: a więc je, pije, wydala, śpi, kopuluje i tak dalej.

Poeci i mistycy czasami pragną, aby ta "maszyna" zrobiła coś więcej. Chcieliby, aby umysł zdolny był do natychmiastowego oderwania się i wzniesienia ponad świat. Zazwyczaj uwaga nasza koncentruje się na drobnych szczegółach, na otaczających nas aktualnie przedmiotach, tak jak początkujący kierowca na przełączeniu biegów samochodu. Ale w pewnych momentach samochód staje się "neutralny", umysł przestaje zajmować się trywialnymi szczegółami i wówczas staje się wolny. Zamiast uwiązania do nudnych realiów terażniejszości uzyskuje pełną swobodę w wyborze rzeczywistości, którą chce kontemplować. Jeśli umysł nasz jest odpowiednio nastrojony, można nakazać pamięci przywołać dzień wczorajszy albo stworzyć obraz miejsca, znajdującego się gdzieś na drugim końcu świata. Ale przywołany obraz pozostaje niewyraźny jak płomień świecy w świetle promieni słonecznych albo przypomina ducha w realnym świecie. W chwilach "poetyckich", w chwilach wolności, dzień wczorajszy staje się równie realny jak dzień dzisiejszy .

Gdybyśmy mogli nauczyć się sztuczki odpowiedniego "włączania" i "wyłączania" świadomości, poznalibyśmy tajemnicę boskości. Ale jest to najtrudniejsza ze sztuczek. Rządzą nami nawyki. Nasze ciała są jak uparte roboty powtarzające nieustannie to wszystko, co robiły przez ostatni milion lat. A więc jedzą, piją, wydalają, uprawiają seks i służą terażniejszości.

Odkrycie pasożytów umożliwiło mi przełamanie "nawyku", który tak starannie pielęgnowały i wzmacniały. Zdałem sobie nagle sprawę, że zgodnie z naturą rzeczy człowiek wcale nie musi koniecznie zaraz po doświadczeniu krótkiego mgnienia wolności, swego "znaku nieśmiertelności", utracić go. Nie ma żadnych powodów, żeby nie doświadczał jej przez dziesięć godzin dziennie, jeśli tylko ma na to ochotę. (Dłuższy okres mógłby być dlań szkodliwy, ponieważ jednak czasami musimy poddać się trywialności chwili).

Od sierpnia, kiedy po raz pierwszy przeczytałem Refleksje Historyczne Karela, cały czas byłem otwarty na możliwości, jakie dawała mi moja własna wolność i już to samo w sobie oznaczało, że zerwałem łańcuch, do którego przykuta jest większość ludzi. Utrzymywanie ludzkości w okowach polegało głównie na wykorzystywaniu nawyków i niewiedzy. Pasożyty usadowiły się w głębokich warstwach ludzkiej psychiki, gdzie mogły "pić" energię ludzką z samego jej źródła.

Chciałbym się jasno wyrazić. To że człowiek jest "zwierzęciem w trakcie rozwoju" spowodowało, że pasożyty nie mogły traktować go jako stałego żywiciela. Nie byłoby najmniejszej szansy na to, by człowiek kiedykolwiek odkrył ich istnienie, gdyby nie tkwiła w nim szansa rozwoju. Mogłyby spokojnie przez całą wieczność podbierać energię, a człowiek nigdy by się o tym nie dowiedział. Ale na szczęście pewien nikły procent ludzi - około 20%, by zadość uczynić precyzji - to "zwierzęta w trakcie rozwoju", posiadające głębokie i potężne pragnienie prawdziwej wolności. Tym ludziom należało przeszkodzić, pasożyty musiały wyjść na powierzchnię umysłu, by sterować ludzkimi marionetkami. I w ten sposób zdradziły swe istnienie.

Powiedziałem już, że człowiek czerpie swą moc z tajemniczego źródła znajdującego się w głębiach bytu. Źródło to stanowi jego nienaruszalny środek ciężkości, jego prawdziwą naturę. Jest ono niezniszczalne. Z tej właśnie przyczyny pasożyty nie miały do niego dostępu. Mogły jedynie "kraść" po drodze energię płynącą z owego źródła ku świadomej sferze bytu ludzkiego.

I teraz, być może, uda mi się w jakimś stopniu wyjaśnić to co odkryłem, kiedy na nowo spróbowałem zanurzyć się w siebie, choć moje uwagi o nieadekwatności języka są nadal aktualne.

Przede wszystkim stwierdziłem, że w moim umyśle panuje niezwykła cisza i spokój. A było tak dlatego, że teraz był to już wyłącznie mój umysł. Nie było w nim żadnych intruzów. Wreszcie było to moje królestwo.

Moje sny i wspomnienia zmieniły się bardzo. Każdy kto spał, gdy jego mózg był przemęczony albo gdy miał gorączkę, zna to przykre wrażenie chaosu w głowie. Myśli gorączkowo pędzą we wszystkich kierunkach i wydają się być czymś zupełnie obcym. Wnętrze głowy, które powinno być miłym i zacisznym miejscem, staje się nagle targowiskiem zapchanym zupełnie obcymi ludźmi. No tak, aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia mój mózg przypominał zatłoczony przez pasożyty plac targowy. Dopiero teraz był spokojny i wyciszony. Wspomnienia były solidnie uporządkowane. Na sygnał prostej komendy mogłem wywołać każde z nich. Dopiero wówczas pojąłem, na ile prawdziwe jest twierdzenie, że wszystko co się wydarzyło, jest starannie przechowywane w naszej pamięci. Wspomnienia z wczesnego dzieciństwa były równie łatwo dostępne jak wspomnienia z dnia wczorajszego. Co więcej, wspomnienia z poprzednich wcieleń łączyły się obecnie w jedną sekwencję ze wspomnieniami z aktualnego życia. Umysł mój był jak całkowicie spokojne morze, w którym niebo odbija się jak w zwierciadle i którego wody są tak przejrzyste, że dno jest równie dobrze widoczne jak powierzchnia. Zrozumiałem, co miał na myśl Jakub Bóehme, mówiąc o "sabacie ducha". Po raz pierwszy w życiu doświadczyłem prawdziwej rzeczywistości. Żadnej gorączkowości, żadnych koszmarów, żadnych złudzeń. Co zdumiało mnie najbardziej, to ogromna siła tkwiąca w człowieku, który zdołał przetrwać pomimo potwornego zamroczenia szaleństwem, które skrywało przed nim prawdziwą naturę rzeczywistości. Musi to być jeden z najbardziej żywotnych gatunków zaludniających Wszechświat.

Przemierzałem teraz swój umysł, który podobny był do zamku o wielu komnatach. Po raz pierwszy wiedziałem, kim jestem naprawdę. Wiedziałem, że to byłem wiośnie ja. Nie był to tylko mój umysł, ponieważ przymiotnik "mój" odnosi się tylko do maleńkiego wycinka mego istnienia. To wszystko było mną.

Przechodziłem przez warstwy wylęgarni, sfery, gdzie egzystuje cudowna energia, która wyznacza harmonię moralną człowieka. Jest to obszar działania "stróża moralnego". Kiedy człowiek ulega pokusie i zaczyna wierzyć, że świat jest zły i że rządzi nim zło, moc ta wydobywa się na powierzchnię i podobnie jak białe ciałka krwi kieruje się ku zainfekowanej części ciała. To wówczas po raz pierwszy jasno pojąłem działanie tego mechanizmu.

Poniżej znajdowało się ogromne morze trwającego w bezruchu życia. Nie było to już morze ciemności i nicości. Kiedy zanurzyłem się w nim, uświadomiłem sobie, że emituje ono światło i ciepło. Tym razem nic nie stawiało mi oporu, żadne wrogie i zaślepienie siły nie wstrzymywały mnie przed pogrążeniem się w nim.

I wtedy zacząłem rozumieć coś, czego prawie nie sposób wyjaśnić. Nie było już sensu zanurzać się głębiej. Otchłań ta obejmowała życie w czystej formie, a jednak w pewnym sensie

zawierała się w niej również i śmierć. Śmierć ciała i świadomości. To co nazywamy na Ziemi "życiem", stanowi mieszaninę czystych sił witalnych i ciała. Jest to tkanina, której osnową jest życie i to co nieożywione. Mówię "nieożywione", a nie materia nieożywiona, ponieważ takie właśnie określenie byłoby zupełnie nieadekwatne. Wszelka materia jest żywa tak dalece, jak istnieje. Słowem kluczowym jest tu "istnienie". Żadna ludzka istota nie zdoła pojąć słowa "istnienie", ponieważ jest w nim zanurzona. Ale istnienie nie jest czymś biernym. Oznacza ono wypchnięcie ze stanu nieistnienia. Istnienie samo w sobie jest krzykiem pełnym afirmacji. Istnienie oznacza przewyciężenie nieistnienia.

Nie jest rzeczą trudną przekonać się, że to o czym mówimy, jest w dużym stopniu kwestią językową. Opisuując to wszystko zmuszony byłem ograniczyć się do kilku słów, podczas gdy potrzebnych mi ich było o wiele więcej. Nie jest to jednak opisywanie kolorów niewidomemu, ponieważ żaden człowiek nie jest całkowicie "ślepy". Wszyscy przelotnie poznajemy smak wolności. Ale wolność ma tyle kolorów, co widmo światła.

Oznacza to, że usiłując dotrzeć do "źródła" mego życia, pozostawiłem za sobą sferę egzystencji, bo źródło mego życia nie istnieje. Mówiąc innymi słowy, źródło życia nie różni się od źródła nieistnienia.

Wszystko to było wolnością: pięknym, niewyraźnym zachłyśnięciem się wolnością. Umysł mój należał do mnie i byłem pierwszym człowiekiem, który miał sięgnąć po nadczłowieczeństwo. A jednak musiałem odsunąć tę fascynującą możliwość, aby powrócić do problemu, który spowodował, że znaleźliśmy się w przestrzeni kosmicznej. Problemu Ziemi i pasożytów. Tak więc choć niechętnie, to powróciłem na powierzchnię. Patrzyłem na Reicha jak na kogoś obcego i dostrzegłem, że i on patrzy na mnie w ten sam sposób. Uśmiechnęliśmy się do siebie jak dwaj aktorzy, którzy właśnie zakończyli próbę, w której grali rolę wrogów.

Zapytałem:

- A co teraz?

Powiedział:

- Jak daleko dotarłeś?

- Niezbyt daleko. Nie było sensu podążać dalej.

- Jakie siły możemy zmobilizować?

- Nie wiem. Poradzimy się pozostałych.

Powróciliśmy do drugiego pomieszczenia. Piętnastu z nich pozbyło się pasożytów i następnie pomagało innym. Niektórzy z nowych byli w tak fatalnym stanie, że gotowi byli popełnić samobójstwo jak matka, która wije się w bólach porodowych, nim urodzi dziecko. Sporo wysiłku

musieliśmy włożyć w to, by ich uspokoić. Użycie siły nie wchodziło w grę, gdyż zintensyfikowałyby tylko ich przerażenie. Jeden z nich krzyczał:

- Zawróćcie statek, bo mnie zabijają.

Stworzenie będące w nim usiłowało zmusić go, by skłonił nas do powrotu na Ziemię. Uwolnienie przyszło dwadzieścia minut później. Był tak wyczerpany, że natychmiast zasnął.

Około ósmej wieczorem było już po wszystkim. Większość nowych była tak oszołomiona, że trudno im było w ogóle mówić. Cierpieli z powodu skrajnego działania efektu "podwójnej ekspozycji". Wiedzieli, że nie są sobą - nie są ludźmi, za jakich się do tej pory uważali, ale nie odkryli jeszcze tego, że owe niezmiernie otchłanie obcego bytu, to oni wiośnie. Nie było sensu im tego wyjaśniać. Nasze perswazje oddziaływały tylko na ich świadomą część osobowości, musieli dojść do tego sami.

Około dziesiąciu z nas zachowało w tym wszystkim całkowitą trzeźwość umysłu. Zdaliśmy sobie sprawę, że kwestia paliwa przestała istnieć. Nasze połączone zdolności PK mogły spowodować lot rakiety aż na Pluton i to z prędkością dziesięć razy większą niż obecnie. Ale niczemu by to nie służyło. Musieliśmy powrócić na Ziemię, a wcześniej zdecydować, w jaki sposób zwalczyć pasożyty. Zniszczenie Gwambe i Hazarda nie byłoby trudne, ale byłoby to tylko chwilowe rozwiązanie problemu. Pasożyty mogłyby stworzyć nowych Gwambe i Hazardów, jeśli tylko chciały. Nie zdołalibyśmy zniszczyć wszystkich następców, czy też przeprogramować ich umysły. Musielibyśmy rozegrać tę grę zgodnie z regułami wyznaczonymi przez pasożyty. Była to jednak gra w szachy, w której pionkami byli ludzie.

Dyskutowaliśmy nad tym do późnej nocy i nie zdołaliśmy wypracować żadnego określonego planu. Odnosiłem wrażenie, że nie możemy wpaść na właściwy trop. Rozwiązanie problemu widzieliśmy ciągle w zupełnym zniszczeniu pasożytów. Ale przecież musiało istnieć jakieś rozwiązanie...

O trzeciej nad ranem obudził mnie Reich. Właściwie powinienem powiedzieć, że to jego umysł mnie obudził, ponieważ on sam znajdował się w sąsiednim pokoju. Leżeliśmy po ciemku, prowadząc telepatyczną konwersację. Reich nie spał w ogóle. Zamiast tego wolno i systematycznie analizował problem. Powiedział:

- Usiłowałem dopasować do siebie wszystkie informacje o pasożytach jakie znamy. Jednego nie rozumiem. Dlaczego tak bardzo boją się opuszczenia Ziemi? Jeśli egzystują w umysłach, to nie powinno mieć dla nich znaczenia, gdzie są.

- Ponieważ istnieją na takim obszarze umysłu, który jest wspólny wszystkim ludziom. W krainie jungowskiej nieświadomości kolektywnej - zasugerowałem mu.

- To ciągle nie jest zadowalająca odpowiedź. Odległość nie jest przeszkodą dla myśli. Potrafię komunikować się telepatycznie z kimś na Ziemi tak samo łatwo jak z tobą. Jesteśmy więc nadal częstką ludzkiej nieświadomości. W takim przypadku powinny one czuć się tu równie bezpieczne jak na Ziemi.

Zapytałem go:

- W takim razie co jest tego powodem?

- Sądzę, że jednak ma to coś wspólnego z Księżycem.

- Myślisz, że stanowi on dla nich bazę?

- Nie, chodzi o coś bardziej skomplikowanego. Wysłuchaj mnie i powiedz mi, czy według ciebie ma to jakiś sens. Zacznijmy od sprawy Kadathu. Wiemy, że całe to gadanie o Wielkich Dawnych było mydleniem oczu. Zakładamy więc, że nie istnieje żadne realne powiązanie pomiędzy pasożytami umysłu i Kadath, że użyły go one tylko jako pretekstu po to, by ludzkość szukała Wroga na zewnątrz siebie. Przypuszczalnie jest to prawdziwe twierdzenie. Ale jeśli nawet tak jest, to czy Kadath nie daje nam jakiegoś klucza? Pierwszą rzeczą, jaką bez cienia wątpliwości możemy stwierdzić, jest to, że dotychczasowe datowanie historii ludzkości było błędne. Zgodnie z wiedzą geologiczną człowiek ma około miliona lat. Oznacza to tylko tyle, że nie znaleźliśmy jak dotąd żadnych szczątków starszych niż z tego właśnie okresu.

- A najstarsze szczątki wykazują, że człowiek nie posunął się w ewolucji wiele dalej od małpy sprzed miliona lat - przypomniałem mu.

- Kto, człowiek Pekijski? Australopitekus? Skąd możemy wiedzieć, że był to jedyny gatunek człowieka żyjącego wówczas? Nie zapominaj, że Rzymianie byli na wysokim poziomie cywilizacji, kiedy Brytyjczycy byli jeszcze barbarzyńcami. A Hetyci byli ludem cywilizowanym, gdy Rzymianie i Grecy byli barbarzyńcami. Wszystko jest względne. Tak, jedyne co wiemy o procesie ewolucji, to to że preferuje ona inteligencję. Dlaczego więc musielibyśmy przyjmować tak dziwaczne założenie, że człowiek pojawił się na Ziemi dopiero milion lat temu? Wiemy, że dinozaury, mamuty i gigantyczne leniwce, a nawet konie, istniały miliony lat wcześniej. Człowiek musi posiadać jakiegoś prymitywnego małpopodobnego przodka już w okresie Jury. Nie mógł pojawić się znikąd.

- Ale zgodzisz się, że istnienie Kadathu potwierdza tę teorię. Jediną alternatywą byłaby teoria, że mieszkańcy Kadathu przybyli z innej planety.

- Tak więc przyznajmy, że człowiek pojawił się znacznie wcześniej niż przed milionem lat. Ale to stawia przed nami pytanie, dlaczego cywilizacja nie rozwinęła się wcześniej. I tu znowu skłonny byłbym wiele uwagi poświęcić rozmaitym mitom dotyczącym zniszczenia świata; wielkich

potopów i tak dalej. Załóżmy więc, że ci różni maniacy teorii o Księżycu mają rację i że jest wiele prawdy w stwierdzeniu, że wielki potop spowodowany był upadkiem Księżyca na Ziemię?

Nie nadażalem za nim. Nie widziałem związku pomiędzy tymi spekulacjami a pasożytami umysłu.

- Poczekaj chwilę. Jeśli zestawimy te różnorodne mity o potopie, to dojdziemy do konkluzji, że potop miał miejsce stosunkowo niedawno - powiedzmy około pięciu tysięcy lat przed naszą erą. Przypuśćmy więc, że potop był spowodowany tym, że Księżyc krążył znacznie bliżej Ziemi niż teraz, jak to sugeruje Hórbiger. Czy mogłoby to oznaczać, że nasz obecny Księżyc krąży wokół Ziemi ledwie od siedmiu tysięcy lat?

- Przyznaję, że jest to prawdopodobne.

[Od jeziora Umayo w Andach Peruwiańskich (13000 stóp nad p.m.) ciągnie się przez 375 mil aż do jeziora Coipisa dziwna linia złóż morskich. Linia ta jest pełna zakrętów kończących się jakieś osiemset stóp niżej, blisko linii równika. Uczniowie Hórbigera i Bellamy'ego twierdzą - przekonywająco, jak sądzę - że owe dziwne złoża wskazują, że powierzchnia morza tworzyła niegdyś rodzaj wybrzuszenia wokół równika. Mogło to być spowodowane tylko tym, że Księżyc krążył znacznie bliżej Ziemi niż obecnie. Krążąc znacznie szybciej niż teraz powodował, że przyptyw nie miał nigdy dość czasu, by ustąpić. Ruiny Tiahuanaco w pobliżu jeziora Titicaca stanowią dalszy fragment tej dziwnej układanki. Można by rzec, że miasto to leżało nad Oceanem Spokojnym, jednakże wiele wskazuje na to, że stanowiło ono przed więcej niż tysiącem lat port. Ruiny mają takie rozmiary, że można jedynie przyjąć, że wzniesione były tylko przez gigantów - to znaczy - przez ludzi, którzy byli dwu czy trzykrotnie więksi niż przeciętny współczesny człowiek. Dokonali tego dzięki mniejszemu przyciąganiu ziemskiemu (które Księżyc neutralizował)... Jeszcze dziwniejszy jest fakt, że w ruinach miast w Andach znaleziono kości toksodontów, a toksodonty były zwierzętami, które znikły z powierzchni Ziemi milion lat temu. Rzeźby głów toksodontów zdobią niektóre z ruin Tiahuanaco (G. Austin Granice Archeologii, str. 87. Londyn, 1983).]

- Ale jako archeolog powiedziałbyś, że nie istnieją żadne przekonywające dowody na potwierdzenie tej koncepcji. Czyżby był to jedynie jakiś szalony pomysł?

- Myślę, że dysponujemy dowodami na rzecz tej hipotezy - powiedziałem. - Dwadzieścia lat temu napisałem książkę o tym, ale ciągle nie widzę związku z pasożytami.

- Powiem ci. Zastanawiałem się nad kwestią pochodzenia pasożytów. Weissman twierdził, że przybyły one na Ziemię jakieś dwieście lat temu. Ale wiemy, że nie znoszą one przestrzeni kosmicznej. Skąd więc przybyły?

- Z Księżyca?

- Być może. Ale tylko przy założeniu, że mogą istnieć poza umysłem ludzkim.

I nagle pojąłem, co miał na myśli. Jasne!

Mieliśmy teraz w ręku klucz do ich pochodzenia. Źle znosiły oddalenie od skupisk ludzkich. Dlaczego?

Odpowiedź była tak wstrząsająco prosta, że aż niewiarygodna. Nie mogły istnieć poza ludzkością, ponieważ nią właśnie były. Klucz ten był zawarty w pierwszym zdaniu Refleksji Historycznych Weissmana: "Jestem przekonany... że ludzkość została zaatakowana przez osobliwy rodzaj raka umysłu". Rak. A rak nie może żyć poza ciałem swego żywiciela.

Co jednak jest powodem raka ciała? Jest to jeden z problemów, na który odpowiedź jest oczywista dla każdego, kto badał swój umysł. Wyrasta z tych samych korzeni, co "rozdwojenie osobowości". Człowiek jest kontynentem, ale świadomość nie jest większa od przydomowego ogródka. Oznacza to, że człowiek prawie całkowicie stanowi niezrealizowany potencjał. Ci, tak zwani, wielcy ludzie są tymi, którzy zdobyli się na to, by zrealizować część tego potencjału. "Przeciętny człowiek" jest zbyt lękliwy i tchórzliwy, aby tego spróbować. Woli zaciszny komfort przydomowego ogródka.

"Rozdwojenie osobowości" pojawia się wtedy, gdy ów niezrealizowany potencjał bierze na nim odwet. Tak więc bojaźliwy mężczyzna o silnym popędzie seksualnym, który usiłuje stłumić, budzi się pewnego dnia i stwierdza, że popełnił przestępstwo seksualne. Usiłuje sam siebie jakoś uspokoić twierdząc, że to ktoś obcy opanował jego ciało. Ale to "coś obcego" jest w istocie nim samym - nieakceptowaną jego częścią.

Rak jest również spowodowany "odwetem" niezrealizowanego potencjału tkwiącego w człowieku. Najwcześniejsi badacze raka zauważyli, że jest to choroba frustracji i starości. Ludzie mający odwagę samorealizacji, nie umierają na raka. Ale ludzie posiadający duży potencjał rozwojowy, lecz nie mający odwagi, aby go spełnić, stanowią przeważającą większość spośród pacjentów cierpiących na raka. Brak zaufania wobec życia zatruwa im duszę.

Zarówno rak, jak i rozdwojenie osobowości nie grozi człowiekowi, gdy nauczy się pograżać się w swym wewnętrznym bycie. Wówczas owe frustracje nie mogą się krzewić.

W pewnym sensie Karel Weissman miał rację: "pasożyty" pojawiły się około dwustu lat temu. Ludzie z wcześniejszych epok byli tak pochłonięci utrzymaniem jedności ciała i duszy, że nie mieli czasu na frustracje. Byli bardziej wewnętrznie "spójni" niż człowiek współczesny, żyli na bardziej instynktownym poziomie życia. Później człowiek doszedł na drodze ewolucji na rozstajne drogi, do punktu, w którym musiał być bardziej świadom siebie intelektualnie i samokrytycznie. Rozziew pomiędzy świadomością i życiem instynktownym zwiększył się.

I nagle rak i schizofrenia przestały być czymś rzadkim, stały się chlebem powszednim ludzkości. Jakie jednak znaczenie miał w tym wszystkim Księżyc?

I znowu klucza dostarcza rak. Rak związany jest z ogólnym spadkiem witalności, spowodowanym frustracjami charakterystycznymi dla starości. Ale to samo w sobie nie wystarcza, aby wywołać raka. Musi istnieć specyficzny czynnik drażniący, jakaś na przykład rana. Jeśli porównamy życie do elektryczności istniejącej w ciele człowieka, na takiej zasadzie jak magnetyzm, to moglibyśmy powiedzieć, że zranione ciało nie jest w stanie utrzymać dłużej tego samego poziomu napięcia w uszkodzonych organach, co w reszcie ciała. Napięcie opada na niższy poziom i ciało zaczyna rozwijać, "na własną rękę", rodzaj rozdwojenia osobowości.

Gdyby ostrygi były organizmami wyżej zorganizowanymi, to czynnik drażniący, wywołujący powstanie perły, wystarczyłby, aby spowodować raka.

Teoria Reicha dotycząca pasożytów umysłu była, krótko rzecz ujmując, następująca:

Około dziesięciu tysięcy lat temu rozpoczął się proces stopniowego przyciągania Księżyca przez Ziemię. Był to prawdopodobnie trzeci lub czwarty satelita Ziemi. Zanim ostatecznie spadł na Ziemię, rozbijając się na kawałki, minęło około dwa tysiące lat. Morze, które dotąd utrzymywane było przez przyciąganie Księżyca w pobliżu równika na wyższym niż naturalnym poziomie, uwolnione załaziło teraz ogromną falą całą Ziemię, niszcząc wszelką cywilizację. (Nie dotyczy to cywilizacji Kadath, którą zniszczył jakiś wcześniejszy Księżyc).

Przez około tysiąc lat Ziemia była bez Księżyca i prawie że nie było na niej życia. Później uwięziła następnego kosmicznego wędrowca - gigantycznego meteoryta, który stał się naszym aktualnym Księżycem. Ale uwięziła niesłychanie niebezpiecznego satelitę, bowiem zamieszkały on był przez osobliwe, "radioaktywne" siły, które były w stanie wywołać zakłócenia w funkcjonowaniu ludzkiego umysłu.

Wszelkie koncepcje dotyczące pochodzenia tych istot były jedynie hipotezami. Teoria Reicha - którą uważam za równie prawdopodobną co inne - brzmiała następująco: Księżyc stanowił niegdyś fragment większej całości, może Słońca, które zamieszkałe było przez "bezczelesne", w sensie fizycznym, istoty.

Hipoteza ta jest mniej absurdalna, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Naukowcy często utrzymywali, że na pewnych planetach nie może być życia, gdyż nie przetrwałoby ono w takich warunkach jakie na nich panują. A jednak stwierdzili potem, że życie pojawia się w najmniej korzystnych warunkach. Życie, które mogłoby pojawić się na Słońcu, z pewnością nie mogłoby być "fizyczne" w takim sensie, w jakim my zazwyczaj temu słowu nadajemy znaczenie.

Wielki, płonący fragment tego Słońca został oderwany przez mijającą go kometę, a gorące gazy zaczęły skraplać się i tworzyć Księżyc, jak to dziś już wiemy, niszcząc stopniowo jego

mieszkańców. Ponieważ jednak nie posiadali oni "ciała" w ziemskim sensie, nie umierali w zwykły sposób. Usiłowali adaptować się do oziębiającej się materii swego świata, stając się częścią molekularnej struktury ciał stałych, tak jak kiedyś stanowiły część struktury gorących gazów.

Tak więc Księżyc promieniował dziwnym obcym życiem.

Gdyby Ziemia nie uwięziła Księżyca, to obce życie wymarłoby dawno temu, ponieważ życie może istnieć tylko tam, gdzie działa drugie prawo termodynamiki - to znaczy, gdzie energia przepływa z poziomu wyższego do niższego. Życie na Księżycu jednak utrzymywane było przez bliskość Ziemi, planety kipiącej życiem i energią. Jej obecność była jak ciągły zapach obiadu dla głodującego. I to w miarę jak gatunek ludzki stopniowo utrwalał swoje panowanie na Ziemi, ludzie mieli wciąż niejasne i instynktowne przeczucie obecności życia na Księżycu.

I tu, jak sądzę, mamy odpowiedź na problem pasożytów - owego czynnika drażniącego i wywołującego raka. Niższe formy życia - ryby i ssaki - nie poddają się żadnym wpływom tych "obserwatorów", żyją na poziomie instynktownym i obecność obcych istot wydaje im się czymś naturalnym. Ale człowiek powoli staje się panem Ziemi, a dokonuje tego dzięki intelektowi i świadomemu umysłowi. Jego natura ulega rozdarciu, odizolowuje się od swych popędowych korzeni. Frustracje kumulują się i zamieniają się w małe ogniska zapalne pełne stłumionej energii. Na tym etapie czynnik drażniący, pochodzący z Księżyca, stały nacisk psychiczny wywierany przez na pół zamrożone życie, zaczyna wywoływać przedziwne efekty. Rak umysłu zaczyna rozrastać się.

Może się wydawać, że całe to teoretyzowanie oparte było na bardzo kiepskich podstawach. Ale to nieprawda. Zbudowane zostało na ściśle logicznym rozumowaniu. Poczynając od kłopotliwego pytania: Dlaczego pasożyty obawiają się przestrzeni kosmicznej?

Odpowiedź nasuwa się natychmiast. Kiedy człowiek traci kontakt ze swym wewnętrznym bytem, głębią swych instynktów, znajduje się w potrzasku świata świadomości. To znaczy w świecie innych ludzi. Każdy -poeta zna tę prawdę. Kiedy dość ma już innych ludzi, zwraca się ku ukrytym źródłom mocy w sobie i wie, że inni ludzie nie mają wtedy żadnego znaczenia. Wie, że "tajemnicze życie" wewnątrz niego jest jedynie rzeczywiste, natomiast inni ludzie są tylko cieniami. Ale "cienie" te połączone są ze sobą wzajemnie. "Człowiek jest zwierzęciem społecznym" powiedział Arystoteles i było to jedno z największych w historii kłamstw. Ponieważ każdy z ludzi więcej ma wspólnego z górami czy też gwiazdami niż z innymi ludźmi.

Poeta jest mniej lub bardziej bytem zjednoczonym, nie stracił kontaktu ze swymi wewnętrznymi mocami. Ale to ci inni ludzie, owe "cienie" stają się ofiarami raka umysłu. Dla nich jedyną rzeczywistością jest społeczeństwo. Są całkowicie pochłonięci jego indywidualnymi,

mizernymi wartościami, małostkowością życia, złą wolą i samolubstwem. A ponieważ pasożyty stanowią projekcję tych stworzeń czy dziwnym jest fakt, że pasożyty same są uczepione społeczności ludzkiej? Nie było dla nich miejsca w naszym statku kosmicznym, ponieważ wszyscy znaleźliśmy tajemnicę tego, iż człowiek nigdy nie jest "samotny", bo jest bezpośrednio powiązany z uniwersalnym źródłem energii.

Innymi słowy, nawet gdybyśmy nie znaleźli się w przestrzeni kosmicznej, umysły nasze nie stałyby się przystanią dla pasożytów. Rak powoli umierał w nas z głodu. Nasza podróż w kosmos jedynie przyspieszyła ten proces. Kiedy oderwaliśmy się od reszty ludzkości, pierwszym uczuciem był straszliwy lęk i osamotnienie. Byliśmy jak dziecko, które po raz pierwszy rozdzielono z matką. W takich warunkach człowiek staje w obliczu wielkiego pytania. Czy jest rzeczywiście istotą społeczną, dla której nie ma życia poza społeczeństwem? Jeśli udzieli twierdzącej odpowiedzi na to pytanie, to ludzkie wartości są kłamstwem: dobroć, prawda, miłość, religia i cała reszta. Wartości te bowiem z definicji są czymś absolutnym, ważniejszym od człowieka.

Lęk ten powoduje nowy zwrot ku swemu wnętrzu, ku "źródłu" mocy, sensu i celu. Dwa fałszywe kable telefoniczne łączące nas z innymi istotami ludzkimi, zostają przecięte. Nie oznacza to, że inni ludzie przestają być dla nas ważni. Stają się znacznie bardziej ważni, ponieważ zaczynamy zdawać sobie sprawę, że w pewnym sensie są oni nieśmiertelni. Ale uświadamiamy sobie, że tak zwane "ludzkie wartości" są fałszywe, oparte na ludzkiej autodewaluacji. Oto dlaczego pasożyty zmuszone były nas opuścić. Im dalej podążaliśmy w Kosmos, tym wyraźniej widzieliśmy tę prawdę. To że inni ludzie nie mogą tworzyć naszych wartości. Inni ludzie nie mają znaczenia w sensie, jaki dotychczas nadawaliśmy. Człowiek nie jest samotny. Nawet ostatni żyjący we Wszechświecie człowiek nie byłby samotny.

Przegadaliśmy z Reichem pozostałą część nocy. Kiedy nadszedł świt, a właściwie godzina, o której świtałoby na Ziemi, coś się nam obydwu przydarzyło. Zmieniliśmy się przez ostatnie parę godzin. Poczwaraka przemieniła się w motyla.

Nie należeliśmy już do Ziemi. Pustka przestrzeni dokoła nas była naszym domem w takim samym stopniu, co ów absurdalny, mały, zielony glob, pozostający w odległości dwóch milionów mil.

Trochę napawało nas to lękiem. Czuliśmy się jak żebrak, który nagle odziedziczył fortunę. Spogląda na służbę, oczekującą wydania polecenia, rozważa na co miałby wydać te wszystkie pieniądze, patrzy na rozległe posiadłości, które teraz do niego należą... i odczuwa zawroty głowy, terror wolności.

Tyle jeszcze było do poznania, tak wiele rzeczy jeszcze nie wiedzieliśmy. Lecz wprawdzie musimy zrealizować inne zadanie. Podzielić się tą wiedzą z innymi ludźmi.

I choć Ziemia nie była już naszym domem, nie ulegało wątpliwości, że musimy to zrobić. Staliśmy się policjantami Wszechświata.

Podszedłem do tablicy kontrolnej. Tydzień temu musiałbym zwrócić się do pułkownika Massey'a z prośbą o szczegółowe instrukcje. Teraz całe urządzenie wydawało mi się dziecinną zabawką. Prędko wprowadziłem dane do komputera i zmieniłem tor lotu rakiety. Statek natychmiast zwinął fotonowe żagle, włączone zostały silniki korekcyjne zmieniające kierunek lotu.

Zaczelśmy wolno zawracać łagodnym łukiem. Nasi towarzysze obudzili się i przyszli zobaczyć, co się działo. Powiedziałem:

- Wracamy na Ziemię. Pomóżcie mi przyspieszyć lot statku.

Połączyliśmy równolegle wysiłek naszych umysłów i zaczęliśmy wysyłać subtelny, zmienny strumień woli. Następnie, bardzo powoli, skierowaliśmy go ku tyłowi rakiety. Tak jakby ręka olbrzyma chwyciła statek niby rybę, poczuliśmy nagłe przyspieszenie i ponowiliśmy nasz wysiłek. Ponownie statek zareagował. Spróbowaliśmy zadziałać mocniej - statek zadrżał, lecz nadal reagował. Była to operacja niebezpieczna i wymagająca wielkiej ostrożności. Mogliśmy zastosować siłę tuzina bomb wodorowych, ale należało użyć jej w taki sposób, aby została przetworzona na prędkość linearną. Nieodpowiednio zastosowana, mogła zniszczyć statek, rozbijając go na drobny pył. Reich i ja przetrwalibyśmy to, ale reszta - nie.

Było coś zabawnego w tym, że znajdowaliśmy się oddaleni o jakieś dwa miliony mil w przestrzeni kosmicznej, w tej topornej rakiecie zaprojektowanej, jak nam się wydawało, przez imbecyli. Zgodziliśmy się z Reichem co do tego, że jedną z pierwszych rzeczy, które zrobimy po powrocie na Ziemię, będzie przekazanie ludziom, jak konstruuje się prawdziwe statki kosmiczne.

Najprostszym i jednocześnie najszybszym sposobem komunikowania się była telepatia. Dlatego właśnie wszyscy trzymaliśmy się za ręce tak, jak podczas seansu. Wyjaśnienie wszystkiego zajęło nam jedynie pięć sekund, ponieważ - w pewnym sensie - oni to już wiedzieli. My badaliśmy tę drogę w ciemności, oni przemierzali ją przy świetle dziennym.

Było to doświadczenie interesujące samo w sobie. Nie widziałem Reicha ostatniej nocy - znajdowaliśmy się w odrębnych pomieszczeniach. Nie przyszło mi też jakoś do głowy, by spojrzeć na swe oblicze w lustrze. Kiedy jednak przekazaliśmy naszą wiedzę pozostałym, zauważyliśmy znamienne przemiany zachodzącą w nich. Można się było, oczywiście, tego spodziewać, a jednak widok zmiany na tak wielu twarzach jednocześnie wydawał się czymś wyjątkowo dziwnym. Trudno wyrazić to za pomocą zwykłych przymiotników. Mógłbym powiedzieć, że stali się "bardziej szlachetni" i "wspanialszy", ale byłoby to dalekie od prawdy. Może lepszym określeniem jest stwierdzenie, że bardziej upodobnili się do dzieci, lecz sens tego słowa musi być właściwie rozumiany. Jeśli przyjrzeć się twarzy bardzo małego dziecka - powiedzmy sześciomiesięcznego - a

następnie twarzy człowieka starego, to nagle zaczynamy rozumieć ową subtelną jakość, którą jest życie, radość i magia. Bez względu na to, jak mądry i dobry jest ów starzec, to tego mu właśnie brakuje. Gdy dziecko jest szczęśliwe i inteligentne, jakość ta emanuje z niego i czasem nawet bolesna jest dla nas świadomość, że w oczywisty sposób należy ono do lepszego Wszechświata. Nadal jest pół-aniółem. Dorośli - nawet ci najwspanialszy - dewaluują życie, dziecko zaś oddaje mu się całe, z pełnym zaufaniem i afirmacją.

Właśnie ta jakość czystego życia wypełniła jadalnię statku kosmicznego. Nie będzie w tym przesady, jeśli powiem, że czuło się, jakby był to prapoczątek, sam świt aktu stwórczego. Widząc to u siebie wzajemnie, nabieraliśmy głębszej mocy i pewności.

To właśnie pozwoliło nam wznieść się na nowy poziom wiedzy. Gdy powiedziałem im: - Człowiek nie jest sam - rozumiałem sens tego, co mówię, ale nie wszystkie implikacje takiego stwierdzenia były dla mnie jasne; mówiłem o źródle mocy, sensu i celu. Teraz rozumiałem, że nie jesteśmy sami w sensie znacznie prostszym i bardziej oczywistym. Staliśmy się policją Wszechświata - i okazało się, że nie byliśmy jedyni. Umysły nasze natychmiast nawiązały kontakt z owymi innymi. Było to tak, jakbyśmy wysłali sygnał, który został momentalnie przyjęty przez stu odbiorców, a oni sami natychmiast zasygnalizowali nam swoją obecność. Najbliższy z nich znajdował się zaledwie cztery miliardy mil stąd, był to statek - krążownik z planety systemu Proxima Centauri.

Nie będę dalej rozwijał tego tematu, jako że nie jest on istotny dla dalszej części mej opowieści.

Lecieliśmy z prędkością stu tysięcy mil na godzinę. Mając przed sobą dwa miliony mil, byliśmy oddaleni o dwadzieścia godzin podróży od Ziemi. Jak wiadomo, Księżyc krąży w odległości dwustu pięćdziesięciu tysięcy mil od Ziemi. Znajdował się on ciągle pomiędzy nami i planetą, co oznaczało, że minimy go za siedemnaście i pół godziny. Wiedzieliśmy, że nasze zadanie związane było z Księżycem.

Nie myśleliśmy o jego usunięciu. Waga Księżyca wynosi w przybliżeniu 5×10^{15} ton - to znaczy pięć tysięcy bilionów ton. Jak dotąd nie mieliśmy pojęcia, jaką masę mogą przesunąć nasze wspólne moce PK, ale wydawało się mało prawdopodobne, aby były one wystarczające do wykonania takiego zadania. Ponadto, jeśliby nawet udało się nam wypchnąć go w przestrzeń, to co z tego? Zniknąłby ów stały czynnik drażniący psychikę ludzką, ale przecież dokonał on już swojego dzieła - pasożyty umysłu przetrwałyby tak.

Mimo to wiedzieliśmy, że Księżyc jest kluczem do wszystkiego, czymś co wymagało natychmiastowego działania.

Odczuliśmy jego przyciąganie w odległości pięćdziesięciu tysięcy mil. Spojrzeliśmy z Reichem na siebie - znaczenie tego faktu było oczywiste. W jakiś niejasny sposób Księżyc "uświadomił" sobie naszą obecność. Świadom był jej od momentu, kiedy opuściliśmy Ziemię i długo jeszcze po tym, jak go minęliśmy. Teraz zbliżaliśmy się jakby od tyłu i nie "dostrzegł" nas, aż do chwili, gdy zbliżyliśmy się na odległość ledwie pięćdziesięciu tysięcy mil.

Tym razem zaburzenia, których doświadczaliśmy już poprzednio, były mniej dokuczliwe. Wiedzieliśmy teraz, czym były: uwięzione moce życia obserwowały nas, pełne nadziei. Zaburzenia miały obecnie charakter emocjonalny. Znając jednak ich naturę, nie było trudno je zwalczyć. Skierowaliśmy statek bezpośrednio ku Księżycowi. Zaczęliśmy natychmiast hamować. Pół godziny później łagodnie wylądowaliśmy, powodując powstanie wielkiej chmury srebrzystego kurzu.

Byłem już kiedyś na Księżycu i wydawał mi się wtedy całkowicie martwą skałą. Teraz przestał być martwy, stanowił krajobraz żywej udręki. Udzielało się wrażenie ogromnej tragedii, jakbyśmy patrzyli na wypalony budynek, gdzie kiedyś straciło życie tysiące ludzi.

Nie marnując czasu, zabraliśmy się do przeprowadzenia zamierzonego eksperymentu. Nie opuszczając statku (jako że plany nasze nie przewidywały lądowania, nie mieliśmy ubiorów przystosowanych do przebywania w próżni kosmicznej), skierowaliśmy strumień wolicjonalnej mocy na ogromną masę porowatych skał przypominających wyglądem potężne mrowisko. Dwunastu z nas działało równolegle, a wytwarzana przez nas moc mogła sformować krater o średnicy dziesięciu mil. Całe to "mrowisko" - o wysokości około jednej mili - rozsadziliśmy tak, jak blok Abhatha, obracając je w drobny pył, który stworzył wokół statku rodzaj mgły. Wydzielone przy tej okazji ciepło dokuczało nam przez następne dziesięć minut. Kiedy rozbiliśmy skałę, wszyscy doświadczyli przez moment dreszczy czystej radości, przebiegających przez nas niby delikatny prąd. Nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości: uwolniliśmy uwięzione siły życia. Ponieważ jednak były one pozbawione ciała, zniknęły, rozpraszając się w przestrzeni.

W Księżycu było coś odpychającego, przynębiającego. Shelley wykazał się szóstym zmysłem, pytając: "Czyś błąd ze znużenia?", Yeates natomiast przedstawił przerażające spostrzeżenie, porównując Księżyc do idioty zataczającego się po niebie. I to było właśnie to. Czuliśmy się tak, jakbyśmy odwiedzili w domu wariatów jakąś udręczoną duszę.

Pół godziny później Księżyc został daleko w tyle, a całe przednie okno wypełniał mglisty, niebieski glob ziemski. Jest to zawsze niezwykle ekscytujący moment, kiedy widzi się przed sobą Ziemię, a za sobą Księżyc, tej samej co ona wielkości. My ciągle jednak mieliśmy jeszcze swe własne porachunki z Księżycem. Chcieliśmy ustalić, jak dalece można wpłynąć na niego poprzez psychokinezę. Łatwo zauważyć, że musiało być to dokonane w połowie odległości między Ziemią a Księżycem, ponieważ musieliśmy "oprzeć się" o Ziemię. Nie mogliśmy, rzecz jasna, emitować

żadnej siły z naszego statku - nieporównywalnie od nas większa masa Księżyca skierowałaby tę siłę przeciwko nam, co zniszczyłoby nas. Statek stanowił tylko trzeci kąt spłaszczonego trójkąta.

Było to trudne zadanie. Przede wszystkim, po raz pierwszy zaangażowaliśmy się w to wszyscy - pięćdziesiąt umysłów połączonych równolegle. Okazało się to zresztą najtrudniejszą częścią całego problemu. Większość z nich słabo uświadamiała sobie własne zdolności psychokinetyczne, a tymczasem nagle musieli w pełni owe niedojrzałe moce wykorzystać i to w sposób zharmonizowany z grupą innych ludzi. Fleishman, Reich i ja musieliśmy pełnić funkcję zarządzających tą mocą. To co robiliśmy, było wysoce niebezpieczne. Nigdy jeszcze statek kosmiczny nie wydawał się być czymś tak małym i kruchym. Wystarczyło, aby jedna osoba straciła kontrolę na moment, by wszystkich nas zniszczyć. My trzej skoncentrowaliśmy się więc na uniknięciu jakiegoś wypadku; podczas gdy Holcroft i Ebner koordynowali wysiłki w celu wytworzenia zmiennej fali energii PK. Konieczne było ponadto "czucie" drogi ku Ziemi - to samo w sobie spowodowało szok. Tak jakbyśmy znaleźli się nagle w Waszyngtonie. Ziemia emanowała "życie" równie intensywnie jak Księżyc. Nie było to życie zablokowane i uwięzione, lecz był to lęk i nerwica. Natychmiast oczywiste stało się, jak bardzo trafna była teoria Reicha na temat pasożytów umysłu. Ludzie na Ziemi wytwarzali pole paniki w ten sam sposób, jak my wytwarzaliśmy energię nad-psychiczną. Panika ta oddalała ich jeszcze bardziej od swego prawdziwego "ja", produkując rakowaty cień, alter ego, które natychmiast stawało się dziwną, niezależną rzeczywistością - tak jak patrząc czasem na swe odbicie w lustrze wyobrażamy sobie, że nagle ono ożywa.

Kiedy nawiązaliśmy już kontakt z Ziemią, mogliśmy wysłać podwojoną moc ku Księżycowi - bezpośredni strumień energii PK ze statku oraz strumień odbity od Ziemi.

Celem tego eksperymentu nie było jakieś oddziaływanie na Księżyc, ale ocena jego reakcji, w ten sam sposób w jaki gracz w krykieta waży piłkę w dłoni. Mówiłem już, że wrażenie jakie towarzyszy wykorzystywaniu sił PK, nie różni się wiele od wrażenia dotykania czegoś. Jediną różnicą jest tu znacznie szerszy zakres. W tym przypadku, po ustabilizowaniu odbitego od Ziemi strumienia, mogliśmy ocenić opór Księżyca. Oznaczało to po prostu wytwarzanie wzrastającej siły i stwierdzenie, co się wtedy stanie. Nie doświadczyłem tego bezpośrednio, rzecz jasna; wszystko co Reich, Fleishman i ja mogliśmy zrobić, to "stabilizować" tę siłę, nie dopuszczając, by jej wibracje zniszczyły statek. Uświadomiliśmy sobie jej wzrastającą moc poprzez zwiększenie się wibracji. W końcu ostro zarządziłem koniec - stawało się to zbyt niebezpieczne.

Zapytałem Holcrofta, co się stało. Powiedział:

- Nie jestem pewien, ale myślę, że otrzymaliśmy odpowiedź. Nietrudno jest objąć Księżyc, trudno jednak powiedzieć, jakiego ciśnienia by to wymagało. Będziemy musieli spróbować ponownie z Ziemi.

Miał oczywiście na myśli to, że za pomocą strumienia energii PK mogliśmy zbadać kształt Księżyca. Nadal jednak nie mieliśmy pojęcia, czy można go za pomocą sił PK poruszyć.

Wszyscy byliśmy wyczerpani. Większość z nas przespała ostatnią godzinę podróży na Ziemię.

O godzinie dziewiętej włączyliśmy silniki hamujące i zwolniliśmy do prędkości tysiąca mil na godzinę. O 9.17 weszliśmy w atmosferę ziemską i wyłączyliśmy wszystkie silniki. Wiązka kontrolna Massey'a namierzyła nas, mogliśmy więc pozostawić mu całą resztę. Kilka minut przed dziesiątą wylądowaliśmy.

Czułem się, jakbym wracał po tysiącu lat. Wszystko uległo w nas tak całkowitej przemianie, że Ziemia sama wydawała się odmieniona. Pierwsza rzecz, która nas uderzyła, była łatwa do przewidzenia. Wszystko wydawało się nieskończenie piękniejsze od tego, co pamiętaliśmy. Zaszokowało nas to. Było to coś, czego nie dostrzegliśmy na Księżycu, z powodu zakłócającego wpływu satelity.

Z drugiej jednak strony, witający nas ludzie wydali się nam tak obcy i odpychający, niewiele różniący się od małp. Trudno było uwierzyć, że te skretyniałe istoty mogły zamieszkiwać tak nieskończenie piękny świat nadal pozostawać ślepcami i głupcami. Musieliśmy sobie dopiero przypomnieć, że ślepotą ludzka jest mechanizmem ewolucyjnym.

Instynktownie usuwaliśmy się ludziom z oczu, robiąc wszystko, by ukryć naszą zmianę. Czuliśmy się zażenowani, tak jak czują się ludzie szczęśliwi pośród ogromu cierpienia, któremu nie można zapobiec.

Massey wyglądał na bardzo zmęczonego i chorego. Powiedział:

- A więc panowie, udało się wam?

- Tak sądzę - odparłem.

Twarz jego zmieniła się, zmęczenie minęło. Nagle poczułem do niego falę sympatii. Istoty ludzkie nie są może niczym więcej od robotów, ale w końcu' to nasi bracia.

Położyłem mu rękę na ramieniu i przekazałem trochę swej energii. Miło było patrzeć, jak szybko się zmienił, obserwować jak siła i optymizm prostowały mu plecy, jak wygładzały się bruzdy na jego twarzy. Zapytałem:

- Proszę mi powiedzieć, co działo się po naszym odlocie?

Okazało się, że sytuacja była poważna. W przerażającym tempie i z bezwzględny okrucieństwem, Gwambe zajął Jordanię, Syrię, Turcję i Bułgarię. W razie oporu - mordował ludzi tysiącami. Stworzony przez afrykańskich i europejskich naukowców dla celów badawczych w fizyce jądrowej akumulator promieni kosmicznych użyty został jako broń w połączeniu z geronizowolframowym reflektorem. Od tego momentu wszelki opór ustał. Godzinę przed naszym

lądowniem poddały się Włochy, udzielając Gwambe zgody na przejście przez ich terytorium. Armie niemieckie skoncentrowane zostały wzdłuż granic Styrii i Jugosławii, ale do głównego starcia tej wojny jeszcze nie doszło. Niemcy grozili użyciem bomby wodorowej, jeśli Gwambe zastosuje swój akumulator promieni kosmicznych, tak że wielce prawdopodobne było, iż nastąpi teraz długa, przewlekła wojna konwencjonalna. Czternaście potężnych rakiet przebiło się przez osłonę amerykańskich sił powietrznych, a jedna z nich stała się przyczyną pożaru, który trawił Los Angeles przez cały poprzedni tydzień. Amerykanom trudno było kontratakować za pomocą rakiet, gdyż wojska Gwambe rozproszone były na bardzo rozległych obszarach. Tego dnia jednak prezydent oświadczył, że w przyszłości, ilekroć afrykańska rakietą przedostanie się na ich obszar, zniszczone zostanie w zamian jedno miasto afrykańskie.

Dla wszystkich jednak było jasne, że jest to wojna, w której nikt nie zwycięży. Wszelki odwet był tylko następnym krokiem do wzajemnego wyniszczania się. Według powszechnej opinii, Gwambe był morderczym maniakiem, stanowiącym równie wielkie zagrożenie dla swych własnych ludzi, co i dla reszty świata.

Dziwne było, iż jak dotąd nikt nie uświadomił sobie, że Hazard był tak samo szalony i niebezpieczny. Podczas owych dwóch tygodni, kiedy Gwambe podbijał kraje śródziemnomorskie, przeprowadzono mobilizację w Austrii i w Niemczech. Niemieckie rakiety poważnie zniszczyły Cape Town, Bulawayo i Livingstone, lecz jak dotąd nie wypowiedziano oficjalnie Afryce wojny. Kiedy rozeszły się pogłoski, że Hazard przemieszcza wyrzutnie rakiet wodorowych do Austrii, zarówno premier Rosji, jak i prezydent Ameryki apelował do niego, by nie stosował broni atomowej. Odpowiedź Hazarda była wymijająca. Powszechnie jednak panowało przekonanie, że będzie działał rozsądnie. My jednak sądziliśmy inaczej. Podobnie prezydent Melville, ale on słusznie zachował to dla siebie.

Poleciliśmy rakieta do Waszyngtonu. Jeszcze przed północą jedliśmy kolację w towarzystwie prezydenta. On także był wyczerpany i chory, lecz w ciągu pół godziny przebywania z nami odzyskał siły. Obsługa Białego Domu dokonała wspaniałego wyczynu, improwizując dla wszystkich pięćdziesięciu osób świetny posiłek w wielkiej sali jadalnej. Niemal w pierwszych słowach prezydent zapytał mnie:

- Nie pojmuję, jak może pan wyglądać na tak beztroskiego?
- Ponieważ sądzę, że możemy tę wojnę przerwać.

Wiedziałem, że to właśnie chce usłyszeć. Nie dodałem, że nagle to czy gatunek ludzki wyniszczy sam siebie, czy też nie, stało się dla mnie mało ważne. Powrót pomiędzy te nędzne, kłótniwe i ograniczone istoty był irytujący.

Zapytał, jakie mamy propozycje co do sposobu zakończenia wojny.

- Po pierwsze, panie prezydencie, chcemy, aby ogłosił pan w centralnym programie telewizyjnym, że za sześć godzin pojawi się pan przed kamerami z oświadczeniem dotyczącym całego świata.

- Czy może mi pan zdradzić, co to będzie?

- Jeszcze nie wiem. Sądzę jednak, że dotyczyć ono będzie Księżyca.

Kwadrans po północy, wszyscy znaleźliśmy się na trawniku Białego Domu. Niebo zaciągnięte było chmurami; siąpił zimny, drobny deszcz. Nie miało to dla nas, oczywiście, żadnego znaczenia. Każdy z nas dokładnie wiedział, gdzie usytuowany jest Księżyc. Czuliśmy jego przyciąganie zza chmur.

Nie byliśmy zmęczeni. Wszystkich nas niezmiernie ożywił powrót na Ziemię. Instynktownie czuliśmy, że zapobieżenie tej wojnie nie będzie trudne. Zupełnie inną sprawą było, czy uda się pokonać pasożyty czy też nie.

Doświadczenie zdobyte w Kosmosie dobrze nam posłużyło. Mając pod nogami Ziemię, równoległe połączenie umysłów wydawało się nam najprostszą rzeczą pod słońcem. Tym razem nie było potrzeby, abyśmy z Reichem i Fleishmanem pełnili rolę kontrolną; najgorsze, co mogło się teraz wydarzyć, to zniszczenie Białego Domu.

Połączenie umysłów napełniło nas tak ożywczą radością, takim poczuciem mocy, jakiego dotąd nie zaznałem. Pojąłem teraz głębsze, prawdziwsze znaczenia: "Jesteśmy wzajemnie swoimi członkami". Jawił mi się obraz całej ludzkości pozostającej w kontakcie telepatycznym - zdolnej do połączenia wszystkich swych sił. Człowiek jako "istota ludzka" przestałby istnieć, a perspektywy jego potęgi byłyby nieskończone.

Nasza wola zlała się w jeden strumień, na podobieństwo światła reflektora, i skierowała ku Księżycowi. Na tym etapie nie czyniliśmy żadnego wysiłku, aby zwiększyć moc poprzez wibracje.

Kontakt uzyskany z Księżycem zaskoczył nas. Zupełnie jakbyśmy nagle znaleźli się w najbardziej hałaśliwym tłumie świata, jaki można sobie wyobrazić. Zakłócające wibracje płynące z Księżyca przekazywane były bezpośrednio poprzez rozciągającą się pomiędzy nami linię mocy. W rzeczywistości nie był to hałas słyszalny; ale na kilka sekund - pod wpływem wzbierającej fali zakłóceń psychicznych, która nas zalała - umysły nasze potraciły ze sobą kontakt. Później znów połączyliśmy się, przeciwstawiając się jej. Strumień woli sięgnął Księżyca, wyczuł jego kształt, tak jak dłoń czuje owoc pomarańczy. Przez chwilę, czekając, łagodnie zaciskaliśmy ucisk woli wokół satelity. Następnie, pod przewodnictwem Reicha i moim, zaczęliśmy generować czystą energię kinetyczną.

Wydawało się, że odległość Księżyca nie ma żadnego znaczenia. Wnioskowałem z tego, że ćwierć miliona mil to było dla nas tyle, co rzut kamieniem. Sprawdziliśmy to w ciągu następnych

dwudziestu minut. Ważne było, aby działać powoli tak, by nie tracić sił. Ten gigant, glob o wadze pięciu tysięcy bilionów ton, kołysał się łagodnie na nici, jaką stanowiło przyciąganie Ziemi, niezdolny do zerwania jej. W pewnym sensie, z tego właśnie powodu, był on jakby pozbawiony wagi - cały jego ciężar wywoływany był przez Ziemię.

Teraz wolno, bardzo wolno wywieraliśmy delikatny nacisk na powierzchnię Księżyca; nacisk, który miał spowodować jego obrót. Na początku nie było żadnej reakcji. Wzmogliśmy siłę, szukając większego oparcia w Ziemi (większość z nas uznała pozycję siedzącą za wygodniejszą, mimo wilgoci). Nadal żadnej reakcji. Dzierżyliśmy go delikatnie, zupełnie nie zmęczeni, pozwalając fałom siły wzbierać w sposób naturalny. Po kwadransie wiedzieliśmy już, że zwyciężyliśmy. Księżyc poruszył się, choć bardzo, bardzo wolno. Byliśmy jak dzieci wprawiające w ruch gigantyczną karuzelę. Kiedy już przezwyciężyliśmy początkową inercję, nie było żadnych ograniczeń prędkości, którą mogliśmy mu nadać poprzez łagodne wzmaganie nacisku.

Lecz karuzela ta nie wirowała w kierunku równoległym do Ziemi. Sprawiliśmy, że wirowała pod kątem prostym do linii wyznaczonej przez jego własny ruch wokół Ziemi - to znaczy w kierunku z północy na południe.

Północno-południowy obwód Księżyca wynosi około sześciu tysięcy mil. Kontynuowaliśmy przykładanie sił dopóty, dopóki punkt, w którym ją przykładaliśmy, nie nabrał prędkości trzech tysięcy mil na godzinę. Zabrało nam to niewiele ponad pięć minut, licząc od momentu przezwyciężenia inercji masy spoczynkowej. Oznaczało to, że Księżyc będzie się obracał wzdłuż własnej osi raz na dwie godziny, z taką prędkością zatem, która doskonale miała służyć naszemu celowi.

Weszliśmy do budynku i napiliśmy się gorącej kawy. Dołączyło do nas teraz piętnastu czołowych senatorów, stąd pomieszczenie było przepełnione. Poprosiliśmy ich o ciszę, następnie wszyscy usiedliśmy, koncentrując swe umysły na Księżyc, w celu sprawdzenia, czy nasze działania przyniosły oczekiwane rezultaty.

Okazało się, że tak. W ciągu dwudziestu minut połowa tej części Księżyca, którą widzieliśmy dotąd z Ziemi, przesunęła się w kierunku zewnętrznym od nas. Druga, ciemna dotychczas strona satelity, obracała się zaś ku nam. W rezultacie, dokładnie tak jak to zakładaliśmy, zakłócające działanie Księżyca zmalało o połowę. Przez tysiące lat strumień energii psychicznej skierowany był ku Ziemi - teraz płynął w przestrzeń kosmiczną. Zastygłe siły vitalne Księżyca nie posiadały już aktywnej inteligencji. Nie były w stanie ocenić sytuacji ani rozpoznać faktu, że ich dom obraca się. Poza tym, obracał się on w sposób, który komplikował całą sytuację. Przez wieki całe ich uwaga skierowana była ku Ziemi, która obracała się od lewej strony do prawej, z prędkością powierzchniową niewiele przekraczającą tysiąc mil na godzinę. Obecnie ich własny

glob obracał się pod kątem prostym w stosunku do osi obrotów Ziemi. W rezultacie powstało nieuniknione zamieszanie.

Po godzinie dawna ciemna strona Księżyca była już całkowicie zwrócona ku naszej planecie. Zakłócające wibracje płynące z Księżyca ustały niemal całkowicie. Pytaliśmy senatorów, czy odczuwają jakąś zmianę. Niektórzy nie czuli nic, inni - lekko zakłopotani - odpowiedzieli, że są nieco "spokojniejsi" niż przed godziną.

Wówczas dopiero mogliśmy powiedzieć prezydentowi, co miał oznajmić w swym wystąpieniu. Plan nasz był prosty i przejrzysty - miał on jedynie oświadczyć, że amerykańska stacja badawcza na Księżycu została zniszczona zaraz po poinformowaniu Ziemi o przybyciu uzbrojonych, gigantycznych istot. Prezydent trochę wątpił, czy przyniesie to oczekiwane rezultaty, ale zapewniliśmy że tak, a tymczasem wysłaliśmy go, aby się trochę przespał.

Nie byłem świadkiem historycznego wystąpienia prezydenta w telewizji. Zapadłem w najdłuższy i najgłębszy sen od czasu, kiedy dwa tygodnie temu opuściliśmy im Ziemię. Zakazałem budzenia mnie. Tak więc, kiedy obudziłem się o godzinie dziesiątej, dowiedziałem się, że pierwszy etap przyniósł pożądane rezultaty. Cały świat słuchał wystąpienia prezydenta.

W większych miastach całego świata informacje o osiowym obrocie Księżyca wywołały historyczne podniecenie. (Miałem powód, by czynić sobie gorzkie wyrzuty, gdyż mój stary przyjaciel, sir George Gibbs, Królewski Astronom, gdy ujrzał to w obserwatorium w Greenwich - dostał ataku serca; zmarł kilka godzin później). Oświadczenie prezydenta o obecności obcych istot na Księżycu potwierdziło najgorsze obawy całego świata. Nikt nie pytał, dlaczego obce istoty powodowały obrót Księżyca. Lecz fakt, że obracał się, był widoczny gołym okiem przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Była prawie pełnia. Na ogromnych obszarach Azji i Europy widoczność była doskonała. Co prawda, rotacji Księżyca nie można było zauważyć od razu - tak jak i ruchu wskazówki minutnika na zegarze - ale każdy, kto przyglądał mu się dłużej niż przez dziesięć minut, widział wyraźnie, że obracał się z północy na południe.

Mieliśmy nadzieję, że wiadomości te odwrócą uwagę ludzi od kwestii wojny, ale nie wzięliśmy pod uwagę pasożytów. Koło południa dowiedzieliśmy się, że wystrzelono sześć wodorowych rakiet w kierunku północnych obszarów Jugosławii i Włoch. Zniszczyły one obszar ponad tysiąca mil kwadratowych. Hazard nie mógł zakończyć wojny bez oddania wystrzału. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby chociaż zabił przy okazji Gwambe. Ale jak się okazało, nie zabił go - Gwambe późnym popołudniem oświadczył w przemówieniu telewizyjnym, że bez względu na obecność obcych istot na Księżycu, przysięga, że nigdy nie wybaczy Hazardowi rzezi swych ludzi. (Tak naprawdę zginęli głównie cywile jugosłowiańscy i włoscy; przeważająca część sił Gwambe

znajdowała się bardziej na południu). Od tego momentu - powiedział Gwambe - celem działań wojennych jest całkowite zniszczenie białej rasy.

O szóstej wieczorem dotarli do nas nieco lepsze wiadomości - tysiące ludzi Gwambe zdezerterowało. Perspektywa inwazji obcych istot z Księżyca wyzwoliła w nich lęk o własne rodziny, z którymi chcieli teraz być. Nadal jednak Gwambe twierdził, że jego ludzie będą walczyć do końca. Parę godzin później rakietą wodorową zniszczyła miasto Graz w Styrii. Zginęło pół miliona ludzi Hazarda. Trzy następne rakiety wybuchły na nie zaludnionym terenie pomiędzy Graz a Kagenfurtem, zabijając tylko kilka osób, ale za to dewastując setki mil kwadratowych. Późną nocą dowiedzieliśmy się, że siły Hazarda ostatecznie przekroczyły granicę Jugosławii i stoczyły walkę ze znacznymi siłami Gwambe koło Maribor. Samo miasto Maribor zostało całkowicie zniszczone przez działa wykorzystujące promienie kosmiczne, a starcie obydwu armii odbyło się o milę od miasta.

Nagle stało się jasne, że musimy wkroczyć do akcji. Mieliśmy nadzieję, że zagrożenie płynące z Księżyca wstrzyma działania wojenne na parę dni, dając tym samym czas Światowej Radzie Bezpieczeństwa.

Co pasożyty miały do wygrania dzięki kontynuacji wojny? Jeśli świat uległby zniszczeniu - co by niewątpliwie miało miejsce - one same zginęłyby także. Z drugiej strony, gdyby udało się wojnie zapobiec, szansa ich przetrwania była prawie żadna. Teraz, gdy wiedzieliśmy już, że pasożyty nie są zdolne przetrwać w przestrzeni kosmicznej, mogliśmy codziennie niszczyć tysiące z nich (o ile, oczywiście, nie przystosowałyby się do tych warunków). Być może miały nadzieję, że kilka tysięcy ludzi przetrwa kataklizm, tak jak poprzednio przetrwali katastrofy Księżyca. Jakikolwiek był powód, wydawało się, że za wszelką cenę dążą do tego, by ludzkość popełniła samobójstwo.

Ważny był pośpiech. Jeśli Gwambe czy Hazard szukali zagłady totalnej, łatwo mogli to osiągnąć. Nawet zupełnie niekompetentny inżynier mógł bez trudu przekształcić "czystą" bombę wodorową w bombę z kobaltową osłoną. Można było dokonać tego w ciągu dwudziestu czterech godzin. To prawda, że nawet w takim przypadku, ludzkość mogłaby się jakoś ocalić - byłaby to po prostu kwestia znalezienia sposobu oczyszczenia atmosfery z kobaltu 60. Z naszymi możliwościami psychokinetycznymi moglibyśmy sobie z tym poradzić, ale zajęłoby to miesiące, a może nawet lata. Być może na to właśnie liczyły pasożyty.

Grupa naukowców z Durango (Colorado) pracowała nad pewnym typem rakiet kosmicznej, napędzanej za pomocą gigantycznych fotonowych żagli. Słyszeliśmy o tym jeszcze w bazie nr 91. Była ona skonstruowana ze specjalnie lekkiego stopu litu i berylu i miała ogromne rozmiary, co było konieczne dla podtrzymania gigantycznych żagli. Zwróciłem się z tym do

prezydenta. Na jakim etapie realizacji znajdował się ten projekt? Czy można taki statek użyć już teraz? Skontaktował się z bazą w Durango i wrócił z konkretną odpowiedzią: nie. Co prawda szkielec był już gotowy, ale silniki nadal pozostawały na etapie eksperymentalnym.

Powiedziałem prezydentowi, że nie ma to znaczenia. Potrzebny był nam tylko statek kosmiczny. I musiał być koniecznie pomalowany czarną farbą. Z bazy odpowiedziano nam, że to niemożliwe: powierzchnia jego wynosiła około dwóch mil kwadratowych. Prezydent gniewnie krzyknął coś w teleekran. Następnie wyłączył go zupełnie. Powiedział mi, że statek będzie pociągnięty czernią do czasu, kiedy wylądujemy w Durango.

Niezwykłe rozmiary statku zaskoczyły go. Budowano go w olbrzymim kraterze powstałym po upadku meteorytu w 1980 roku. Konstrukcja otoczona była największą tajemnicą. Krater osłonięto nieprzepuszczalną barierą siłową. Pod tą barierą rakieta z Durango wyglądała jak potężny pocisk. Największą jego płaską powierzchnię stanowiła tylna część, na której zamontowano żagle. Miało to wszystko dwa tysiące stóp wysokości.

Do Durango dotarliśmy pięć godzin po telefonie prezydenta. Wszystko przesiąknięte było zapachem celulozowej farby i wszystko wokół pokrywała rozpylona farba. Ludzie również byli czarni od stóp do głów. Ale - co najważniejsze - czarny był też każdy cal powierzchni statku.

Była prawie północ. Poleciliśmy generałowi Gatesowi, dowódcy bazy, by odesłał wszystkich ludzi do domów i wycofał barierę siłową. Dostał polecenie spełniania wszystkich naszych żądań bez stawiania dodatkowych pytań i trzeba przyznać, że współpracował z nami znakomicie. Nigdy jednak nie widziałem człowieka tak całkowicie zdezorientowanego.

Pokazał nam mechanizm sterujący żaglami fotonowymi. Nie pomalowano ich na czarno, były koloru jasnosrebrzystego, a kształtem przypominały skrzydła motyla.

Muszę przyznać, że czuliśmy się wszyscy dość absurdalnie, stojąc w ogromnym, srebrzystym hallu. Panowało tu lodowate zimno, unosił się zapach farby. Zainstalowano już urządzenia sterownicze, ale prawie nic poza tym. Wnętrze statku wymagało jeszcze roku pracy. Sześć stałych siedzeń umieszczono przy urządzeniach sterowniczych. Pozostali musieli siedzieć na składanych stołkach, specjalnie dla nich przygotowanych.

Kiedy jednak rozpoczęliśmy manewr oderwania się od powierzchni Ziemi, poczucie absurdu zniknęło. Nie mieliśmy żadnych trudności - kadłub był wyjątkowo lekki. Mógłby go właściwie unieść jeden człowiek. Zadanie zastąpienia brakującego napędu statku powierzyliśmy zespołowi dziesięciu osób pod kierunkiem Ebnera, Ja sam zasiadłem przy sterze. Jediną osobą nie należącą do naszego zespołu był kapitan Haydon Reynolds z Amerykańskich Sił Powietrznych - nawigator. Z pewnością dziwił się, co tu właściwie robi, jako że na statku bez silnika nie potrzeba przecież nawigatora.

Unieśliśmy się w powietrze dwadzieścia minut po północy, osiągnęliśmy wysokość dziesięciu tysięcy stóp i skierowaliśmy się na wschód. Reynolds był przez pierwszy kwadrans tak oniemiały ze zdziwienia, że trudno było wyciągnąć od niego jakiegokolwiek informacje. Później doszedł do siebie i od tej chwili lot przebiegał bez najmniejszych zakłóceń.

Amerykański system obronny został poinformowany, że przekroczymy granice obszaru wczesnego ostrzegania o wpół do pierwszej, tak więc nie mieliśmy żadnych kłopotów. Za kwadrans pierwsza nasza telewizja nadała ostrzeżenie, że z kierunku Księżyca wszedł w atmosferę ziemską ogromny obiekt. Było to zgodne z planem, jaki pozostawiliśmy prezydentowi.

Nad Atlantykiem przyspieszyliśmy do prędkości tysiąca mil na godzinę. W rezultacie temperatura wewnątrz statku podniosła się, co znacznie obniżyło komfort naszej podróży. Ale przecież walczyliśmy z czasem. Kiedy wyruszaliśmy z Durango, w Mariborze było już wpół do ósmej rano. Musieliśmy pokonać pięć tysięcy mil - i ważne było, aby zrobić to przed zapadnięciem zmroku. Zanim znaleźliśmy się nad Europą, wznieśliśmy się na wysokość dwudziestu pięciu tysięcy stóp. Wiedzieliśmy, że system wczesnego wykrywania nad Anglią i Francją został już w tym czasie zaalarmowany i konieczna będzie nieustająca czujność.

Pierwszą rakietę wystrzelono w naszym kierunku gdzieś z okolic Bordeaux. Dziesięciu z nas, pod kierunkiem Reicha, utrzymywało barierę siłową wokół statku, co doprowadziło do eksplozji rakiety w odległości dwóch mil od statku. Niestety, Reich zapomniał o zneutralizowaniu fali uderzeniowej i w efekcie zaczęło nami rzucać, jak korkiem po morzu podczas sztormu. Na kilka sekund utraciliśmy kontrolę nad statkiem, później udało mi się zablokować falę i znowu ruszyliśmy bez przeszkód dalej. Po tym wypadku Reich dbał o to, by kierować siłę eksplozji w kierunku przeciwnym od nas.

Na ekranie monitora wyraźnie było widać, że nasz lot obserwowano. Wybuchy kierowanych w nas pocisków nie pozostawiały wątpliwości, iż uznano nas za przybyszów z Księżyca, dysponujących śmiercionośną bronią.

O godzinie pierwszej czasu europejskiego znaleźliśmy się dokładnie nad polem bitwy w Maribor. Obniżyliśmy wysokość lotu do kilku tysięcy stóp. Ponieważ poruszaliśmy się bezgłośnie, dobrze słyszeliśmy dochodzące z dołu odgłosy odległej strzelaniny.

Dobrze, że wybraliśmy statek o takich rozmiarach. Pole bitwy było ogromne - rozciągało się na dziesięć mil. Nie było tam większych skoncentrowanych oddziałów - jedynie małe grupy ludzi obsługujących przenośne działa i wyrzutnie raketowe. Dzięki naszym rozmiarom byliśmy wyraźnie widoczni dla obydwu stron, mimo że cały obszar zasnuwała gruba warstwa dymu.

Teraz rozpoczęła się główna faza operacji - i to faza, której powodzenia nie mogliśmy zagwarantować.

Mogliśmy z łatwością zniszczyć wszelkie życie w obrębie stu mil kwadratowych i w ten sposób całkowicie zakończyć wszelkie walki, ale żaden z nas nie zdecydowałby się na to. Czuliśmy głęboką pogardę dla tych wzajemnie mordujących się ludzi, lecz nie dawało to nam prawa, by ich pozbawić życia.

Przede wszystkim musieliśmy unieruchomić samobieżne wyrzutnie rakietowe. W ciągu dziesięciu minut od naszego ukazania się wystrzelona została w naszym kierunku ogromna ilość rakiet. Likwidowaliśmy je, a następnie grupa Reicha zniszczyła wszystkie wyrzutnie, po prostu miażdżąc je. Na polu bitwy pozostało jeszcze jednak około tysiąca dział i wyrzutni - musieliśmy mieć pewność, że żadna z nich nam nie zagrozi. Chcieliśmy móc skoncentrować się w pełni na najważniejszej części naszego zadania. Prawie godzinę zajęło nam lokalizowanie po omacku, w dymie, kolejnych dział i wyrzutni - i niszczenie ich.

Nasze pojawienie się wywołało panikę. Kiedy jednak okazało się, że nie zastosowaliśmy śmiercionośnego promieniowania, panika opadła. Nasze działania zmierzające do unieruchomienia dział, niezbyt rzucały się w oczy, zauważyli je jedynie ci, którzy byli bezpośrednio w ich pobliżu. Tak więc po chwili wzbudzaliśmy raczej zdziwienie niż lęk. Nasze mentalne "czujniki" były tego świadome i sami nastrój ten aktywnie wzmagaliśmy.

Było to dziwne uczucie. Siedzieliśmy tam wszyscy w całkowitym milczeniu. Jednym słyszalnym odgłosem był szum wiatru. Strzelanina w dole ucichła. Wiedzieliśmy, że jesteśmy obserwowani przez milion mężczyzn zgrupowanych w dwóch armiach. Uświadamiałem sobie nawet obecność pasożytów w wielu z nich, gdyż reakcją "zombich" była obojętność i chłód, odmiennie od reakcji innych ludzi.

Wtedy Fleishman dotknął guzika kontrolującego żagle fotonowe - zaczęły się one wolno otwierać. Musiało to robić wrażenie: te ogromne, srebrzyste skrzydła, które najpierw wysunęły się z tyłu statku, a następnie powoli rozwijały się, aż osiągnęły rozmiary czterokrotnie większe od statku. Całkowita ich powierzchnia wynosiła osiem mil kwadratowych. Wyglądaliśmy teraz jak gigantyczny owad o ciemnym tułowiu i błyszczących, niemal przezroczystych skrzydłach.

Trzeba zrozumieć, że pozostawaliśmy w bliskim kontakcie z naszą "widownią", tak bliskim i intymnym, jaki nawiązuje się pomiędzy aktorem i widzami w teatrze. Zarejestrowaliśmy u nich reakcję zdumienia, w którym zawierał się tylko element lęku.

Gdy zaczęliśmy bardzo wolno przesuwac się po niebie, uzmysłowiłem sobie zmianę reakcji. Obserwowali ten wielki, srebrzysty obiekt z fascynacją, ale już bez tej znamionującej inteligencję ciekawości. Uwaga widzów osłabła. Trudno się temu dziwić, jako że nie spuszczała z nas oczu już od godziny. Odbijające się od fotonowych żagli promienie słoneczne oslepiły ich.

Byliśmy dla obserwujących gigantycznym i pięknym owadem, zbyt świetlistym, by móc na niego patrzeć, ale też zbyt fascynującym, aby go stracić z oczu.

Takiego właśnie efektu spodziewaliśmy się. Statek przesunął się bardzo wolno, stopniowo zniżając się ku ziemi. Spowodowało to, że uwaga jaką nam poświęcono, stała się miękka i hipnotyczna. Ten spokojny, łagodny ruch był dziełem zespołu Reicha. Nie było to łatwe, gdyż olbrzymia powierzchnia skrzydeł powodowała, że był on pod ciągłym działaniem wiatru, gdyby więc ich czujność zmalała choćby przez chwilę, zaczęlibyśmy wirować.

Teraz pozostałe pięćdziesiąt osób połączyło się równolegle. Owe obserwujące umysły były całkowicie w naszej władzy, zupełnie jak dziecko, któremu opowiada się porywającą historię. Zaobserwowałem ciekawe zjawisko, którego istnienie zawsze podejrzewałem. Wszyscy ci widzowie byli równocześnie połączeni telepatycznie między sobą poprzez fakt wspólnego zainteresowania nami. Zjawisko to wyjaśniało, dlaczego tłum może okazać się czasami tak niebezpieczny. Podniecona ciżba wytwarza, dzięki panującej w niej "wibracji", pewien rodzaj telepatycznej siły. Dzieje się to jednak w sposób chaotyczny, nieskoordynowany, stąd aby uwolnić powstałe napięcie, tłum skłonny jest do gwałtownych czynów.

Mogliśmy dysponować napięciem obecnym w tym zbiorowisku. Tłum stanowił jakby jeden ogromny, otwarty dla nas umysł. Umysł ten był całkowicie skoncentrowany na olbrzymim, owadopodobnym obiekcie, który zbliżał się właśnie ku powierzchni Ziemi. Ludzie byli zahipnotyzowani i całkowicie podatni na sugestię.

Najważniejsza część operacji spoczywała teraz w moich rękach. Umysły ich podobne były do odbiorników telewizyjnych, podczas gdy ja byłem stacją nadawczą. Dzięki temu wszyscy uświadomili sobie nagle, że otwierają się wielkie drzwi po obu stronach statku. Następnie, przez owe drzwi - mające ponad tysiąc stóp wysokości - ukazali się przybysze z Księżyca. Także i oni mieli ponad tysiąc stóp wysokości. Wyglądem przypominali owady: zielonego koloru, o długich nogach podobni do polnych koników. Mieli twarze zbliżone do ludzkich: długie, haczykowate nosy i małe, ciemne oczka. Poruszali się szarpanymi ruchami, jakby trudno im było dostosować się do ziemskiej grawitacji. Kończyny ich zakończone były szponami jak u ptaka.

Następnie, długimi skokami, przybysze ci skierowali się ku obserwujących ich armiom. Przekazałem wojskom fale koszarnej paniki zawierającej pewność, że nastąpi ich straszliwa zagłada. Jednocześnie uwolniłem je od napięcia, które przykuwało walczących do miejsca i nakazałem im obserwować wszystko bez cienia nadziei. W rezultacie nastąpiła paniczna ucieczka. Wrażenie paniki było tak dokuczliwe - nieomal nieprzyzwoite w tym skrajnym przerażeniu - że przerwaliśmy telepatyczny kontakt z nimi i pozwoliliśmy im uciekać. Żaden nawet się nie obejrzał. Tysiące z nich padało na ziemię, byli tratowani przez innych - według późniejszych danych zginęło

w ten sposób około piętnastu procent uciekających. Straty nie byłyby większe nawet wtedy, gdyby wrodzy przybysze okazali się prawdziwi.

Wszystko to okazało się bardzo nieprzyjemnym przeżyciem. Jeszcze całe tygodnie przypominała mi się ta panika; powracała jak obrzydliwy smak w ustach. Było to jednak konieczne. Oczywiście, zakończyło to wojnę. Od tej chwili Gwambe i Hazard przestali być przywódcami. Zostali całkowicie zignorowani i zapomniani. Wojna okazała się snem, z którego wszyscy się obudzili, dziecięcą grą, która dobiegła końca. W ciągu następnych trzech dni brygady Organizacji Światowej (działające w ścisłej współpracy z prezydentem Stanów Zjednoczonych) zdołały aresztować tysiące ludzi spośród rozproszonych armii, włączając w to Gwambego i Hazarda. (Tego ostatniego zastrzelono podczas "próby ucieczki", Gwambe zaś został zamknięty w zakładzie psychiatrycznym w Genewie, gdzie zmarł rok później).

Mogłoby wydawać się, że po tym zwycięstwie zechcemy osiąść na laurach. W rzeczywistości, z dwu powodów, nie mieliśmy na to ochoty. Zwycięstwo nasze było dziecinnie proste. Zrelacjonowałem je tu dość szczegółowo ze względu na jego historyczne znaczenie, ale jako pewien typ strategii nie zasługuje na więcej niż dwie linijki opisu. Po wtóre - naprawdę interesująca część zadania ciągle jeszcze była przed nami. Chodziło o wydobycie świata z pewnego rodzaju szaleństwa oraz rozważenie metody ostatecznego zniszczenia pasożytów.

W przyjętych przez nas metodach nie było nic spektakularnego. Po prostu powiedzieliśmy ludziom prawdę. Następnego dnia po naszym "zwycięstwie" prezydent Melville oświadczył w telewizyjnym wystąpieniu, że rząd Stanów Zjednoczonych ma wszelkie podstawy, by sądzić, że "przybysze z Księżyca" opuszczają nasz system słoneczny i że nie ma już bezpośredniego zagrożenia dla naszej planety. Dodał też: "Jednakże w obliczu stałej groźby ataku spoza Ziemi, Stany Zjednoczone wzywają do natychmiastowego sformowania Rządu Zjednoczonego Świata, dysponującego pełnymi prerogatywami do mobilizacji Światowych Sił Obronnych". Propozycja ta została natychmiast przyjęta przez Narody Zjednoczone. Wtedy to rozpoczęła się realizacja wielkiego zadania, co tak wyczerpująco udokumentował Wolfgang Reich w swej książce *Przebudowa Świata*.

Najważniejszym naszym przedsięwzięciem było, oczywiście, zniszczenie pasożytów. Uznaliśmy jednak, że nie było ono najpilniejsze. Obroty Księżyca spowodowały znaczne osłabienie ich mocy poprzez ograniczenie podstawowego źródła pobudzania. Był jeszcze jeden powód, by zająć się nimi dopiero w drugiej kolejności. Mówiłem już, że pasożyty stanowiły w pewnym sensie "cień" ludzkiego tchórzostwa i bierności. Karmiły się niepowodzeniami i paniką, żerowały na ludzkim lęku. W tej sytuacji najlepszym sposobem zwalczania ich było wywołanie

atmosfery siły i celowości. I to właśnie uznaliśmy za nasze główne zadanie w następnym roku. Zasadniczym problemem było, aby Światowe Siły Bezpieczeństwa stały się rzeczywiście efektywne, by likwidowały wszelkie oznaki działalności pasożytów. Znaczyło to, że dwudziestka spośród nas musiała zaangażować się w problemy organizacyjne. Równie istotne było przekonanie ludzi, że pasożyty są czymś realnym, wobec czego ludzkość musiała utrzymywać ciągłą czujność. To z kolei oznaczało, że musieliśmy rozszerzyć naszą grupę tak, by liczyła tysiące, czy nawet miliony osób. Dlatego właśnie tylko dwudziestu z nas (włączając w to Ebnera i Fleishmana) mogliśmy oddelegować do Światowej Organizacji Bezpieczeństwa.

Pozostali oddali się zadaniu nauczania.

Muszę powiedzieć na ten temat kilka słów, jako że, w gruncie rzeczy, wszystko zależało od tego, czy odniesiemy sukces na tym polu. Znalezienie kandydatów do nauki technik "kontroli umysłu" nie było zadaniem łatwym. Mogłoby się wydawać, że nie stanowi to żadnego problemu; w końcu ja sam nauczyłem się tego - podobnie jak Reich czy Fleishman. Może wystarczyłoby, gdybyśmy podali ludziom do wiadomości fakty dotyczące pasożytów, a oni nauczyliby się wszystkiego sami?

Twierdzenie to jest tylko częściowo prawdziwe. Oczywiście, zdarza się tak, ale stwarza to pewne problemy. Walka z pasożytami wymaga szczególnego typu precyzyjnej i aktywnej inteligencji - większość ludzi zaś jest tak intelektualnie "rozleniwiona", że pasożyty bardzo łatwo wyprowadziłyby ich w pole. Znajdują się oni obecnie w dość niebezpiecznej sytuacji, ponieważ mają złudne poczucie bezpieczeństwa, podtrzymywane starannie przez pasożyty. Jest to taki przypadek, gdy odrobina wiedzy jest niebezpieczna.

Jednakże fakt, że około trzy czwarte populacji ludzkiej natychmiast zaczęło wierzyć, że osiągnęło doskonałą "kontrolę umysłu", postawił nas przed ogromnym problemem. Skąd mianowicie mieliśmy wiedzieć, które osoby spośród tych milionów zasługiwały na naszą bezpośrednią uwagę? Nie od razu uporaliśmy się z tym problemem. Ograniczyliśmy się do osób wybitnie inteligentnych, szczególnie takich, które przebiły się samodzielnie, jako że podstawowym wymogiem była odwaga i witalność. Ale i tu popełniliśmy wiele błędów. Kiedy Reich i ja odnosiliśmy swoje pierwsze zwycięstwa nad pasożytami, byliśmy do tego pobudzani przez bezpośrednie zagrożenie. Tym nowym kandydatom nie groziło nic, a do wielu z nich nie mogło po prostu dotrzeć, że sprawa jest pilna.

Zdałem sobie teraz sprawę, jak bardzo sukces w tym świecie zależy od posiadania nawyku agresywności i ciężkiej pracy, a jak mało od inteligencji. Nie mieliśmy czasu na nieudane próby. Gdybyśmy użyli swych telepatycznych zdolności, by pobudzić ludzi, pogłębiłoby to tylko ich lenistwo. Prędko więc rezygnowaliśmy z nich, przyjmując na to miejsce innych. Wkrótce

uderzyło nas, że nawet całkiem inteligentni i poważni ludzie mogli cierpieć na umysłowe lenistwo, jeśli nawyk taki utrwał się u nich w dzieciństwie. Postanowiliśmy więc, że nasi przyszli kandydaci zwerbowani zostaną w możliwie najwcześniejszym okresie swego życia. W tym celu stworzyliśmy spośród siebie oddzielną grupę, która sprawdzała możliwości umysłowe nastolatków i dzieci. Przekształciło się to w, tak zwaną, "Belinnan K-Test Group", której osiągnięcia przeszły wszelkie nasze oczekiwania - w ciągu dwóch lat było już ponad pięćset tysięcy adeptów "kontroli umysłu" w wieku poniżej dwudziestu jeden lat.

Pod koniec roku wiedzieliśmy już, że wygraliśmy walkę o ugruntowanie trwałego pokoju na Ziemi. Mogliśmy więc znów skierować uwagę ku Księżycowi. Teraz było to już konieczne. Zakłócające siły Księżyca dostosowały się już do niezwyklego ruchu i ponownie zogniskowały się na Ziemi. Dokładnie tego się spodziewałem; rotacja satelity stanowiła tylko krótkotrwałe rozwiązanie.

Nie konsultując tego z nikim, pięciuset z nas podjęło decyzję, że Księżyc będzie musiał zostać oderwany od ziemskiego pola grawitacyjnego. Nad operacją tą zaczęliśmy pracować w styczniu 1999 roku - ostatniego Nowego Roku Starego Stulecia. Była to głównie kwestia techniczna. Jej rozwiązanie polegać miało na wywieraniu stałego nacisku na Księżyc przez bardzo długi okres, nie zmniejszając go przy tym ani przez moment. Operację tę należało przeprowadzić bardzo wolno. Gęstość Księżyca jest w porównaniu z gęstością Ziemi znacznie mniejsza; stanowi on w gruncie rzeczy coś niewiele różniącego się od grubego żużlu. Podczas jego długiej historii uderzały weń niezliczone meteoryty i komety (niektóre z nich miały spore rozmiary), tak że Księżyc był pełen pęknięć, jak kupa potłuczonego szkła. Oznaczało to, że istnieje niebezpieczeństwo rozpadnięcia się go w przypadku zbyt gwałtownego nacisku. Ziemię otoczyłby krąg księżycowych asteroidów, co nie polepszyłoby bynajmniej naszej sytuacji.

Zamiar nasz nie ograniczał się wyłącznie do osłonięcia Ziemi przed oddziaływaniem Księżyca. Chcieliśmy także uczynić coś, by unieszkodliwić życie na satelicie. Postanowiliśmy pchnąć Księżyc ku Słońcu, gdzie bezcieleśni mieszkańcy mogliby ponownie odzyskać wolność.

Cztery grupy, po sto dwadzieścia pięć osób każda, przemieściły się na zewnątrz do północnej części chemisfery i rozpoczęły łagodne przesuwanie Księżyca w otwartą przestrzeń kosmiczną. W efekcie nastąpiło zwiększenie prędkości jego obrotów wokół Ziemi, dzięki przekazaniu mu większej energii. To z kolei oznaczało przesunięcie Księżyca dalej od Ziemi. (Był on niegdyś bardziej oddalony od Ziemi niż w wieku dwudziestym, ale w miarę utraty energii zbliżał się do niej coraz bardziej).

W ciągu 1999 roku zwiększyliśmy prędkość obrotów satelity z dwudziestu ośmiu do czterdziestu dni. Nie było to zbyt trudne zadanie - w tym czasie wiedziałem już wystarczająco

wiele o tajemnicach umysłu i jego związkach z materią Wszechświata, aby podołać temu zadaniu nawet w pojedynkę. Księżyc oddalony był teraz od Ziemi o milion mil, co oznaczało, że prędkość jego poruszania się na orbicie została zwiększona dziesięciokrotnie. Obliczyliśmy, że prędkość tę trzeba będzie jeszcze podwoić (do czterdziestu tysięcy mil na godzinę) nim nastąpi ucieczka Księżyca od naszej planety. Wówczas automatycznie skieruje się on ku Słońcu. Ostatecznie wydarzenie to miało miejsce 22 lutego roku 2000 - Ziemia utraciła swego satelitę przy gwałtownych protestach sentymentalistów, które zresztą zignorowaliśmy. W obliczeniach popełniliśmy jeden mały błąd: trzy miesiące później, przechodząc przez orbitę Merkurego, Księżyc wpadł w jego pole grawitacyjne. Ponieważ jednak masa Merkurego zbliżona jest do masy Księżyca, to nie mógł on w żadnym wypadku pozostać jego satelitą. Merkury przesunięty został o siedem milionów mil bliżej Słońca, a Księżyc wszedł ostatecznie na orbitę oddaloną przeciętnie o dziewiętnaście milionów mil od Słońca. W takiej odległości temperatura powierzchni jest wystarczająco wysoka, by utrzymywać skały w stanie płynnym. "Życie" Księżyca uzyskało w końcu pewien stopień wolności.

Jest to moment, w którym muszę skończyć - nie dlatego, że wszystko zostało już powiedziane, ale ponieważ to co pozostaje do powiedzenia, zbyt trudno jest wyrazić w tym kontekście.

Przeciętnemu współczesnemu człowiekowi wydaje się zapewne, że my - "wtajemniczeni" - osiągnęliśmy status bogów. I w pewnym sensie tak się stało, przynajmniej, porównując nas z ludźmi wieku dwudziestego. Jednocześnie jednak jesteśmy oddaleni od celu tak daleko jak zawsze. Nie ogranicza nas już niewiedza i brak celu, ale niewiedza nasza wciąż jeszcze jest ogromna. Droga, którą musimy wędrować, nadal sięga aż po horyzont. Nie sposób wyjaśnić natury problemów, w obliczu których stajemy. Gdyby istoty ludzkie zdolne były je zrozumieć, nie byłoby potrzeby ich wyjaśniać.

- Nie wiem, czy mogę uznać siebie za szczęściarza, czy nie. Miałem szczęście, że byłem w czołówce tego wielkiego skoku w ewolucji człowieka. Teraz rozumiem, co pozostaje jeszcze do zrobienia. Nie mam natomiast szczęścia, ponieważ utraciłem - z kilkoma istotnymi wyjątkami - kontakt z całą resztą gatunku ludzkiego. Człowiek jest z natury leniwy, a lenistwo z całą pewnością jest czymś godnym potępienia. Oznacza to, że nie lubi on niewygody i stworzył cywilizację po to, aby od niewygody uciec. W rezultacie jego lenistwo stało się istotnym czynnikiem ludzkiej ewolucji. Ale oznacza to także, że woli on rozwijać się we własnym, wolnym tempie. Walka z pasożytami umysłu włączyła mnie w szybszy rytm ewolucyjny; spowodowała, że nieskończone światy umysłu są teraz otwarte dla ludzkich poszukiwań - wydaje mi się to niewystarczające. Zbyt wiele pytań pozostaje ciągle bez odpowiedzi. Prawdą jest, że człowiek nie może już dłużej istnieć

w oderwaniu od swego ewolucyjnego celu. Wydaje się też całkiem prawdopodobne, że człowiek żył będzie teraz przez całe wieki, zamiast umierać w wieku osiemdziesięciu lat z powodu nudy i porażek. Ciągłe jeszcze nie wiemy, co dzieje się, gdy człowiek umiera, albo kiedy z niebytu powstaje byt. Wiemy, że funkcjonuje we Wszechświecie dobroczynna zasada celowości, lecz nadal nie wiemy, czy zasada ta jest w ostatecznej instancji tożsama z biblijnym Stwórcą, czy też wynika może z jeszcze głębszych źródeł. Nietknięta pozostaje tajemnica czasu; podobnie rzecz się ma z fundamentalnym pytaniem, postawionym przez Heideggera: "Dlaczego raczej egzystencja niż jej brak?" Być może odpowiedź znajduje się w jakimś całkowicie innym wymiarze, tak różnym od świata umysłu, jak inny jest umysł od świata przestrzeni i czasu...

Postanowiliśmy zakończyć relację tym właśnie ustępem z nie publikowanych dzienników Austina, ponieważ wydawca sądzi, że daje on możliwość rozwiązania tajemnicy "Pallas".

Tak wiele słów poświęcono owej "Marie Celeste przestrzeni kosmicznej", że przesłaniały one fakty. Poniższy urywek z "Autobiografii" Jamesa Ramsey'a ukazuje bardzo jasno znane fakty.

W styczniu 2007 roku rząd Stanów Zjednoczonych podał do publicznej wiadomości, że oddał swój statek "Pallas", największy pojazd kosmiczny jaki dotąd zbudowano, do dyspozycji ekspedycji kierowanej przez profesorów Reicha i Austina. Jak oświadczone, celem była wyprawa archeologiczna na planetę Pluton, w nadziei odkrycia śladów zaginionych cywilizacji. Na dwa dni przed startem ukazał się w "World Press News" artykuł Horacego Kimella. Utrzymywał on, że prawdziwym zadaniem ekspedycji było stwierdzenie, czy Pluton mógłby stanowić bazę ogromnych statków kosmicznych, których obecność stwierdzono w górnych warstwach atmosfery... Profesor Austin kategorycznie temu zaprzeczył.

"Pallas" - z załogą liczącą dwa tysiące osób starannie dobranych przez kierowników wyprawy (pośród których, nawiasem mówiąc, znaleźli się wszyscy, poza siedmioma, członkowie poprzedniej wyprawy z 1997) - wyruszyła z Waszyngtonu drugiego lutego 2007 roku. Ostatni kontakt z nią miał miejsce na krótko przed północą tego samego dnia, gdy Austin przekazał, że statek przebył około miliona mil. Wszelkie następne próby nawiązania z "Pallas" łączności zawiodły...

Dokładnie dziesięć lat później, 10 lutego 2017 roku, kierowana przeze mnie ekspedycja wyruszyła specjalnie w celu odnalezienia śladów "Pallas". Mieliśmy trzy statki: "Centaur", "Clio" i "Leicester". Dotarliśmy do Plutona 12 stycznia roku 2018. Miesiąc później, po czterech obrotach planety, przygotowywaliśmy się do powrotu na Ziemię. Wtedy to "Clio" odebrała wyraźne sygnały radiowe z "Pallas"... Ostatecznie zlokalizowaliśmy zaginiony statek w dniu 2 marca 2018 roku. Dryfował on około dwóch milionów mil od Plutona. Wszystkie światła tego ogromnego okrętu

były zapalone, a brak zewnętrznych uszkodzeń pozwalał mieć nadzieję, że część załogi mogła ocaleć. Kiedy jednak brak było jakiegokolwiek odpowiedzi na nasze sygnały, uznałem, że to za mało prawdopodobne i wydałem porucznikowi Firminowi rozkaz przebicia się przez właz bezpieczeństwa statku. Grupa, na której czele stałem ja sam, weszła na pokład "Pallas" - okręt kosmiczny okazał się być całkowicie opuszczony. Brak było jakiegokolwiek śladów gwałtu, a stan przedmiotów, stanowiących własność osobistą członków załogi, wskazywał, że nie zamierzali oni ewakuować się ze statku. Dziennik pokładowy "Pallas" prowadzono do dnia 9 czerwca 2007 roku. Wynikało z niego, że statek spędził czas jakiś na Plutonie. Zamierzano następnie wyruszyć w drogę na Neptuna, gdy tylko peryhelium Plutona odpowiadać będzie aphelium Neptuna. Automatyczny zapis statku funkcjonował od tego dnia normalnie, ale wykazywał, że "Pallas" swobodnie dryfowała w przestrzeni. Nic nie wskazywało na to, by jakiegokolwiek obce ciała - większe od odpychanych automatycznie pięćdziesięciofuntowych meteorytów - zderzyły się ze statkiem. Z zapisu wynikało także, że drzwi do "Pallas" nie były otwierane od chwili opuszczenia Plutona. Teoria wysunięta przez naczelnego lekarza "Clio", według której załoga "Pallas" uległa zatomizowaniu w wyniku pojawienia się jakiegoś eksplodującego źródła promieni kosmicznych (niszczących tylko materię organiczną), została obalona za pomocą dowodu Dunbara Assimilatora.

Silniki "Pallas" zostały wyłączone w normalny sposób o godzinie 9.30 dnia 9 czerwca i lot statku został zatrzymany. Silniki, jak się okazało podczas przeprowadzonej przez nas próby, były nadal idealnie sprawne.

"Pallas" została sprowadzona na Ziemię, pilotowana przez porucznika Firmina i dotarła na nią 10 grudnia 2018 roku. Dalsze poszukiwania nie wniosły nic do wyjaśnienia tej tajemnicy, a późniejszym ekspedycjom na Plutona i Neptuna nie udało się zdobyć jakiegokolwiek nowych danych.

Zdaniem wydawcy niniejszej pozycji, o czym wspominałem już poprzednio, zniknięcie "Pallas" było zaplanowane; a gdy statek ten wystartował w lutym 2007 roku, każdy z członków załogi wiedział, że nigdy już nie wróci. Fakty nie odpowiadają żadnej innej teorii. Brak jakiegokolwiek dowodów na to, aby "Pallas" została niespodziewanie zaatakowana, czy też na to, że instrumenty pomiarowe statku zostały w jakiś sposób przestrojone, tak by zniszczyć takie dowody. Brak również świadectw wskazujących, że załoga "Pallas" zamierzała dać początek nowej cywilizacji na innej planecie. Na pokładzie znajdowały się jedynie trzy kobiety - gdyby w grę wchodził podobny plan, to z pewnością byłoby ich więcej.

Według mnie, obecne wydanie Pasożytów umysłu oferuje konkretne rozwiązanie tajemnicy "Pallas". Wyjątek ze stron 271 i 272, dotyczący "policji Wszechświata", a zaczerpnięty z nie

publikowanych materiałów Austina, wydaje się nam najważniejszy. Mówi on: "Najbliższym z tych odbiorników był krążownik z planety należącej do systemu Proxima Centauri, usytuowany zaledwie około czterech miliardów mil stąd". W styczniu 1997 roku, a więc w czasie, do którego odnosi się ta notatka, Pluton był prawie w odległości aphelionu od Słońca (4567 milionów mil). Możliwe więc, że "odbiornik" o którym mówi Austin, znajdował się gdzieś w pobliżu Plutona, choć oczywiście mogło to być w jakimś innym kierunku. Czy możliwe, by "policja Wszechświata" z Proxima Centauri miała coś w rodzaju bazy na Plutonie? A gdzie Kimmel zdobył informacje, że prawdziwym celem ekspedycji było stwierdzenie, czy Pluton mógł stanowić bazę "latających talerzy", widywanych przez tak wielu ludzi w początkach tego stulecia? Kimmel zginął w wypadku raketowym dwa miesiące po tym, jak "Pallas" wyruszyła na Plutona i nigdy nie wyjawiał źródła tej pogłoski. Znany był jednak jako uczciwy i zrównoważony dziennikarz, ściśle trzymający się faktów. Jest rzeczą mało prawdopodobną, by po prostu wszystko to wymyślił.

Mamy też, na koniec, słowa Austina, zapisane zaledwie miesiąc przed odlotem ekspedycji. Stwierdza on, że "stracił kontakt z resztą gatunku ludzkiego", a walka przeciwko pasożytom "dała mu możliwość przyspieszenia tempa ewolucji". Czy w świetle słów o "policji Wszechświata" może być coś bardziej naturalnego niż to, że Austin zaplanował swoje odejście i dołączenie do niej?

Nade wszystko jednak, trudno o coś równie dziwnego, jak niezwykła wstrzeźliwość Austina, gdy wspomina o "policji Wszechświata". Można by spodziewać się przecież, że kwestii tej poświęci on wiele stron. Pewne wyjaśnienie powodu tego milczenia zawarte jest w rękopisie Dagoberta Ferrisa, innego członka tej niezwykłej ekspedycji i jednocześnie autora pracy w kierunku psychologii Złotego Wieku. Ferris również zniknął z pokładu "Pallas", ale pozostawił relację ze swej rozmowy z profesorem Reichem. Miała ona miejsce po tym, gdy zdali sobie sprawę z istnienia "kosmicznej policji".

A oto kilka wyjątków z tej relacji:

Zastanawialiśmy się nad tym, jak mogą wyglądać te istoty. Czy byty takie jak my, czy posiadały ręce i nogi? Czy też przypominały może jakieś dziwaczne zwierzę lub rybę - może ośmiornicę? Czy przejęłyby po prostu władzę na Ziemi i przywróciły pokój, czy też sięgnęłyby po surowe środki represji wobec takich ludzi jak Hazard i Gwambe?

Urywek ten jest sam w sobie dość dziwny. Dlaczego w ogóle zakładali, że "policja" wzięłaby Ziemię we władanie? Czy Austin rozmawiał z nim na temat takiej możliwości? I czy ostatecznie zadecydowano, że Austin i jego towarzysze zdołają opanować kryzys wywołany przez Gwambego?

Wizja nowego "rządu" na Ziemi nappełniała mnie poczuciem szczęścia. Od czasu, kiedy "Bóg umarł" w wieku osiemnastym, człowiek zawsze miał wrażenie samotności w pustce

kosmosu, poczucie, że nie ma sensu szukać pomocy w niebiosach. Czuł się jak dziecko, które pewnego ranka budzi się i dowiaduje, że ojciec jego nie żyje, a ono samo musi teraz przyjąć rolę głowy rodziny. Utrata ojca jest jednym z najsilniejszych szoków psychicznych, jakie mogą dotknąć człowieka. Wszyscy pamiętamy okres szkolny, gdy wytężona praca przynosiła natychmiastowe rezultaty, nagrody na koniec semestru, pochwały od dyrektora, czy też przychylność starszych kolegów. A potem opuszczamy szkołę i nie ma już nikogo "nad" nami. Jesteśmy pozostawieni sami sobie. (Muszę przyznać, że kiedy ja sam skończyłem szkołę, kusiło mnie, by wstąpić do armii, tylko po to, by mieć znów to poczucie "przynależności" do jakiejś grupy). Dręczy nas dziwne uczucie pustki, bezsensu wszystkiego, co się robi. Takie jest z pewnością zaplecze "moralnego bankructwa" XX wieku.

A teraz miało się to skończyć. "Byty" jednak moce potężniejsze od człowieka, moce, które mogliśmy považać. Życie znowu stało się pełne znaczenia, pustka zostałaby wypełniona... Ludzkość mogła wrócić do szkoły. A czemu by nie, skoro składała się głównie z uczniów?

Reich nie zgadzał się ze mną. Zapytał: - Czy nie sądzisz, że to "nasza" sprawa? - Odparłem: - Nie, wolę się uczyć, niż nauczać. - W tym momencie przerwał nam Austin. - Zgadzam się z Reichem. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego dla ludzkości niż wiara, że jej sprawy wzięte zostały w ręce nadludzi.

Osobiście sądzę, że to jest właśnie powód, dla którego Austin nie zgodził się na pomoc "policji kosmicznej". Sądzę także, że z tego samego powodu uznał, iż nadszedł czas, gdy powinien zniknąć - zniknąć w sposób, który wykluczałby pewność co do jego śmierci.

Tak więc, ponieważ wydaje się pewne, że nowe fakty nie zostaną już nigdy odkryte, nie pozostaje nam nic innego, jak uznać tę kwestię za nadal otwartą.

Posłowie

Pasożyty umysłu mimo że w formie swej to książka science-fiction, jednak w treści jest to kapitalnie napisany esej filozoficzny, bez wątpienia dorównujący najlepszym książkom Stanisława Lema. Przeciętny czytelnik literatury fantastycznej z olbrzymią przyjemnością przeczyta książkę Colina Wilsona, odnajdując w niej to wszystko, co powinno zawierać się w doskonałej książce s-f: wciągająca i trzymająca cały czas w napięciu akcja, wyraźny motyw przewodni, umiejscowienie akcji w przyszłości i, oczywiście, wszystkie potrzebne rekwizyty - videotelefony, blastery, statki kosmiczne. Ale jest to jedynie zewnętrzna forma Pasożytów umysłu. Czytelnik fantastyki bez trudu rozpozna, skąd Colin Wilson zaczerpnął główny motyw książki. Nawiązuje ona bowiem bezpośrednio do Lovcraftowskiej mitologii Wielkich Dawnych. Powstała zresztą ona jako realizacja wyzwania rzuconego Augustowi Derlethowi (1909-1971, pisarzowi, wydawcy, a przede wszystkim wielkiemu miłośnikowi twórczości Lovecrafta). Colin Wilson zalicza Lovecrafta, obok Shawa i Wellesa, do grona największych pisarzy naszego stulecia. Ale jeszcze jedna przyczyna tkwiła u źródeł napisania Pasożytów umysłu - była to ogólniejszej natury filozofia pisania, jaką właśnie uprawia Colin Wilson. Jest on bowiem przekonany, że jedynie wartościowe książki to takie, które u podstaw swych posiadają określoną filozofię człowieka i że powinny być przedstawione w możliwie jak najprzystępniejszej formie. Colin Wilson z wielką niechęcią odnosi się do wszelkich eksperymentów literackich i opierających się jedynie na grze formą, przypisuje jej bowiem minimalne znaczenie. Co więcej, jest przekonany, że to literatura masowa, pop-kultura zawiera w sobie najbardziej wartościowe idee i przesłania, i że to właśnie ona na j adekwatnie j wyraża tęsknoty i dążenia współczesnego człowieka i jego cywilizacji.

By pełniej zrozumieć Pasożyty umysłu, czytelnik powinien bliżej poznać postać Colina Wilsona. Urodzony 26 czerwca roku w Leicester w Wielkiej Brytanii jest wręcz typowym reprezentantem pokolenia, tak zwanych, "młodych gniewnych". Po ukończeniu szkoły średniej ima się wielu zajęć, między innymi, krótko służy w Royal Air Force. W 1954 roku przybywa do Londynu. Rozpoczyna studia nad filozofią i literaturą spędzając dni w British Museum, gdzie spotyka Angusa Wilsona, wówczas kierownika lektorium. Przez pierwsze sześć miesięcy sypia w śpiworze, nocując na wzgórzu Hampstead. Zaczyna pisanie swej pierwszej książki, studium nad rolą outsidera w kulturze. W książce tej rzuca wyzwanie utartym i powszechnie dominującym w brytyjskiej filozofii dogmatom. Analitycznej filozofii języka i studium nad logiką przeciwstawia rozważania z pogranicza egzystencjalizmu, mistyki i kultury. I staje się rzecz niepojęta - Outsider staje się natychmiast światowym bestsellerem, co więcej, otrzymuje również entuzjastyczne recenzje. Pierwsza książka Colina Wilsona staje się "najważniejszą książką" ówczesnego

pokolenia. Jak pisze w swej autobiografii, przeżywa wręcz groteskową parodię sukcesu - z jednej strony okrzyknięty zostaje nadzieją brytyjskiej filozofii (nie mając ukończonych studiów filozoficznych!), porównywany jest do Nietzschego i Shawa oraz proklamowany następcą Eliota i Joyce'a, z drugiej traktowany jako "gwiazda filmowa", cudowne dziecko, ozdoba salonów, genialny samouk, który z robotniczej, małomiasteczkowej rodziny awansował na szczyty hierarchii społecznej. Colin Wilson nie poprzestaje jednak na Outsiderze, pisze jego dalszy ciąg: *Religion and the Rebel*, który... spotyka się z druzgocącą krytyką. Jak ironicznie powiada autor *Pasożyty umysłu* - wielu było pisarzy i myślicieli, których debiuty okrzyknięto arcydziełami, ale niewielu, których następną książkę odsądzono od czci i wiary. Toynbee, który określił Colina Wilsona (po publikacji *Outsidera*) nowym Sartre'em, drugą jego książkę nazwał "śmieciem". Także wydawcy odwrócili się od młodego pisarza, proponując mu zajęcie się czymś innym niż pisanie. Co było przyczyną tak diametralnie odmiennego osądu? Co legło u podstaw tak bolesnego strącenia nowej gwiazdy brytyjskiej filozofii z firmamentu nauki? Colin Wilson nie chciał zgodzić się z tym, by to co napisał w *Outsiderze* było jedynie czczymi rozważaniami, on po prostu postanowił kontynuować swoją filozofią życia. Nie dał obłąskawić się pochlebcom i za to miała go spotkać kara. Zarzucił publicznie Russellowi i Ayerowi - dwóm czołowym postaciom brytyjskiej filozofii - jałowość rozważań proponując, by "wyrzucić cały ten logiczny pozytywizm przez okno i nie zawracać sobie nim głowy". To nie mogło ująć płazem. (Cytat poprzedzający *Pasożyty umysłu* jest, oczywiście, apokryfem, słowa przypisane Russellowi nigdy przez niego nie były wypowiedziane, co więcej, nigdy nie mogły być przez niego napisane).

Uparty, młody człowiek z prowincji, nie zrażony zarzutami, wydaje trzecią książkę *The Age of Defect*, będącą zarazem trzecim tomem cyklu *Outsider*.

W 1960 roku pisze swą pierwszą powieść *Ritual in the Dark*, która rozpoczyna nowy okres w jego twórczości. (Powieści jego będą próbą przełożenia na język fikcji literackiej jego głównych idei filozoficznych). Od tego czasu napisał wiele powieści, w tym kilka fantastycznych. Oprócz współcześnie napisanych powieści o świecie pajaków napisał: *Pasożyty umysłu*, *The Philosopher's Stone* i *The Space Vampires*.

Mimo odrzucenia przez krytykę literacką, Colin Wilson cieszy się nie słabnącym powodzeniem wśród czytelników. Za swoje książki naukowe otrzymał kilka tytułów doktora i prowadził wiele wykładów na amerykańskich uniwersytetach. Przyłgnęła zatem do niego etykieta wielkiego pisarza z jednej strony, z drugiej - szalonego głupca.

Wszystkie jego powieści, czy to kryminały, czy fantastyka, czy powieść szpiegowska obracają się wokół jednego tematu, prezentują podstawowe idee, tak zwanego, nowego egzystencjalizmu, którego jest twórcą. I nie ulega wątpliwości, że o ile jego wartość jako pisarza

może być wątpliwa, to na pewno wejdzie na trwałe do historii myśli ludzkiej jako autor nowego egzystencjalizmu. Podstawowe idee tej koncepcji wyłożył w swej książce *Introduction to the New Existentialism*. W przeciwieństwie do Sartre'a i Heideggera głosi on wiarę w rozwój człowieka. Jego filozofia przepojona jest optymizmem i ufnością. Jest przekonany, że nie ma niczego raz na zawsze danego, że aktywnym działaniem człowiek może wyzwolić głębokie rezerwy tkwiące w nim samym. Człowiek nie jest skazany na samotność i nie jest bytem dążącym jedynie ku śmierci, jest bytem dążącym ku nadczłowieczeństwu, ku doświadczeniu transcendentu. Swą pracą o dobre kilka lat wyprzedził cały nurt, tak zwanej, psychologii humanistycznej i transpersonalnej. (Jednemu z twórców tej psychologii, Maslowowi, poświęcił swą książkę *Kamień filozoficzny*). Główną przeszkodą w wyzwoleniu ludzkich możliwości jest "lenistwo" umysłowe człowieka, czasami przybiera ono formę określonych ideologii, które pod płaszczykiem wyzwolenia i rozwoju człowieka prowadzą politykę jego zniewolenia.

Konstrukcja Pasożytów umysłu oparta jest, w punkcie wyjścia, na trzech koncepcjach: psychologii analitycznej Junga, egzystencjalizmie Heideggera i fenomenologii Husserla.

Z koncepcji Junga Colin Wilson zaczerpnął przekonanie o istnieniu, tak zwanej, świadomości kolektywnej i archetypów. Carl Gustaw Jung, szwajcarski psychiatra i psychoanalityk, dowodził, że w psychice człowieka istnieją nieuświadomione głębokie podkłady nieświadomości, które zawierają ponadczasową wiedzę zgromadzoną przez cały gatunek ludzki. Nieświadomość kolektywna jest rodzajem biblioteki zawierającej najgłębsze i najważniejsze mądrości gatunku ludzkiego i że wiedza ta jest dostępna każdemu człowiekowi.

Z koncepcji Heideggera natomiast Colin Wilson zapożyczył przekonanie o primacie bytu nad niebytem, o tym że człowiek poprzez ciężenie do autentycznej egzystencji wykracza poza siebie i przez to realizuje tkwiące w nim możliwości.

Z koncepcji Husserla Colin Wilson zaczerpnął idee analizy rzeczywistości, która pozwala na odróżnienie czystej świadomości od transcendentnej sfery świata. Jest to idea primatu analizy umysłu nad analizą rzeczywistości.

Te trzy koncepcje są jednak jedynie punktem wyjścia, bowiem książka oparta jest przede wszystkim na pomysłach głoszonych przez Gurdżijewa.

Postać Gurdżijewa jest jedną z najbardziej barwnych, a jednocześnie najbardziej kontrowersyjnych w historii myśli XX wieku. W Polsce zupełnie nie znany, wywarł ogromny wpływ na światową kulturę czy myśl religijną. Jego koncepcja w sposób celowy została przedstawiona przez niego w bardzo uduchowionym i hermetycznym języku. Popularne ujęcie owej koncepcji zawdzięczamy Uspiańskiemu - jego uczniowi - który napisał wiele prac popularyzujących idee Mistrza. O ile znaczenie myśli Gurdżijewa w filozofii może być

kwestionowane, to na pewno jej znaczenie dla psychologii jest niewątpliwe. Koncepcja jego najbliższa jest myśli sufich - mistycznego odłamu islamu. Colin Wilson zaczerpnął idee ośrodków mózgowych z teorii kaukaskiego mędrca. Według Gurdżijewa człowiek dysponuje wieloma ośrodkami w mózgu takimi jak: ośrodek emocjonalny, ośrodek ruchowy, intelektualny, odruchowy i seksualny oraz dwa ośrodki wyższego rzędu, które są odpowiedzialne za, tak zwane, wyższe przeżycia człowieka. Człowiek ma tendencję do identyfikowania się z jakimś z ośrodków i często błędnie wykorzystuje ich funkcjonowanie. Na przykład, energię ośrodka emocjonalnego wykorzystuje on do zasilania ośrodka intelektualnego, co jest powodem jego złego funkcjonowania. W ogóle wszystkie ośrodki mózgowie mają tendencję do "wykradania" energii ośrodkowi seksualnemu i w zamian przekazywanie mu bezwartościowej własnej energii. Także przekonanie, że ciała niebieskie są żywymi istotami, jest zaczerpnięte przez autora Pasożytów umysłu z koncepcji Gurdżijewa. Sądził on bowiem, że ciała niebieskie są żywe, a przykładowo Księżyc będący młodszym bratem Ziemi, podkrada energię emitowaną przez życie na naszej planecie.

Powróćmy jednak do prezentacji głównych idei teorii Gurdżijewa. Sprowadzić je można do następujących tez:

po pierwsze - człowiek żyje złudzeniami i w tym sensie życie jego jest nieautentyczne. Podobny jest w swoim działaniu do maszyny, która funkcjonuje w bezwiedny i nieświadomy sposób;

po drugie - człowiek powinien dążyć do wolności i dokonuje się to poprzez odrzucenie złudzeń. Pierwszy krok to uświadomienie sobie, że nie jest się wolnym. Wyzwolenie można osiągnąć czterema drogami: drogą fakira, mnicha, jogina czy metodą wypracowaną przez Gurdżijewa, a będącą syntezą tych trzech poprzednich;

po trzecie - drogę do wolności przebywa się czterema etapami (każdemu z etapów odpowiada stosowny stan świadomości). Pierwszy etap nazwać można "zwykłym snem", etap drugi - "budzącą się świadomością", etap trzeci - "pamiętaniem o sobie" (jest to etap, gdy uwaga człowieka skupia się do wewnątrz i na zewnątrz niego) i etap czwarty, zwany "świadomością obiektywną".

Człowiek najczęściej pogrążony jest we śnie. Gurdżijew sądził, że zazdrosne o rozwój człowieka istoty kosmiczne wmontowały w umysł człowieka specjalne urządzenie powodujące, że pogrążył się on w odwiecznym śnie złudzeń. Gurdżijew ilustrował ten fakt wschodnią opowieścią o złym czarnoksiężniku, który by zniewolić hodowane przez niego owce, wmówił im, że są nieśmiertelne, że obdarcie ich ze skóry jest jak najbardziej w ich interesie, że on sam jest dobry, że nie muszą przejmować się dniem jutrzejszym, a one same są orłami, wilkami, ludźmi czy

czarnoksiężnikami. I tak mógł spokojnie hodować je na rzeź. Człowiek winien się przebudzić, a jest to bardzo trudne, gdyż ludzie śnią nie wiedząc, że są pogrążeni we śnie. We śnie stają się łatwym łupem złudzeń, przywiązują się do swych marzeń, cierpień, pragnień. Człowiek staje obecnie przed ostateczną próbą wyrwania się z owego ogłupiającego snu. Ale inercja i wrodzone lenistwo uniemożliwia mu przebudzenie.

Pasożyty umysłu obok powieści *The Black Room* oraz *The Philosopher's Stone* tworzą, tak zwaną, trylogię-“ostrzeżenie”. Ich główne przesłanie to dążenie ku większej wewnętrznej wolności i mocy. Ostrzega, że gatunek ludzki stanął przed ostatnią próbą. Jeśli będzie kontynuował rozwój mechanicznej, wyspecjalizowanej i zunifikowanej cywilizacji, to bezpowrotnie zatraci to co w nim najwartościowsze, a więc paranormalne zdolności i możliwości doświadczenia transcendentu.

Tadeusz Zysk